



TOMASZ
MROZ

PRZEJŚCIE A8

część 1

TOMASZ MRÓZ

PRZEJŚCIE A8

Saga

Przejście A8

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright ©2012, 2024 Tomasz Mróz i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727161624

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Strona tytułowa

Karta wydawnicza

I. 13.02.1871

II. Dzień pierwszy

III. Dzień drugi

IV. Dzień trzeci

V. Dzień czwarty

VI. 13.10.1913

VII. Dzień piąty

VIII. 13.01.1945

IX. Dzień zero – historia podziemna

X. 13.02.1945

XI. Dzień zero – historia nadziemna (zwana również niezieską)

XII. Dzień szósty

XIII. Dzień ostatni i później

I. 13.02.1871

Dzień chylił się ku końcowi, wszystko oblepiał cichy, wieczorny chłód. Jechali. Mijali nagie, bezlistne drzewa, przejeżdżali przez zagubione w cieniu i ponurej wilgoci parowy. Cały świat pokryty był białoszarym całunem śniegu, zmarzniętym błotem oraz wyschłymi, szumiącymi przy każdym podmuchu wiatru, kępami traw i krzakami. Kawalkada konnych torowała drogę karecie, która kołysząc się i trzęsąc na tym bezdrożu, ledwo za nimi nadążała. Wszyscy jeźdźcy byli barczyści i potężni; przy łękach wisiało uzbrojenie, zarówno broń biała, jak i palna. Stroje mężczyzn jasno wskazywały, że należą do jednej formacji. Każdy z czarnoszarych kaftanów miał na ramieniu ozdobny znak, wyszyty złotą nicią. Twarze – wąsate i smagłe – różniły się od zazwyczaj spotykanych w tej części świata bladych i piegowatych obliczy. W pewnym momencie cała grupa wyjechała na skraj lasu. Przed nimi rozciągała się spora przestrzeń pokryta polami i łąkami, na co wskazywały zaorane żebra brunatnej ziemi i żółtawe kępy wystające spod śnieżnej pokrywy. Po lewej stronie przycupnęła chata; szara strużka dymu świadczyła o tym, że jest zamieszкана. Przez małe okna przedostawało się mdłe światło, prawdopodobnie kaganka. W kilka sekund po jeźdźcach na otwartą przestrzeń wytoczyła się kareta. Kawalkada jechałaby dalej, ale ktoś wysunął głowę ze środka powozu i coś powiedział. Po chwili rozległ się po niemiecku chrapliwy okrzyk woźnicy: „Staaaać!”. Jeźdźcy zatrzymali się i wyczekująco spojrzeli na jednego z nich, prawdopodobnie dowódcę; ten wydał krótki rozkaz. Wszyscy zeskoczyli z siodeł, jakby za pociągnięciem sznurka.

- Psie ich syny, jak to równo skaczą. Cyrkowce afrykańskie, psie juchy - mruknął pod nosem woźnica, obserwując jednocześnie, jak lokaj podbiega do drzwi karety i otwiera je, kłaniając się uniżenie.

We wczesny zimowy wieczór panowała cisza jak makiem zasiał, nawet te nieliczne ptaki, kukające i świergolące za jasności, zamknęły teraz dzioby i czekały na lepszy czas. Konie tupwały kopytami o śnieżno-ziemne podłoże i co jakiś czas prychały. Te odgłosy i wątlý dym z komina chaty stanowiły jedyne oznaki życia w martwocie zimowego kraju.

Z karety wyskoczył szczupły jegomość w czarnym surducie wyszywanym srebrem na lamówkach i mankietach. Spod kaftana wystawał biały żabot koszuli, na głowie tkwił niemodny, zwężający się ku górze kapelusz z szerokim rondem. Za nim, sprawiając wrażenie dużo cięższego, bo też i grubiej ubranego, wyszedł mężczyzna w czarnym płaszczu i cylindrze. Lokaj schylił się przed nim jeszcze głębiej, zamknął drzwi i czmychnął na drugą stronę pojazdu.

- To tu, panie Neumann? - człowiek w cylindrze zagadnął w języku woźnicy.

- Tu, panie von Schwansteinkohenbohlenwor - potwierdził nieco piskliwym głosem Neumann. - Prosiłem już, żeby mówić na mnie Nowak, bardziej lubię tę wersję.

- Ech, te czeskie nazwiska! Brewerie! Tu się mówi i będzie mówiło po niemiecku, panie Neum...

- Nowak. To polskie nazwisko, nie czeskie, krócej brzmi niż to wasze.

- Dobra, Nowak. Co dalej?

- Piękny widok, prawda, panie von Schwansteinkohen-bohlenwor?

- Nowak wpatrywał się zachwycony w dal sięgającą zamglonej linii lasu. Wciągnął potężny haust mroźnego powietrza.

Człowiek w cylindrze spojrział na pola, ale znać było, że przyroda nie bardzo go interesuje.

- Tak, tak, zaiste. Co dalej?

- I pomyśleć, że dopiero co tury tutaj chodziły, a już niedługo powstanie...

- Panie Nowak, czy jak tam pan chce się nazywać, wieczór zapada. Co robimy dalej?

Szczupły jegomość w surducie westchnął ciężko, jakby ubolewając nad brakiem wrażliwości u towarzysza. Pstryknął palcami i w tym momencie wyszedł z chaty człowiek. Ubrany z wiejska, miał na sobie znoszony kozuch, a zamiast butów filcowe łapcie.

- A panowie to w drodze? - Skłonił się przybyszom; mówił z mocnym śląskim akcentem.

- Nie, do ciebie przyjechaliśmy - odparł Nowak, patrząc ni to na pola, ni to na chłopa.

- Do mnie? - Wieśniaka zatkało. - A czego panowie mogą kcieć ode mnie?

- Czyje te pola?

- A moje. Aż po las.

- Kupić chcemy, wszystko to tutaj. Aż po las.

Człowiek stał w milczeniu z rozwartą gębą. Szarość wieczoru nie pozwalała stwierdzić, czy jest bardziej zdziwiony, czy przestraszony. Po chwili ozwał się znowu.

- Olaboga, jakże to? Kupić? Przecie to moje. Aż po las.

- No, toż właśnie dlatego, że twoje, to chcemy kupić. Nie twoje kupimy u innych.

- Olaboga, jakże to? U innych? Kiej to moje, to nie u innych.

Nowak znowu wzniosł oczy ku niebu; wyglądało, jakby miał zaraz ukatrupić nierozzgarniętego wieśniaka. Ale opanował się, podszedł kilka kroków do karety, wyciągnął brzęczący metalem trzos i powiedział sucho:

- Słuchajcie, człowieku! Mam tu worek reichstalarów, okrągły tysiąc. Słyszeliście? Tysiąc. Idźcie do baby i powiedzcie jej, że chcemy od was kupić tę ziemię za ten tysiąc. Czekamy jeszcze dwa ojczenasze.

- Olaboga, olaboga! - Chłop pognał co prędzej do chałupy.

- A jak nie będą chcieli sprzedać? - zapytał von Schwansteinkohenbohlenwor.

Nowak uśmiechnął się z politowaniem, nim odpowiedział:

- To dadzą za darmo. Ale nie chcę tu żadnych burd. Myślę, że dwa ojczenasze to nawet za długo na taką transakcję.

Miał rację. Po kilkunastu sekundach z chaty wypadła dwójka ludzi. Przodem biegła kobieta w czarnej spódnicy przykrytej fartuchem; chustę w kwiaty narzuciła na głowę niedbale, w pośpiechu. Za nią pędził poznany już wcześniej wieśniak. Przez drzwi i zamglone szybki wyglądały jakieś twarze, pewnie dzieci.

- Olaboga, Helga, poczekoj. Olaboga, trza by przemyśleć. Przeca to jeszcze od dziada, oćca było nasze. Helga!

Kobieta dotarła do oczekującej dwójki i dysząc, skłoniła się.

- Zastanowili się? - Nowak zadał pytanie, które, patrząc na stan rozgorączkowania niewiasty, należało do kategorii retorycznych.

- Cołki tysiąc, panie, dajecie?

- Tak, tysiąc. - Nowak zabrzczał trzosem. Wyciągnął jedną z monet i podał babie. Ta zagryzła na niej zęby, potem podleciała do latarni, którą lokaj zapalił przy karocy. Oglądała pieniądz ze wszystkich stron.

- A biercie te łęgi, obrzydły mi już one! - Podeszła z powrotem do nich, wyciągając rękę po worek.

- Helga, olaboga, trza by pomyśleć, olaboga, od oćca, dziada jeszcze... - lamentował stojący za nią mąż, ale widać było wyraźnie, kto tu podejmuje decyzje.

- Zaraz, zaraz. - Nowak cofnął rękę z trzosem. - Jeszcze umowa.

Na rozłożonym w międzyczasie przez lokaja stoliku pojawiła się ni stąd, ni zowąd kartka papieru i pióro w kałamarzu. Chłop i baba aż odskoczyli. Potem podeszli lekliwie do stołu, lokaj przyniósł lampę i powiesił na wbitym obok w ziemię drągu. Para wieśniaków oglądała

umowę jak sroka kość, widać było, że słowo pisane i przyrządy piśmiennicze są im równie dobrze znane, co lód na pustyni. Nowak po raz kolejny wzniósł oczy ku niebu, westchnął, po czym chwycił kartę i zaczął głośno czytać:

– My, Johann i Helga Schramm, sprzedajemy całą naszą ziemię od lasu pana von Stolpke do królewskiego lasu nad Jaegerbachem panu Heinrichowi Hansowi Sigfridowi von Schwansteinkohenbohlenwor na zawsze za tysiąc reichstalarów. Oświadczamy, że ani my, ani nasze dzieci, ani ich dzieci nie będą chciały niczego od pana von Schwansteinkohenbohlenwor teraz ani nigdy. Obiecujemy opuścić sprzedany grunt zaraz po kupnie. Johann i Helga Schramm.

Nowak odczytał to głośno, po czym znowu położył papier na stole i wskazał palcem miejsce, gdzie mają podpisać. Baba chwyciła pióro i robiąc kilka kleksów, wykaligrafowała z trudem swoje imię i nazwisko. Potem wszyscy spojrzeli na Johanna; ten wodził nieprzytomnymi oczyma po zebranych, powtarzając w kółko „Olaboga, Helga, olaboga”, ale dostał kuksańca od małżonki i również nabazgrał swoje inicjały pod umową. Człowiek w cylindrze złożył zgrabny, pełen zawijasów podpis obok tamtych kulfonów. Nowak podmuchał na papier, złożył go i wsadził za pazuchę. Po czym uśmiechnął się serdecznie do byłych właścicieli, wręczył worek i rzekł:

– Czas na was. Trza wam w drogę.

Małżonkowie spojrzeli po sobie zdezorientowani. Johann powtórzył znowu swoje „Olaboga”. Do Helgi po chwili dotarło, co Nowak ma na myśli. W chacie stała jeszcze ciepła strawa na kolację, małe dzieci już spały, te większe w samych koszulach baraszkowały przed snem. Zagryzła wargi zdezorientowana, przyciskając worek talarów do piersi, spojrzała na męża. Ten chrząknął i zrobił minę, jakby chciał się bić.

– Panie, ależ... – Johann zaczął płaczliwie, jednakże Nowak go uprzedził.

- W umowie stoi wyraźnie: „opuszczą zaraz po kupnie”, znaczy teraz. Już. A zresztą waszej chaty zaraz nie będzie, bo się zawali. Ratujcie dzieci. – Pstryknął palcami.

Dom zaczął się chwiać i trzeszczeć. Komin rozleciał się na pojedyncze kamienie, turlające się po dachu, szyby pękały.

- Olaboga! – wrzasnął Johann i poleciał do domu. Za nim Helga. Wkrótce na dworze stała gromadka trzęsących się z zimna, płaczących dzieci w cienkich białych koszulkach. Johann wbiegał i wybiegał z chaty, ratując, co się dało.

Gdy dom runął, w powietrze uniosła się chmura kurzu. Po kilku minutach opadła. Oniemiała rodzina stała nad zgłiszczami swojej dotychczasowej egzystencji. Potem Nowak pstryknął palcami i ocknął się. Helga starała się uspokoić i ubrać dzieci, Johann zaczął wygrzebywać z ruin jakieś rzeczy, który mogłyby się przydać na drogę. Tej krzątaninie towarzyszyło milczenie i ponure oczekiwanie gromady przyjezdnych. W końcu rodzina Schrammów odeszła, znikając pomiędzy drzewami.

Von Schwansteinkohenbohlenwor pokiwał z uznaniem głową.

- Ładnieś pan to załatwił, panie Nowak, uznanie z mojej strony.

- Uczciwa tranzakcja. Umowy to mój fach. Pan to zresztą doskonale wiesz, panie von Schwansteinkohenbohlenwor. Biedy nie będą klepać za te tysiąc reichstalarów. No chyba że Johann zacznie pić na umór i żałować dnia, kiedy spotkał nas, Helgę, kiedy się urodził. Aż umrze w rynsztoku, pobity. Gdzieś w Hamburgu. Dajmy na to za trzy lata. A dokładnie za trzy lata pięć miesięcy i dwa dni. I zostawi te biedne dziatki sierotami bez grosza. Ale to jego sprawa. My możemy się brać do roboty od jutra.

- Tak, jego sprawa – mruknął von Schwansteinkohenbohlenwor. – Trzeba obozowisko rozbić. Zimno. – Dokładniej owinął szalem szyję.

- Tak, tak, zimno, cholernie zimno. – Nowak w cienkiej koszuli i surducie nie zdradzał żadnych oznak przemarznięcia. Gdyby mu powiedzieli, że jest upały nie do wytrzymania, potwierdziłby z równym

entuzjazmem. Wszyscy podróżni zaczęli rozbijać namioty i palić ogniska. Noc otuliła świat szczelnym kokonem ciemności.

II. Dzień pierwszy

Komisarz Wątroba spał. W jego głowie kłębiły się sny nieuczesane, piękne kobiety o twarzach w kształcie hamburgera, piękne krajobrazy układające się w zarys nówek pieczonego kurczaka i milion innych wspaniałych, gastronomicznych doznań drażniło jego uśpione zmysły.

– Aaaa, mniam, mammam, mam... – wzdychał przez sen.

A w tym śnie Wątroba płynął, jego ciało przesuwało się rytmicznie w galarecie świata, która zaczęła stawiać niespodziewany opór. Coraz mniej majestatyczne, a coraz bardziej nerwowe ruchy dawały efekt mizerny. Wątroba chciał dopłynąć do jakiegoś krzaka kurczakowatego lub dogonić jedną z tych pięknych, apetycznych niewiast, ale wszystko to stawało się coraz bardziej nieosiągalne. Galareta ciała była uwięziona w galarecie otoczenia, mięsiste zwały materii przelewały się wokół, nie dając mu ani centymetra luzu.

– Aaa, mniam, kurcze, zbliż się, mni mamam... – Łapał ustami przestrzeń wokół.

W końcu zauważył jakiś mały, nędzny krzaczek pod sobą i nadludzkim wysiłkiem wygiął się, aby dosięgnąć go ustami. Nieruchawe zazwyczaj ciało nie poddawało się woli, choć Wątroba czynił coraz większe wysiłki. Był jak wygięty w kabłąk wieloryb. W końcu wgrzył się w wystający kształt i twardość wypełniła mu usta. Pozycja, początkowo niewygodna, okazała się teraz wręcz nie do zniesienia. Ale pragnienie konsumpcji było przemożne, szczęki pracowały na maksymalnych obrotach, zapomniał o oporze materii, o niewygodzie, liczył się tylko ten... Łup!

Twarde podłoże w zderzeniu z poruszającą się głową wytwarza skromny efekt dźwiękowy mierzony w decybelach, ale posiadacz teźe

głowy mierzy go tonami słońca miażdżącego mu czaszkę.

- Aaaa, mniamaaaaa, aaaa... - jęczał kształt w białej długiej koszuli nocnej i szlafmocy, wbity zębami w nogę łóżka, z którego właśnie zleciał. Noga mebla nie była pieczystym - ta myśl powoli wyłaniała się z galaretowatego odmetu Wątrobowego mózgu. Lecz robiła to na tyle wolno, że nie zdążyła przebić się do sfery działań praktycznych, szczęki nadal pracowały. W pewnym momencie noga zatrzeszczała, jakby mówiąc: „Sam tego chciałeś”, i została w ustach człowieka, który dokładnie w tym momencie zorientował się w sytuacji.

Łóżko runęło na bok.

- Tfu! - Obudzony pozbył się zbędnej zawartości ust. - Co to za...

Chciał powiedzieć „stęchły lakier”, ale kątem zaspanego oka ujrzał coś dziwnego. Małe, przypominające mysz stworzenie stało w kącie koło komody i wypluwało coś ze swojego pyszczka. Wątroba przez moment dałby sobie ucho uciąć, że ono również powiedziało: „Tfu!”. Po chwili wślazło za komodę. Wątroba podbiegł do mebla i szybko go odsunął. Nic. Znaczący kurz i stary ogryzek, poza tym nic. To nie pierwszy raz. Już wcześniej miał wrażenie, że nie jest sam w swoim M-1. Że jakaś mysz-nie mysz się tu kręci. Ale za rękę jej nie złapał. Ani za nogę.

- Hej, wyłaź! - Zaczął pukać w tylną ściankę komody. - Wyłaź, myszo czy inna paskudo! - Walił coraz mocniej. Po chwili wpadł na wspaniały, jak mu się wydawało, pomysł. Ze stękiem podniósł mebel i uderzył nim o podłogę, aż echo poniosło. Powtórzył.

- Wyłaź! Nie będziesz mnie tu małpować ani myszować! - wrzeszczał.

Chwilę później rozległ się dzwonek do drzwi, najpierw jeden, po chwili drugi, zniecierpliwiony nieskutecznością pierwszego, po nim trzeci, już furiat. Wątroba otworzył.

Przez szparę w drzwiach wsunęła się muskularna ręka, towarzyszyła jej druga graba, tors w podkoszulku w udawane płamy z

napisem „Łaciate” i pokryty szczecina podbródek. Łapa chwyciła koszulę Wątroby, podbródek zaczął się ruszać.

- No i co, dziadek?! Doigrałeś się, musiałem tu przyjść, co, żebyś wyłączył jadalnię, żebyś, kurwa, przestał napierdalać po ścianach, po podłodze! Tu się, kurwa, śpi, a nie napierdala, czym popadnie, po czym, kurwa, popadnie! Zrozumiano?!

Wątroba patrzył na gościa, myśląc o tym, że podbródek jest częścią twarzy, a tej jakoś nie było widać, może się za szybko ruszała, o swojej kłępskiej muskulaturze, dodatkowo zapiętej w pokrowiec zwany grubasem i o pozycji krocza sąsiada. Noga walnęła mniej więcej tam, gdzie chciał Wątroba. Za chwilę podbródek się obniżył i jęknął: „Ozesztyjacie!”. Ale Wątroba już miał w ręku odgryzioną nogę łóżkową i groźną minę pod szlafmycą, stał w rozkroku i dyszał bizonem.

- Sorry, sąsiedzie, mysz mi tu łązi i mnie małpuje... No, robi to co ja, a potem znika. Chciałem ją wypłoszyć, zapoznać, polubić. Może przeżyć razem coś wielkiego. Chociaż czynszem się podzielić. Przepraszam za hałas.

Mówił spokojnie, jak go uczyli na szkoleniu negocjatorów; wiedział, co ma robić. Już nie raz bywał na gzymsie z desperatem. Facet stał i patrzył niepewnie to na Wątrobę, to pod własne stopy, jego mina wyrażała coś więcej niż zdziwienie, Wątroba nie spuszczał z niego wzroku. Muskularne ręce opadły, napis „Łaciate” zaczął nikać w drzwiach. Klatka schodowa w tle szarzała w pierwszej godzinie świtu.

- Okej, okej, rozumiem, proszę tylko o ciszę.

Wątroba patrząc tryumfalnie na drzwi, prychnął pogardliwie. Gdy spod nóg usłyszał podobne prychnięcie, wzrokiem zjechał na dół. Mysz stała w rozkroku z małym patyczkiem w łapkach. Wątroba wzniosł nogę łóżkową do uderzenia, ale huknął tylko w pustą podłogę. Mysz jakby rozplynęła się we mgle.

Szare gomulkowskie bloki cięły przestrzeń okna, przez które wyglądał Wątroba, szukający ukojenia w kubku kawy i drożdżówce.

Słońce nieśmiało filtrowało szare mgły, próbkowało na tym małym skrawku świata, czy opłaca się tu wschodzić. Wynik był fatalny, właśnie miało się wycofać, ale już zatrzasnęły te drzwi z tyłu, a otworzyli te z przodu, na zachodzie. Zbite szyby w hali starej walcowni lśniły ogniście, kruki podziwiały ten widok, siedząc w szeregu na linii wysokiego napięcia. Wątroba pozbierał śmieci, butelki, westchnął: „Ech, kiepsko ze mną” i poszedł się przewietrzyć.

Pod śmietnikiem koło trzepaka nie było pusto. Są ludzie na tej planecie, którzy w każdej sytuacji znajdują coś do roboty, choćby uporządkują sprawy rodzinne, dorobią się domku z ogródkiem i wykształconych dzieci. Ci ludzie jeszcze spali. Na przeciwnym biegunie znajdują się tacy, którzy nigdy nie splamili się systematyczną pracą i nigdy nie mają nic do roboty, bo świat wokół jest, ich zdaniem, do dupy, więc niczego nie opłaca się im zaczynać ani tym bardziej kończyć. Tacy właśnie osobnicy siedzieli pod trzepakiem i czekali na cud boży.

– Wi-ta-my pa-na ko-mi-sa-rza! – wyskandowali na widok Wątroby. Ten się skrzywił z niesmakiem i burknął:

– Dobry, dobry. Już na nogach? Stalowy, Pająk. O! I Marian też! Na co czekacie? Na cud boży?

– Na cud, może i boży, bo na jaki inny. Moja małżonka też na ten cud boży czeka, znaczy że się, jak to ona mówi, za coś wezmę. Jak ona może, to ja też. Równouprawienie, nie?

– Ech, Stalowy, Stalowy. Kiedy ty zmądrzejesz?

– Już zmądrzałem. Co nie, Pająk? Wczoraj mi Karczek, no ten z Gałczyńskiego, jakąś niby super wóde z Ukrainy za trzy zeta chciał wcisnąć. Pogoniłem kabana. Bo on to z cysterny na bocznicy leje. A tam syf, panie, syf i chemia zasrana, węglowodory aromatyczne i inne mniej aromatyczne...

– No, brawo. Jak się nazywa ten kolega?

- Kar...karamba, z głowy mi wyleciało. Pająk, jakże on się... no, zapomnieliśmy.

- Powodzenia, Stalowy, życzę wytrwania w mądrości.

Wątroba westchnął ciężko nad mądrością Kazka i poszedł wyrzucić śmieci.

Dzień na komendzie rozkręcał się powoli. Chwiejczak, Wróżka i całe to tałatajstwo za państwowe pieniądze już się niby snuło, ale o konkretnej robocie nie było mowy. Dyżurny coś wspominał o zatrzymanych do wyjaśnienia, o zatrzymanych bez wyjaśnienia czy może o jakichś wyjaśnieniach bez zatrzymania. W każdym razie Wątrobie się wszystko mieszało, czuł tylko pulsujący ból głowy i smak lakierowanego drewna w ustach. Przed oczyma majaczyła mu wciąż mysz wypluwającą drzazgi. Tfu, tfu.

Stojące na biurku dwie ulubione figurki komisarza, Zawisza Czarny i Kataryniarz, uśmiechały się ironicznie: „Oj, niezdrowo się prowadzimy!”. Wątroba odwrócił je do ściany i pił kawę, patrząc tępo w jeden punkt, choć nie, tylko tępo, bez definiowania punktu oparcia wzroku. Zegar chodził, jeżeli ruch odniesiemy do wahadła, stał, jeżeli mowa o wskazówkach. W przedśionku ruch się nasilał, już rosła kolejka tych, którym coś ukradziono, albo oni coś ukradli, a teraz chcą to oddać i przeprosić. Wątroba uśmiechnął się, lubił takie żarty, takie myśli surrealistyczne, że złodziej oddaje łupy, bo go sumienie ruszyło, że staruszkę okradł, a ta staruszka to jak matka, zaś matka to ojczyzna, no a ojczyzna to...

- Chwiejczak, kim jest dla was matka? - zagadnął posterunkowego, który już się rozkładał z protokołami na biurku.

- Matka to matka, panie komisarzu - zameldował posłusznie Chwiejczak. Po wzroku widać było, że całą duszę włożył w tę opinię.

- No, coś takiego? A po czym to poznajemy? - ciągnął ze złośliwą wesołością Wątroba.

- Po... po... - zaczął Chwiejczak - po prostu się wie.

I znowu było wszystko w porządku. Nawet na figurki Wątroba się odobrazil i znów mogły go obserwować, choć łytał na nie podejrzliwie od czasu do czasu. Taki rycerz i niespełniony muzyk to nieziele świry. Wskazówki zegara wreszcie drgnęły. Do roboty!

Dyżurny przyniósł wezwanie. Znalaziono zwłoki. Odległa dzielnica miasta, ciało zakamuflowane w rowie na terenach zielonych.

- A nie może Wróżka jechać, Wróżka, Wró... No, zwał! I to jest niby mój podwładny... Dobra, Chwiejczak, jedziemy. Bierz furę!

- Tak jest.

Na północy miasta znajdują się płaskie tereny, położone nad leniwie toczącą szare wody rzeką. Okolice te są ulubionym obszarem ekspansji miasta, dokonywanej przez firmy deweloperskie; łatwo tu uzyskać zezwolenie, a wiosenne rozlewiska rzadko zmieniają się w powódź, najwyżej raz na dwa, trzy lata. Wzdłuż wałów i ścieżek ciągną się rowy melioracyjne porośnięte trzciną, w rowach tych leżą sobie spokojnie stare pralki, dziurawe gumowce, stłuczone kafelki, a nawet blaszane beczki, z których bardzo powoli cieknie coś maziowatego. W takich rowach leżą również trupy.

Ekipa Wątroby podjechała, kołyszac się majestatycznie na wykrotach drogi dojazdowej. Techników i dzielnicowego dostrzegli już z daleka - teren był płaski i bezdrzewny. Gdy Wątroba wychynął na powietrze, podszedł do niego bardzo przestraszony dzielnicowy.

- Panie komisarzy, dzielnicowy Dobrowolski melduje się.

- Proszę o krótki raport.

- Piąta pięćdziesiąt, zgłoszenie na komendę, miejscowy, codziennie chodzi tędy z pieskiem, ratler, lekko podpalany, na trzęsących się nóżkach...

Wątroba otaksował dzielnicowego wzrokiem, w oku błysnęło zaciekawienie.

- A z rodowodem? - zapytał.

- Tak, to znaczy, nie wiem, ale wygląda rasowo... Ratler rzecz jasna...

- Hm, nie wie pan. To co pan wie? Może by tak coś o denacie?

- O de...? Aha, o tym tam. Piąta pięćdziesiąt, zgłoszenie na komendę, przez miejscowego, znalazł go, jak szedł z...

- No, dobra. I kiedy już zgłosił, to co dalej?

- Dalej wezwaliśmy pogotowie i ekipę śledczą – z wyraźną ulgą zakończył Dobrowolski.

Wątroba zanotował sobie w pamięci, żeby dzielnicowego przedstawić do odznaczenia i podszedł do techników kręcących się przy zwłokach.

- Kiedy go tu wrzucili, nie żył od dobrych kilku godzin. Rana zadana jakimś dużym ostrym narzędziem.

Wątroba spojrział na obiekt: wąsate, śniade oblicze, tors opięty różową koszulą, na szyi medalik, pewnie z Matką Boską, na ramieniu tatuaż, jakiś znak czy godło.

Technicy robili zdjęcia.

Wątroba poprosił o zbliżenie twarzy. Za chwilę technik wcisnął mu do ręki kartkę papieru z obliczem leżącego.

- Tak szybko? – zdziwił się komisarz.

- Przenośne drukarki, idziemy z duchem czasu.

- Ale mordujemy po staremu. – Wątroba wskazał brodą w stronę wąsatego denata. – Coś on brudny, ten nasz kolega, nie mówię o kolorze skóry, jakiś taki przyprószony pyłem.

Technik spojrział do rowu.

- No, fakt. Może go wieźli na węglu.

Wątroba uzbrojony w fotkę, adres zamieszkania świadka oraz Chwiejczaka udał się na zwiad po okolicznych domach. Znalazca trupa, gruby właściciel hurtowni artykułów gospodarstwa domowego, nic nie wiedział oprócz tego, że natknął się pechowo na ciało. Tym

bardziej pechowo, że dzielnicowy poprosił go o zostanie w domu do południa w celu złożenia wyjaśnień.

– A tam, panie, magazynierzy pewnie piją piwo i w karty grają. Bez nadzoru, panie, jak dziadowski bicz rozpuszczeni. Klienci już dzwonili – skarżył się gruby hurtownik.

Inni wypytywani, zgodnie z oczekiwaniami potwierdzonymi wieloletnim doświadczeniem, nic nie widzieli ani nie słyszeli. Odnotowali co prawda dwa przypadki rozpoznania twarzy, ale po dokładniejszych wyjaśnieniach okazało się, że jeden z respondentów wziął ofiarę za Saddama Husajna. Drugi rozpoznał go, podał dokładne dane: imię, nazwisko i adres zamieszkania; ale całe podniecenie wywołane sukcesem akcji ucięła wracająca z zakupów żona świadka, która wyjaśniła Wątrobie, że to dane szwagra, na którym małżonek mści się za jakieś złośliwości na chrzcinach. Wątroba wyszedł, zostawiając za sobą huragan małżeńskich wymówek i gróźb karalnych. Zamordowany wyraźnie był elementem obcym na tym terenie.

– No, panowie, trzeba coś skołować, bo dzionek w pełni, a my nic – opisał sytuację Stalowy.

Koledzy mruknęli coś jakby „mhm” i zamilkli. Życie osiedlowe wrzało wokół, babcie chodziły na zakupy, młode matki spacerowały z dziećmi, dzieci z młodymi matkami, śmietniki były opróżniane przez pracowników służb miejskich, psy szczekały, a warzywniak zachęcał do konsumpcji ogórków, pomidorów, bananów, jabłek i żurku śląskiego. W tak pięknych okolicznościach przyrody ekipa Stalowego Kazka gorączkowo się namyślała, co by tu wypić. Po drugiej stronie podwórza pojawił się Zenobiusz Kisiel, emerytowany ślusarz, będący według własnej oceny wzorem prawości i cnót wszelakich. Już z daleka zauważył Stalowego z ekipą i chciał ich ominąć. Kiedy indziej pewnie by mu dali spokój, ale dziś pragnienie było silniejsze, więc Stalowy zaczął go przywoływać werbalnie i ruchowo:

- Eee! Chodź no tu, panie Kisiel!

Kisiel niechętnie, z ociąganiem, ale podszedł do ławczkowej trójcy.

- Dzień dobry, panie Opalek, i panom też dzień dobry.

- A dobry, dobry. Może coś skręcimy, panie Kisiel? Nudno.

- Nudno, jak się nic nie robi. A co chcecie skręcać?

- No, jakąś imprezkę, towarzysko się rozwijać trzeba, nie stać w miejscu, przeć do przodu, taranem w przyszłość.

Kisiel znał te teksty, kilka razy zdarzyło mu się z tym, jak go nazywał, elementem chwilę zabawić i teraz mieli go za sponsora. Wiedział jednakże, jak się ich pozbyć.

- A, rozumiem, to może pójdziecie ze mną do siedziby gminy, załatwiam dofinansowanie na naprawę osiedlowych trzepaków. Dywany się strzępią o spawy, a i kup po gołębiach nie ma komu ścierać, moglibyśmy zainstalować specjalne nakładki.[L.J]

Pająk i Marian już mieli mu powiedzieć, co myślą o załatwianiu spraw w gminie, i byłaby to opinia szczerą, płynącą prosto od serca, jednakże Stalowy uciszył ich syknięciem i stwierdził:

- Chętnie, może tam się coś da skręcić.

Twarz Kisiela wyrażała popłoch tysiąca żurawi zbudzonych strzałem. Już widział pomoc tych „kolegów” stojących przed obliczem urzędnika. Ale cóż, w końcu ich jakby zaprosił, więc bąknął tylko:

- Idziemy. Tylko bez głupich żartów.

Poszli wężykiem przez dzielnicę, Kisiel co chwilę mówił komuś „dzień dobry”, starszuskowie odklaniali mu się, patrząc pytająco na jego towarzystwo. Jedna z pań spytała konspiracyjnym szeptem, czy został porwany i czy wezwać policję. Kisiel uspokajał wszystkich, Stalowy rozdawał ukłony i pozdrowienia, Pająk i Marian wlekli się za nimi, wyglądając, jakby ich do czegoś zmuszano. A przecież taki spacer i wiara w słuszność misji trzepakowej powinny dodać im skrzydeł. Ale jakoś nie dodały.

Budynek urzędu gminy stał na głównym placu, kilkaset metrów od osiedla. Kisiel już wszystko wiedział o załatwianiu tu spraw i tłumaczył im właśnie, jakimi drogami podejmowane są decyzje i jak on, Zenobiusz Kisiel, animuje te wszystkie ruchy, przepływy finansowe tudzież ludzkie. Innymi słowy Kisiel, w swoim mniemaniu, rządził gminą, a może i całym krajem, jako szara eminencja.

Rola szarej eminencji okazała się rzeczywiście szara w konfrontacji z urzędniczym światem. Najpierw pół godziny czekania, potem referowanie problemu trzepaków pani, która dbała o to jak o zdrową żywność dla Marsjan, w końcu obietnica przekazania sprawy odpowiednim osobom. To wszystko potwierdzało pozycję Kisiela w miejscowych strukturach. Po wypowiedzeniu kilku zdawkowych słów otuchy pani wyraźnie dała do zrozumienia, że czas już na nich. Kisiel zaczął się żegnać, wylewnie dziękując za pomoc. Trójka jego kompanów, stojąca dotychczas ponurym murem w odwodzie, zaczęła się również wycofywać. Wtem Stalowy się zachnął i wrócił z miną wskazującą zdeterminowanie.

- Mam wrażenie, że pani nie doceniła... nie zrozumiała problemu. Dajmy na to jest trzepak...

Stalowy przewrócił stojące przy stole krzesło, takie z metalowymi nogami i drewnianym siedziskiem. Przewrócony mebel prezentował strukturę czterech metalowych nóg połączonych porowatym, lekko zardzewiałym spawem. Stalowy rozglądał się nerwowo dookoła, w końcu uśmiechnął się tryumfalnie.

- A to dywan...

W jego rękach znalazł się płaszcz, dotychczas spokojnie spływający z wieszaka obok. Palto stanowiło najwyraźniej własność pani urzędniczki, bo zrobiła mocno zdenerwowaną minę, ale Stalowy był szybki jak grom.

- I dywan trze o spaw, i się strzępi...

Tu zaczął trzeć płaszczem o spaw, sprawdzając co chwilę, jak się strzępi.

- A to jest, pani se wyobrazi, gówno ptaka...

Chwycił za niedopitą kawę w szklance, bryznął fusami na rury i ponowił tarcie, do ataku chemicznego dokładając uszkodzenia mechaniczne.

- Co pan robisz?! Won mi stąd! - krzyknęła pani, nagle zainteresowana problemem trzepaków. - Przestań, do cholery, to mój płaszcz!

Zaczęli się siłować i wyrywać sobie coraz bardziej zeszczacone wdzianko.

- Spierdalać, menele! - wrzasnęła po odzyskaniu płachty. - Będą mi tu pokazywać, jak ptaki srają. Na moim płaszczu!

- Do widzenia. Jeszcze się zgłosimy z pytaniem o postępowanie sprawy. - Stalowy się uklonił, i wszyscy czterej wyszli. To znaczy trzech wyszło, a czwarty, Kisiel, się wytoczył. Czerwony jak burak, ciężko dyszał ze zdenerwowania, oczy wodziły błędnym spojrzeniem po zebranych.

- Do cho... do cholery, panie Opałek, Stalowy, kurwa! Pan mi tu życie zniszczyłeś, pan za to odpokutujesz! Jak ja teraz tu przyjdę? Nie chcę was znać! Precz z oczu!

Wybiegł, ciężko dysząc i łkając, na plac przed urzędem.

- Dziwne - mruknął Pająk. - Im bardziej się staramy, tym nas mniej lubią.

Stalowy odburknął, że tak już jest z hołotą. I pomaszzerowali z powrotem. Po drodze mijali pobliski trzepak. Obserwując jakąś nieszczęsną niewiastę pomstującą na brud i zadziory, od których jej chodniczek się zniszczył, Stalowy utwierdził się w przekonaniu, że zrobił dobrze. Marian podziwiał w duchu Stalowego, że umie tak działać. A Pająk pomyślał, że gówno go obchodzi trzepak, i w ogóle cała ta planeta.

Wątroba wrócił już do siebie po przeżyciach poranka. Liczba interesantów rosła. Dyżurny, rumiany jegomość, ledwo mógł utrzymać

w ryzach napierający tłum. Jakaś kobiecina opowiadała, że ktoś jej wyrwał torebkę podczas zakupów, a ona co prawda nie miała w niej za wiele pieniędzy, marne dwadzieścia złotych, ale była tam też w portfeliku fotografia jej pierwszego chłopaka, nie męża.

- No i jak to znajdziecie, albo ktoś znajdzie, to Waldek, broń Boże, nie może dostać tego zdjęcia, bo będzie...

Tu zrobiła ruch ręką po szyi, po czym pokazywała przez chwilę, jak dusi gąsiora, a potem go patroszy, wszystko z sadystycznym uśmiechem na twarzy. Dyżurny pisał protokoły, sapał i ocierał pot z czoła. W końcu wyciągnął tabliczkę z napisem: „Jestem w terenie” i uciekł na zaplecze goniony oburzeniem ludności. Wątroba przeszedł mimo tłumy i znów zasiadł przed obliczami Rycerza i Kataryniarza. Chciał popracować koncepcyjnie. Pierwszym etapem pracy koncepcyjnej była konsumpcja czterech bułek z pasztetową i chrzanem. Każdy kęs przybliżał jego mózg do rozwikłania nowej zagadki; rozpoczął od skojarzeń, rysował w głowie mapę asocjacyjną, na której centralne miejsce zajmowało wąsate, śniade oblicze podparte popiersiem w różowej koszuli. Od tego punktu rozchodziły się promieniście nici skojarzeń. Każde skojarzenie po fazie fantazjowania należy skonkretyzować faktami, liczbami i planem dalszego postępowania. Pasztetowa z chrzanem działała świetnie, mózg Wątroby wchodził już na trzeci poziom wydajności. Do punktu centralnego podłączone zostały napisy: mafia, terroryzm, szejk, bójka na chrczinach. W porywie twórczego zapału Wątroba wypisał nawet „Salam Alejkum”.

صباح الخير

powiedziało wąsate oblicze. Wątroba, wcale nie zdziwiony, nic nie zrozumiał, ale spytał się na wszelki wypadek:

- Kto cię załatwił, kolego? Pomóż w robocie, bądź człowiekiem.

الناس تحت الأرض

Wątroba znowu nic nie zrozumiał, a człowiek, widząc swoją bezsilność, zaczął się pieklić i rzucać mięsem po arabsku. Po czym zapalił sziszę i patrzył już tylko w szyderczej ciszy na pucułowatego komisarza; wkrótce wąsata twarz skryła się za kłębam dymu, wśród których co rusz wybuchały ataki rozdzierającego płuca kaszlu. Wątroba zaczęła rozwiewać dym rękoma, ale pojawiała się go coraz więcej i więcej. Komisarz powoli przestawał cokolwiek widzieć, chmura nie była już lokalna, stała się globalna. Wszechogarniająca i tak gęsta, że można by ją kroić. Wokół zaczęły szeptać jakieś duchy nie-duchy, dym rozbrzmiewał śmiechem, przekleństwami, bajdurzeniem o dupie Maryni i tysiącem innych zbędnych normalnemu człowiekowi słów i dźwięków, a wszystko to po arabsku. Głowa Wątroby zdawała się być pompowana tym gadającym dymem, ból rozsadał mu czaszkę, zjawy krążyły wokół w akompaniamencie gruzliczego kaszlu, szeptały wprost do ucha. Komisarz chwycił się pewnej myśli jak ostatniej deski ratunku – pasztetowa. Mówił o niej, myślał panicznie, błagał siebie o kęs bułki z pasztetową, a wtedy przeżyje, był o tym przekonany. W dymie wymacał coś – ratunek! – wcisnął zdecydowanym ruchem do ust i zaczął żuć. Wiedział: żuć teraz znaczy żyć.

– Panie komisarzu, panie komisarzu! Moja Miki, proszę przestać.

Wątroba otworzył oczy. Światło docierało, mówili po polsku. Żył. Coś wystawało z jego ust. Chwycony przedmiot okazał się być gumową myszką Miki, którą Chwiejczak dostał od syna po wycieczce do Disneylandu. Trochę wymiączana, ale cała, Miki wymieniała właśnie wyrazy oburzenia z Zawiszą i Katary-niarzem. Wątroba zobaczył wokół siebie krąg zdumionych twarzy. Poczul, że musi wyjść z tego pomieszczenia.

Pod trzepakiem znowu nic się nie działo. Stalowy z kompanami siedzieli i nudzili się jak zwykle. Chwilę zajęło im oglądanie przyrdzewiałych spawów i brudnych rur trzepaka, na które dotąd nie zwracali uwagi. Ale temat został wyczerpany po kilku minutach i dawny stan powrócił. Po drugiej stronie podwórka pojawił się Kisiel z dużą torbą, spojrzął na nich z ukosa i poszedł dalej, mruczając coś pod nosem.

– Chyba by go trzeba udobruchać. – Marian westchnął.

– Może nas w du...dużą buźkę pocałować – zaczął gardłować Stalowy, ale Pająk wyjątkowo zabrał głos w sprawie:

– Stalowy! Chcesz kumpla tak załatwić?

– Jaki on mój kumpel... – zaczął Stalowy, ale Pająk popatrzył na niego tak, że dokończył, jakby sam sobie tłumacząc. – Kisiel to super kumpel, no, trzeba by go pocieszyć. Co nie? Postawić co?

– To nie dla Kisiela. Nie każdy się da za wódę pokroić, Kazek.

Stalowy zmarkotniał, wachlarz środków prześlagałnych wyraźnie mu się wyczerpał.

– No, too... – zaczął niepewnie.

– No, to trzeba tam pójść i przeprosić. I Kisiela uniewinnić w oczach tej paniusi.

Stalowy mruknął coś pod nosem, kombinując przez chwilę, jak się uwolnić od tej nieprzyjemnej powinności, ale nic mu nie przyszło do głowy. Pomamrotał więc dla zasady coś o francowatych urzędasach i pierdzistołkach, ale mina wskazywała, że się zgadza. Poszli.

Pani przy biurku była już po drugiej kawie, sądząc po nowych fusach w szklance. Oczyszczony naprędce pod kranem płaszcz suszył się na dwóch rozłożonych stołkach, zniszczeń nie było widać, przynajmniej na mokro. Zapukali i weszli we trójkę. Wszystkie głowy urzędników i jednego interesanta zwróciły się w ich stronę, wietrząc sensację. Pani na ich widok zamarła na moment, po czym rzuciła się do krzeseł, zasłaniając płaszcz własnym ciałem.

– Nie dam, nie dam, choćbyście nie wiem co robili, nie dam! – krzyczała wściekle.

Po sekundzie, przypomniawszy sobie, że niedopita kawa może stanowić narzędzie ataku, rzuciła się na nią, chwyciła szklankę i wróciła na pozycje obronne, dysząc w desperacji.

- Wara ode mnie, warrra... - Wyglądał jak lwica przed skokiem. Stalowy popatrzył bezradnie na kamratów. „Boże, co za baba!” - jego oczy mówiły to zdanie wystarczająco wyraźnie, żeby w odwecie dostać się za chwilę w pazury tej lwicy.

- Bo kolega chciał przeprosić... - zaczął Pająk gaszony wściekłym spojrzeniem Stalowego. - Nie wie, jak to się stało, że pani ten płaszcz tak...

Kobieta patrzyła na nich podejrzliwie, ale zaczynała wyglądać już bardziej ludzko.

- On trochę tego... - Pająk pokręcił dłonią koło czoła. - Ale niegroźny. Tylko ma takie odpały, jak mu zimno albo duszno.

Stalowy zaczął wyglądać jak pani przed chwilą. Już otwierał usta, cały purpurowy, ale Pająk go ubiegł.

- A ten staruszek przed nami to był tak zbulwersowany i tak na nas nakrzyczał po wyjściu, że jesteśmy łobuzy, bo piękne kobiety obrażamy...

Oblicze urzędniczki rozpozogdziło się jak słończko na pierwszego maja.

- Źe kolega chętnie coś zrobi, żeby wynagrodzić straty. No! Kolega, zrobi, zrobi coś! - Pająk szturchał Stalowego, żeby ten się uaktywnił.

- Tak, tak, kolega, no, tego, chętnie coś bym zrobił, mhm, żeby, tego, pani, nie była... - dukał Kazek, ale urzędniczka go zagłuszyła.

- Ach, nie ma sprawy, płaszcz to jeszcze nie wszystko. Pan Kisiel was skrzyczał, za mnie...? Powiedział, że jestem... mhm. To wy się nie znaliście? Pan Kisiel mnie bronił?

- To on się nazywa Kisiel?! - dopytywali się Marian i Pająk z udawanym zaciekawieniem. - Cóż za wspaniały człowiek, tak się dla drugiego narażać! - podgrzewali atmosferę.

– Cóż za wspaniałe nazwisko! – Pająk z Marianem już nie wiedzieli, czym się zachwycać. Stalowy się nie zachwycał w ogóle.

Po chwili wyszli, zostawiając panią Halinkę całą w skowronkach. Obiecała również zająć się od jutra ich sprawą, a jej oczy mówiły, że spawy i rurki trzepaków góra za tydzień będą gładkie i czyste. Jedyne Stalowy był jakiś markotny, spoglądał co chwila to na Pajaka, który wyraźnie już przygasał do dawnego stanu, to na urząd gminy za nimi i mamrotał coś do siebie. Od czasu do czasu przebijało się jakieś słowo lub część słowa, coś jak „erdolona aniusia” albo „uje nie koledzy”. Ale może chodziło o inne słowa, tylko wiatr tak zmieniał sens tej mamrotaniny. Koniec końców Stalowy mruknął całkiem już wyraźnie: „Cześć pracy” i poszedł do domu, gdzie małżonka czekała od wieków na cud boży. Ale ten się niestety dziś nie wydarzył.

III. Dzień drugi

I znowu noc ustępowała miejsca dniu i znowu słońce próbowało ominąć swoim wzrokiem ten nędzny padół łoż, ale dali mu kopa w du...dużą buźkę i, chcąc nie chcąc, wychynęło. Zaraz za osiedlem pyszniła się wielka konstrukcja starej walcowni. Czasy świetności obiektu to okres międzywojenny, a później – podczas gierkowskiej drugiej Japonii. Innymi słowy: solidny wczesnokapitalistyczny fundament, wzniesiony pracą, potem i krwią ludu pracującego za miskę ziemniaków, przykryty socjalistyczną tandetą wzniesioną przez ludzi pracy kolejnej generacji, również minionej. Walcownię postawiono na terenie należącym onegdaj do wielkiego przemysłowego magnata von Schwansteinkohenbohlenwora. Nazwisko to było za trudne nawet dla Niemców, a co dopiero mówić o polskich pionierach tamtych czasów. Dlatego pamięć o człowieku budującym industrialny potencjał tych ziem przetrwała w określeniach typu: „jakiś Szkop albo Żyd zasrany”. Co bardziej światli dochodzili do Szwanstajna, a dalej dodawali tylko: „i coś tam jeszcze”. I tyle o nim wiedzieli ludzie teraz tu mieszkający. Wiedzano również, że walcownia stanowiła kiedyś tylko część kompleksu, ale naziści, wycofując się, wysadzili sztolnie kopalniane, podobno z setkami pracujących tam więźniów. Przybyli zaraz potem bracia więksi, z gwiazdą na otoku, zrobili inwentaryzację sprzętu i wyprawili wszystko za Ural. Walcownia też już była złożona i rozparcelowana na wagony, ale jeden z lotniejszych inżynierów, choć komuch z armii Berlinga, upił się z komendantem miasta Kozłodupcowem, następnie resztką sił umysłowych sformułował krótkie pismo o treści: „Prokatnyj stan ostajot, swołocze, job twoju mać” i dał do podpisania

niekontaktującemu, choć władającemu jeszcze ręką Kozłodupcowowi, a potem przekazał kierownikowi transportu. W ten sposób walcownia została, a Kozłodupcow dostał awans za szybką likwidację kompleksu przemysłowego. Brak kilkuset ton urządzeń walcowni za Uralem w papierach przemilczano. Ze sprawą starego kompleksu łączyła się jeszcze jedna historia, legenda o skarbach von Schwansteinkohenbohlenwora. Podobno podstarzały, zdziwaczały bogacz, widząc upadek swojej fortuny w ostatnich tygodniach wojny, znalazł najniższej położoną sztolnię, zwiózł tam niebawem bogactwa ze swojego zameczku, westchnął „Auf Wiedersehen” i wysadził w powietrze wejście do tego sezamu ze sobą w środku. Inni mówili, że to bujda, bo w ostatnich tygodniach wojny to każdy o swoim tyłku myślał, a nie ze złotem pod ziemię latał. Zresztą przecież stary sam by tego tam nie zaniósł, a nikt się nie chwalił, co by z tym Szkopem czy Żydem zasranym jakąś akcją skutecznie. No ale to mówili już nowi ludzie na tych ziemiach; ślad z przeszłości został urwany bezpowrotnie. Obecnie walcownia przeszła trzecią fazę prywatyzacji, o czym świadczyły zbite lustra szyb pod powałą, krzaczki kielkujące na łączeniach płyt chodnikowych i melancholijnie dyndający szlaban, który niczego nie miał zamiaru chronić. Ostatni stróż wybył z terenu jakieś trzy lata temu, i od tego czasu zakładu pilnowała tabliczka: „Wstęp wzbroniony. Obiekt chroniony”. Tabliczka jednakże nie była skutecznym wartownikiem – po obiekcie wałęsały się psy, złomiarze, wielbiciel wina i pary bawiące się po dyskotecce. Te wycieczki ukrócił wypadek, gdy na człowieka spadł jakiś pręt z dachu. Faceta ledwo odratowali, ale wałęsających się po starej hali ubyło. Tak było jeszcze w zeszłym miesiącu, lecz sytuacja się zmieniła kilka tygodni temu. W miejsce szlabanu wprawiono furtę, dziury w ogrodzeniu załatano, a starą tablicę zastąpiono nową z podobnym tekstem, choć chyba bardziej agresywnym, kwestia gustu. Do każdego wkraczającego na teren wychodził na spotkanie miły, elegancki człowiek i w grzecznych zdaniach przekazywał treść krótką: „Spadaj albo czapa”. Komunikat

był czytelny dla każdego. Ludzie gadali, że łażą po starej walcowni jacyś obcy i zagląдают we wszystkie kąty. Ciekawość gminu rosła, a informacji brakowało. Aż pewnego dnia przy bramie pojawił się wielki napis „Kalif Donut Corp.”. Nic on ludziom nie mówił; określenia typu Zakłady Wyrobów Gumowych albo Centrala Rybna były znane i lubiane, no a kto by lubił takiego Kalifa Donuta, i do tego Corpa.

Wątroba doszedł już do siebie po dymnej imprezie. Wąsate lico zniknęło sprzed oczu, straszło jedynie z wydruku technika. Sekcja zwłok wykazała, że śmierć nastąpiła w wyniku uderzenia jakimś wielkim, ostrym narzędziem w klatkę piersiową. Uszkodzone zostały serce i płuca ofiary, zgon był natychmiastowy. Całe ciało pokrywał pył węglowy. Tatuaz na ramieniu – bliżej nieznanym symbol przedstawiający kilof i miecz oplecione jakimiś powykręcanyimi liśćmi – został dokładnie obfotografowany. Ogólnie mówiąc, Wątroba wiedział tyle co wcześniej, z tą różnicą, że teraz żądano od niego błyskawicznych efektów. Przyszło mu do głowy, że może by tak znowu zrobić sieć skojarzeń, ale wspomnienie piszczącej, gumowej Myszki Miki w ustach było jeszcze zbyt żywe, żeby ryzykować. Rozpoczął w internecie poszukiwania godła z tatuazu. Może to coś wyjaśni, choć dziś wszystko jest na sprzedaż. Każdy symbol, choćby najświętszy, można sobie wytatuować gdzie kto chce i chwalić się nim dziewczynie podczas pierwszej randki. Albo chłopakowi. Wątroba zaczął się zastanawiać, jaki symbol pasowałby do niego, może balon nad Saharą... Rozmyślenia te przerwał dyżurny, który wrócił już za swoją ladę i przeklinając w duchu stare baby i głupich matolów, znowu spisywał te wyrwania torebek, zaczepki w parku albo podpalone śmietniki. Przyniósł wezwanie.

I tym razem było to zabójstwo, i tym razem znaleziono ciało gdzieś na nadrzecznych polderach. Wątroba zmartwił. Znowu będzie musiał słuchać tego idioty Dobrowolskiego. Może przynajmniej ratlerka tam nie będzie.

Wątroba mylił się. Ratlerek również był. Znalazcą ciała po raz wtóry okazał się gruby hurtownik spacerujący z psiną. Dzielnicowy, jak tylko zobaczył zwalistego kolegę, natychmiast uciekł wzrokiem w drugą stronę, udając, że ma coś strasznie ważnego do oglądania, hen tam, ponad głowami. Wątroba miłosiernie ominął Dobrowolskiego przy zbieraniu informacji, i udał się wprost do kolegi po posturze.

– Panie, kurdwa, czy wy mi tu coś złośliwie podrzucacie? Ja tu piętnaście lat mieszkam i takiego cyrku jeszcze nie widziałem. A kto mi tych nierobów w magazynie teraz przypilnuje? Wyślijcie tam jakiegoś posterunkowego z pałą, a my tu sobie o truposzach będziemy gawędzić, choćby całymi godzinami.

Wątroba puścił mimo uszu tę tyradę wstępną i zaczął drażnić konkrety. Obraz układał się znajomo. Bładym świtem spacerek wzdłuż rozlewisk i rowów. Przy którymś dole zobaczył nogi wystające zza trzcin. W błotnistej mazi leżał człowiek, starszy gość, hurtownik nigdy wcześniej go nie widział. Wątroba poszedł oglądnąć ciało, lekarz rozsunął zamek błyskawiczny. Komisarz uniósł brew.

– Ja go skądś znam. Chyba mieszka gdzieś na moim osiedlu.

Zamek podjechał do góry. Zdjęcie wylądowało w dłoni Wątroby. Komisarz poprosił jednakże o otwarcie po raz drugi. Lekarz, nieco zdziwiony tym zaangażowaniem, rozsunął poły wora. Ale Wątroba nie patrzył już na twarz, chciał sprawdzić, co błysnęło tuż przed zaciągnięciem zamka. Zabity ścisnął w dłoni malutki medalik z resztkami srebrnego łańcuszka; ścisnął tak mocno, że srebrny połysk był widoczny tylko pod pewnym kątem. Wątroba zawołał technika i kazał mu znaleźisko wyciągnąć, a do lekarza się zwrócił z wymówką:

– A pan co, nie widział tego?

Lekarz mruknął pod nosem coś o nadpobudliwych nadgorliwcach i zaczął wypełniać swoje papiery. Wątroba po chwili trzymał woreczek z medalikiem. Spodziewał się Matki Boskiej albo innej świętej postaci, ale medalionik przedstawiał miniaturową płaskorzeźbę kilofa i miecza oplecionych liśćmi. Wątroba poczuł lekki ucisk w żołądku, jak

zawsze kiedy śledztwo zaczynało przynosić efekty. Wspólny dla obu ofiar znak oznaczał szansę na skonkretyzowanie faktów, motywów, obszaru czynu oraz, co nie mniej ważne, umożliwiał rozpoczęcie prac koncepcyjnych z wykorzystaniem bułek, paszтетowej i innych pomocnych w myśleniu rzeczy.

Ekipa Stalowego wróciła już na swoje cudne manowce. Nastrój jednakże panował ponury. Kazek nie mógł wciąż przeboleć przeżytych w gminie upodzeń. Odzywał się do kompanów półgębkiem, a jego mina wyraźnie mówiła, że wczorajsza mamrotanina nie była jedynie złudzeniem akustycznym. Taka postawa mogłaby sprowokować Pająka albo Mariana do rozmyślań o naturze ludzkiej, o kreowaniu poczucia odpowiedzialności za czyny w praktyce, o sposobach motywacji i rozwiązywaniu konfliktów w grupie. Mogłaby, ale nie sprowokowała, bo Pająk wszystko to kwitował milczeniem, okraszonym jednym słowem „dupa”. Niemniej akcja najwyraźniej zachwiała, wydawałoby się zabetonowanymi, relacjami przywódczymi w grupie. Kazek poczuł się jak marionetka we wprawnych rękach Pająka. Po kilku minutach jednak nastrój się poprawił, tym bardziej że Marian dostał rentę i można było pobiesiadować. Stalowy wytłumaczył sobie po trzech głębszych, że jedna jaskółka wiosny nie czyni, kamraci słuchają go jak dawniej, a nie można być marionetką w rękach Pająka, bo pająk ma tylko nogi. Ubawiony wewnętrznie tym zoologicznym kalamburem perorował i wodził rej jak zwykle, zaczepiając spokojnych przechodniów i zakłócając spokój publiczny.

Od kilkudziesięciu minut na pobliskim skwerku stał elegancko ubrany jegomość. Marynarka, buty, fryzura, wszystko to zdradzało posiadanie portfela wypchanego dolarami, tak przynajmniej pomyślałby przeciętny zjadacz chleba i wypijacz wódki. Elegancki jegomość miał lekko smagłą twarz i najwyraźniej pochodził gdzieś z południowego wschodu świata. Po dłuższym wpatrywaniu się w ekipę Kazka podszedł do nich i przedstawił się. Mówił dobrze po polsku,

jedynie lekki akcent zniekształcał jego ładną, poprawnie artykułowaną polszczyznę. Ładnej wymowy mogłaby mu pozazdrościć nie tylko większość mieszkańców Azji i Afryki, ale również większość mieszkańców Śląska, Wielkopolski, Kujaw, Pomorza i innych części naszego pięknego kraju. Jegomość przedstawił się jako Kadm-Al-Achim-Ebn-Rozwada. Wrażenie było piorunujące. Przez chwilę milczeli, patrząc niemo na przybysza.

- Że... że... jak? - rozpoczął zaznajamianie się Kazek. - Roz-wa-da? Ki diabeł?!

Smagłego przybysza nieco wzburzyło niemiłe przyjęcie, ale opanował się na tyle szybko, że tylko coś jakby cień przemknął przez jego twarz.

- Tak, Kadm-Al-Achim-Ebn-Rozwada z Kalif Donut Corporation, mieszkam tu niedaleko.

Wyobraź sobie, że podchodzi do ciebie rycerz średniowieczny w różowym czepku kapielowym i zagaja, że nazywa się Byczy Róg, mieszka tuż obok i uważa, że jesteś git. Mniej więcej tak sytuację postrzegali trzej panowie na ławeczce, ale po pierwszym szoku przedstawili się.

- Pająk...

- Marian...

- Kazimierz Opalek. Z jakiego korporejszyn?

Kadm-Al-Achim-Ebn-Rozwada powtórzył nazwę firmy i zaczął tłumaczyć swoje najście, mianowicie że jest przedstawicielem zagranicznego inwestora, który uruchamia w starej walcowni produkcję pączków, że na pewno słyszeli o słynnych pączkach Kalifa, że pierwsze produkty już schodzą z linii, a oni szukają załogi, którą by mogli zatrudnić. Panowie słuchali go z zainteresowaniem, popijając jabola, żeby nie stracić odpowiedniego poziomu płynów ustrojowych. Na koniec Stalowy prychnął pogardliwie:

- Ja tam na żadną linię nie idę, nie po to się ma dwie ręce i łeb na karku, żeby u jakiegoś Araba za miskę ryżu napiżdzać. Tyle się słyszy

o wyzysku przez obcych kapitalistów. Co tam macie jeszcze oprócz produkcji pączków? Jakichś niby słynnych pączków Kalifa!

Kadm znowu się zasępił na sekundę, ale odparł:

– Na chwilę obecną szukamy obsługi terenu. Ludzi uprzejmych, o miłej aparycji, którzy będą klientom służyć pomocą i wskazywać drogę do naszego punktu sprzedaży. Praca lekka, na świeżym powietrzu, dajemy mundur i buty.

– Mundur? – zdziwili się.

– Tak, ale piękny, galowy, nie jakiś zwyczajny. Nasi pracownicy mają wyglądać elegancko. Kalif dba o to.

Trójka przez chwilę dumiała nad informacjami przekazanymi przez nowego kolegę. Twarze wyrażały kompletną bezradność wobec złożonej propozycji. Praca? Mundur? Może jeszcze codziennie trzeba by wstawać o tej samej godzinie? Co to za Kalif? Dziwnym trafem nie zastanawiali się, dlaczego człowiek szukający ludzi uprzejmych i o miłej aparycji zwrócił się właśnie do nich. Zdolność do samokrytycyzmu jest rzadką i bardzo niepotrzebną w życiu cechą.

– Za ile? – zapytał trzeźwo Marian. – Za zeta albo dwa na godzinę to nam pan nawet gitary nie zawracaj.

– Kalif Donut Corporation dba o swoich ludzi. Dajemy piętnaście, no, szesnaście złotych za osiem godzin lekkiej pracy. Przyjmujecie?

O ile wizja pracy za dwa złote za godzinę była hańbą nie do przyjęcia, to już szesnaście złotych za ośmiogodzinny trud wydało się propozycją kuszącą. Kazek właśnie zaczął się zastanawiać, kiedy miał do własnej dyspozycji więcej jak piętnaście złotych na raz. Było to jeszcze przed denominacją i ówczesne złote świetnie się nadawały jako podkładki pod śruby.

– Ja przyjmuję. – Stalowy zdecydował za siebie i patrzył teraz wyzywająco na tych dwóch wahających się nierobów. Ale oni też się zgodzili.

– Zapraszam ze sobą. – Kadm odwrócił się na pięcie.

- Jak to? Już teraz? - Akcja rozwijała się nieco za szybko jak dla ich skołatanych nerwów.

- Im szybciej, tym lepiej, chodźcie, płaca już leci.

To ich przekonało. Pobiegli za nowym pracodawcą. Pozostawione butelki z resztkami płynu i ławeczka koło trzepaka nie mogły się otrząsnąć ze zdziwienia. To się jeszcze nie zdarzyło, żeby coś zostawili.

Wątroba siedział i dumał. Myślał o tym, co ważnego ma dziś do zrobienia. Początkowo chciał już jechać w swoje okolice, by wykorzystując kontakty, odkryć tożsamość denata znalezionego w rowie. Po chwili namysłu doszedł jednak do wniosku, że znajomość innych faktów, a przede wszystkim informacja o pochodzeniu znaku z medalika może ułatwić mu zadanie w dalszym śledztwie. Chwiejczak przyniósł całą dokumentację sprawy, górę dokumentów łącznie ze zdjęciem każdego przedmiotu znalezionego przy obu denatach. Sapał przy tym jak parowóz.

- Kondycja siada, co nie? Trochę ruchu na świeżym powietrzu by się przydało.

Chwiejczak mruknął tylko: „Tak jest”, ale bez zwykłego entuzjazmu i poszedł pomagać dyżurnemu, bo facet od kilkunastu minut nadawał sygnał SOS, tonąc pod naporem wkurwionych interesantów.

Wątroba, przeglądając fotografie, trafił na zdjęcie medalika smagłego wąsacza; również tutaj widniały miecz i kilof. Ten znak zaczynał się robić bardzo ważny.

- Co za diabeł tu miesza? - mruczał do siebie komisarz, wertując papiery.

- Normalny, diabli diabeł - dobiegł go uprzejmy głos. Podniósł głowę znad roboty. Po drugiej stronie biurka siedział szczupły, błądy jegomość z bródką, w czarnym garniturze. Wątroba nie pamiętał,

żeby ktoś otwierał drzwi wejściowe, ale nie chcąc być niegrzecznym, powiedział tylko:

- Aha, dobrze, dziękuję. Strefa patentów jest tam. - Machnął ręką w kierunku ściany, za którą wrzało życie, i powrócił wzrokiem oraz myślami do swoich zajęć.

- Wiem - po kilku sekundach dotarła do niego spokojna odpowiedź. Podniósł głowę. Błady siedział dalej, patrząc melancholijnie na zwalistego policjanta.

- Mogę w czymś pomóc? - spytał lekko poirytowany Wątroba.

- Możesz sobie pomóc - usłyszał zaskakującą odpowiedź.

Zapadła cisza. Błady dalej patrzył melancholijnie na Wątrobę. Nie mrugał powiekami. I chyba nie oddychał, a przynajmniej tak wyglądał. Chwile bezczynności były wypełnione bezczynnością zupełną, tak jakby rzeźbę tu usadzono.

- Nie rozumiem - warknął w końcu Wątroba, już mocno zdenerwowany.

- Wiem, kto go zabił. - Skinął ręką w kierunku sterty dokumentów na stole. Wątroba zmarszczył brwi, podobizny wąsacza nigdzie nie było widać. Tkwiła schowana w stosie papierów. Więc niby skąd wiedział...

- I tego drugiego też - przerwał tę myśl błady przybysz. - I wiem też, kto zabije następnych. Mogę powiedzieć.

- Ale... - zaczął Wątroba. Melancholijne oczy patrzyły na niego bez przerwy, bez mrugnięcia, bez ruchu. - Ale kim pan jest? Co pan wie?

- Wiem wszystko - odpowiedział tamten i znowu zapadł w nieruchomość. - Mogę ci powiedzieć wszystko. Tak, tak. Wszystko, co chcesz.

I znowu nieruchomość.

- Panie, idź pan... Kto pan jesteś? Co pan wie? - Wątroba uniósł się z siedziska. - Dokumenty poproszę.

Blady uśmiechnął się blado i wyciągnął plastikową kartę. Białą, bez nadruku.

- Co to jest? Tu nic nie... - Wątroba spojrział na niby-dokument. Pokrył się kolorami i literami. Jan Nowak, ulica Bratkowa 6, Gniezno.

- Panie Nowak, o co chodzi?

- O ciebie, komisarzu. Chcę ci pomóc, ulżyć w twoim samotnym, szarym życiu. - Lico Nowaka nabrało rumieńców. - Mogę ci dać wiele, a w zamian chcę bardzo niewiele. Byles ze mną był. O, proszę. Mały prezent na dzień dobry.

W rękę Wątroby pojawiła się kartka, znikąd, zmaterializowała się po prostu pomiędzy jego palcami.

- Aaa! - wrzasnął Wątroba, strząsając gorączkowo papier na ziemię, jakby był zrobiony z rozżarzonych węgla. Popatrzył z przerażeniem na bladego jegomościa, który znowu znieruchomiał w swej nieludzkiej melancholii.

- Spadaj pan, panie Nowak, czy jak tam panu! - Rozglądał się za dowodem osobistym, który położył na stole, ale ten jakby wyparował. - Co to za sztuczki!?

- Wątroba, przemyśl swoje życie, może być lepsze. Ja jeszcze wrócę. Po ciebie.

Blady wstał i wyciągnął swoje szczupłe ręce odziane w rękawy czarnego garnituru. Pchnął zwałistego Wątrobę tak mocno, że policjant runął na stertę segregatorów i dokumentów. Te rozsypały się na wszystkie strony, stół przekoziółkował razem z komisarzem, ze ściany spadł zegar z kukułką, okna otworzyły się na oścież, żaluzje zaczęły walić w szyby jak szalone. Dyżurny i Chwiejczak wparowali do pomieszczenia gotowi do walki. Wątroba leżał jak długi wśród dokumentacji i wyposażenia. Przed nim spoczywała na podłodze podarowana kartka, jakby osobno. Chwiejczak podniósł ją, przeczytał, mruknął:

- Ho, ho, gratuluję. Niezłe tempo dochodzenia, panie komisarzu.

I położył kartkę na stole, który właśnie został postawiony na nogi przez dyżurnego. Wątroba rzucił się jak oparzony do blatu, porwał kartkę i zachłannie przebiegł po niej wzrokiem. Pod sporych rozmiarów odbitką znaku miecza i kilofa, otoczonych pokręconym listowiem, znajdował się następujący tekst:

Znak Saharyjskiego Bractwa Górniczego, organizacji o korzeniach sięgających jeszcze czasów świetności Egiptu. Działalność górnicza, ze względu na ciągłe zagrożenia i najazdy, została połączona z organizacją o charakterze wojskowym. W chwili obecnej Bractwo jest zaliczane przez policje większości krajów waszego ziemskiego świata do struktur o charakterze mafijnym. Wynika to z tajemnicy, jaką członkowie stowarzyszenia otaczają swoją pracę i strukturę. Oraz z wielu poszlak wskazujących, że są uwikłani w liczne niejasne interesy. Co zresztą mogą potwierdzić. Pozdrawiam – Nowak czy jakoś tak.

Pod spodem widniał podpis: nieczytelny zawijas. Wątroba, cały pobladły, przeczytał tekst po raz drugi i trzeci, i jeszcze raz. Nogi ugięły się pod nim i opadł na najbliższe krzesło ustawione po demolce przez uczynnego dyżurnego. Wyglądał kiepsko.

– Panie komisarzu, co się stało? Źle pan wygląda.

– Zobaczyłem, Chwiejczak, zobaczyłem... zobaczyłem Nowaka czy jakoś tak – dokończył już dużo spokojniej.

Chwiejczak i dyżurny wymienili znaczące spojrzenia i wyszli. Słońce miało ochotę powędrować już sobie do Australii.

IV. Dzień trzeci

Kochany dzienniczku! Wczoraj nic nie pisałem, bo zaczęłem pracę. Tak, wiem, stara też przeżywa szok, siedzi od rana w kościele i hymny dziękczynne pieje, że się Kazimierz poprawił. A może ty nawet nie wiesz, co oznacza słowo „praca”, bo i skąd, ja o tym nigdy nie pisałem. To takie coś, że nie robisz tego, co chcesz, tylko robisz coś, co ci każe Arab, i dostajesz szesnaście złotych. No, wczoraj sześć, bo była kaucja za mundur. A mundur mam piękny, ze złotymi kutasami, takimi frędzelkami znaczy. Czarny. Na czapce herb, jakiś młotek i coś, jakby nóż, wszystko w ziołach. Powiedzieli, że mam go godnie nosić i szanować, a szczególnie ten znak muszą szanować. No to szanuję, choć mi się wcale nie widzi jakieś arabskie fiu bzdziu na łbie nosić. Ten nasz Arab, nazywa się Kadm-Jakiś-Chuj-Go-Wie-Rozwada, to całkiem sensowny gość. Dał ubrania, powiedział co i jak, czyli że jak kto przyjdzie, to grzecznie do sklepu zapraszać, odpowiadać grzecznie na pytania, co to za Kalif Donat tu urzęduje, bo to niby ta nasza korporejszyn. Wszystko opowiedział, że Kalif, jak był młody, to sam piekł pączki, potem z kumplem, potem rządził tym kumplem i innymi też, a potem otworzył fabrykę w każdym kraju na świecie, gdzie jedzą pączki, oprócz Polski. A teraz mu się ta walcownia spodobała i ją kupił na fabrykę. Tak jakby walcowanie stali miało coś wspólnego z ciastkami. No to my z Pająkiem i Marianem kuli na pamięć ten tekst, każdy drugiemu opowiadał jako ćwiczenie. Pająkowi się ciągle myli donat z koniak, a ten Kadm to nerwowo się wtedy robi, bo to wódka, a oni, smoluchy, niepijący niby. Potem nam powiedział, że grzecznie ludzi do sklepu zapraszać, mówić co i jak,

ale dalej na halę nie wolno. Choćby zabić mieli, to nie wolno. Jak któryś będzie się awanturować, to telefon jest przy bramie, wprost do niego. A teraz to najlepsze jaja. Idziemy do tego sklepiku. Marna buda zaraz za bramą. A tam w białym fartuchu stoi Bolek. Ten spod nocnego, ten nasz durny Bolek. Stoi i robi za szychę w białym kitlu, sztywny jakby kij połknął. Też go ten Kadm zwerbował. My do niego z grabą, a ten idiota do nas: „Witam służbę ochrony terenu, Kazimierz na lewo, Marian na prawą stronę, Pająk proszę przy bramie, zmieniacie się pozycjami co godzinę”. No to jak Kadm sobie poszedł, to żeśmy wytłumaczyli Boleczkowi, że może nas w dupę pocałować, a rządzić to on se może najwyżej tymi pączkami na półce. Jak się już chłop otrzepał i zimne co na oko położył, to rację nam entuzjastycznie przyznał. A potem to były same nudy, raz tylko stary Zbychu z Łowickiej podszedł, żeby wyniuchać, czy jakiej sztachety się nie da wyrwać na surowiec wtórny. To żeśmy mu wytłumaczyli, że Kalif jest super dla społeczności miejscowej, ale nie da se sztachet wyrwać, bo mu potem w smagły zadek wieje. Czy jakoś tak to powiedzieliśmy, ale cały czas grzecznie. My grzecznie, a ten nas od kurew mauretańskich wyzwał. No to my grzecznie mu kopa w dupę zasadziliśmy, żeby drugi raz se języka nie strzępić na opornego debila. I już byśmy go ustawili po swojemu, a tu Kadm przylatuje, że tak nie wolno, że to klient, że go przeprasza, a na nas drze ryja, że Kalif Donat nie tak nas uczył. Już bym mu powiedział, gdzie mam tego jego Kalifa z tym donatem, ale żal mi się zrobiło tego munduru i tych szesnastu złotych. No tośmy mruknęli coś Zbychowi, że niby dziękujemy za wizytę, że niby jest git. A ten po nas tylko wzrokiem przejechał. A był tak zdziwiony, że słowa nie powiedział i poszedł sobie. Myśleliśmy, że wylecimy, ale Kadm nas po plecach poklepał i powiedział, że dobrze nam poszło. Bo my to takie diabły przy bramie, co nikogo nie puszcza, a on to ten dobry aniołek, co za nas przeprasza. Tamten, czyli Zbychu, jest zadowolony i do fabryki nie

włazł. A nikt nie może złego słowa powiedzieć o Kalifie, i tak ma zostać. Śmieszne było to stwierdzenie, że Zbychu jest zadowolony. Z czego? Że z buta dostał? Dziwna robota...

Wątroba, myjąc zęby, znowu miał wrażenie, że coś szoruje i gulgotce po umywalką; rzucił się tam i zobaczył tylko końcówki szarych uszek znikające w szczelinie za pralką. Ciekawe, co by zrobił nerwowo sąsiad w koszulce „Łaciate”, gdyby rzucił pralką o podłogę? Wszystko zależy od tego, czy strop by się zawalił na niego, czy nie, bo akurat znajdowałby się gdzie indziej. Tak czy inaczej pralki Wątroba nigdy nie podniesie. A nawet jeżeli, będzie to ostatni jego ruch przed wylądowaniem na wózku inwalidzkim. A mysz nie-mysz pewnie znowu zwieje. Spryciula. Wątroba chyba zaczynał ją lubić, co nie znaczy, że nie chciałby jej złapać za ogonek i trochę sobie nią powywijać.

Poranna krzątania na komendzie trwała już w najlepsze, kiedy komisarz przepychał się przez tłumek buzujących interesantów, odprowadzany podejrzliwym wzrokiem dyżurnego tonącego jak zwykle w drobnicy kryminalno-obyczajowej. Ten Nowak już nieźle namieszał w stosunkach służbowych. Wyniki sekcji znalezionych wczoraj zwłok były dostępne: śmierć nastąpiła w wyniku silnego uderzenia tępym narzędziem w głowę. Ciało również pokrywał pył węglowy. Układanka wydawała się być jednolita w formie, tylko treści jeszcze Wątroba nie znał. Po krótkim udawaniu pracy za biurkiem, choć zakończonym znalezieniem kilku stron internetowych zawierających znak bractwa w różnych dziwnych kontekstach, komisarz stwierdził, że musi pogadać o wczorajszym zamordowanym ze swoimi kontaktami. Pojechał. Dyżurny znowu włączył SOS, ginąc pod naporem ludzkim. Natomiast figurki stołowo-biurkowe, Zawisza i Kataryniarz, stały jak oniemiałe. Ani się nie przywitał, ani nie pożegnał. Cham w płaszczyku.

Osiedle w godzinach pracy wyglądało na pierwszy rzut oka tak jak po fajrancie, ale dokładniejszy obserwator mógłby wyłuskać niejedną

szczegół różniący te dwa obrazki. Lekko spokojniejsze ruchy przechodniów, mocniejszy akcent plam słonecznych na skwerze przy starej pompie i drgająca w powietrzu nieokreśloność bytu, który wyzoliwszy się z ram dyscypliny czasu i przestrzeni, nie wie, co zrobić z niezmierną wolnością. Każdy, kto przypadkiem wdepnie w tę atmosferę, nie wie, jak ma się w niej odnaleźć, jak działać w tak innym trybie rzeczywistości. Jednakże każda upływająca tam minuta to jak kolejna porcja odurzającego proszku, bez którego po kilku dniach nie da się żyć. Wątroba wpaść był właśnie w tę mętną galaretkę godzin południowych i szukał punktu zaczepienia dla swojej egzystencji.

Niestety sens egzystencji nie mógł zostać jasno określony z powodu braku osób, które zwykle tu przesiadywały. Stalowy z kompanami, i jeszcze Boluś z drugiej ławeczki, to byli ci, którzy widzieli i wiedzieli wszystko. Ale dziś ich zabrakło. Wątroba stał bezradnie, rozglądając się wokół, czy nie zobaczy znajomej gęby, ale nic się nie działo. Po chwili przyszło mu do głowy, że nie tylko Kazek zna się na miejscowych stosunkach. Mówili mu kiedyś, że mieszka tu taki dziadek, trochę ich kumpel, a trochę taki frajer, który stawia szkło. Jakże się on nazywał? Jakby coś do jedzenia. Budyń, galaretka? Chyba budyń, galaretka to głupie. Postanowił spróbować i wpytać się o domniemanego Budynia, najwyżej go wyśmieją. Alejką akurat szło trzech starszych panów z siateczkami, w których pyszniły się bułki, mleko i dzisiejsze wydanie „Gońca”.

– Przepraszam panów bardzo, szukam jednego człowieka, jestem znajomym pana Opałka... – Tu Wątroba się nieco zawahał, bo nie był pewien, czy powoływanie się na Stalowego to dobry pomysł.

– Szukam pana Budynia – dokończył, patrząc im prostodusznie w oczy.

Dwóch emerytów wybuchnęło niepohamowanym śmiechem, siatki wypadły im z rąk, ale oni nie zwracali na to uwagi, tylko

rechotali. Co śmiech milkł, to patrzyli na siebie i wybuchali nową salwą. Zaczęli również klepać trzeciego po ramieniu.

- No, panie Budyń, masz pan gościa. Może to pan Galaretko! - I znowu rechotali.

Trzeci, cały czerwony, wpatrywał się w Wątrobę. Ten, chcąc uciąć sprawę, huknął na dwóch wesółków:

- Proszę o spokój, nie nazywam się Galaretko. Jestem Wątroba. Komisarz Wątroba. - Wyciągnął dłoń na przywitanie.

To była tak zwana kropla, która przepełniła czarę. Weseli starszankowie zawyli śmiechem, usłyszawszy nazwisko komisarza; jeden z nich aż zgiał się cały we dwoje i ryczał, ocierając oczy kułakiem:

- Pan Wątroba do pana Budynia. Witam, mamy wspólnych znajomych, przesyłają pozdrowienia!

Kisiel, teraz już purpurowy z wściekłości, syknął tylko:

- Powiedz temu dowcipnisiowi Stalowemu, żeby sobie w dupę wsadził te swoje żarty i kalambury. Ma coś do mnie, to niech przyjdzie i powie, a nie wysyła jakichś fagasów.

Odszedł, trzęsąc się ze złości i zażenowania. Wątroba nie wiedział, o co chodzi. Na szczęście jeden z dziadków już oprzytomniał i uświadomił go, że Budyń nazywa się Kisiel. Natomiast Stalowy wyciął mu taki numer w urzędzie, że go prawie na oddział wzięli, bo by zszedł chłopina z tej wściekłości. Potem zebrał rozsypaną spożywkę z chodnika i oddalił się, wołając:

- Do widzenia, panie Wątroba!

Komisarz znów usłyszał rechot. Poniewczasie przeklinał w duchu swój genialny pomysł powołania się na znajomości. Można się było domyślić, że Stalowy nie ma wysokich notowań. To taki, co rośnie, gdzie go nie posiali, i właściwie tylko tam.

Po chwili zauważył Kisiel wychodzącego ze śmieciami z najbliższej klatki. Wątroba podszedł do niego i znów zagaił. Po kilku zdaniach wyjaśnień starszy pan dał się udobruchać. Powiedział

nawet, że nie ma do Stalowego żalu, bo mu sprawę w gminie odkręcili i teraz trzepaki w całej dzielnicy będą odnawiane.

- Ale rozumiesz pan, ja tu coś znaczę, w Kole Seniorów skarbnikiem jestem. A pan mi tu wyjeżdżasz z Budyniem i Wątrobą. Przecież to mi autorytet podrywa. Jak ja mogę teraz im coś powiedzieć? Budyń kazał ci zapłacić zaległe składki! Będą mnie prześladować aż do śmierci.

Po wylaniu wszystkich pretensji Kisiel opadł na zwykły tryb pobudzenia i Wątroba wyczuł, że czas już na pytania dotyczące sedna jego wizyty. Wyciągnął zdjęcie i pokazał.

- Zna go pan?

Kisiel patrzył przez chwilę na zdjęcie. Nawet po dobrym retuszu fotki twarz trupa nie wygląda jak twarz kogoś żyjącego, a ta tutaj była surową odbitką. Robiła wrażenie.

- A co mu się stało? O co chodzi?

- Zna go pan - stwierdził Wątroba. - Kto to jest? Został znaleziony. Zabity.

- To Wiesiek, Wiesław Mariac. Kolega. A czego on taki... taki... - szukał odpowiedniego słowa - taki szary?

- Przyprószony węglem, pyłem węglowym konkretnie. To coś znaczy?

- Hm, nie, nie, chyba nie! - Kisiel nie był pewny. I dziwnie zdenerwowany się zrobił. Wątroba wiedziony policyjnym instynktem czuł, że teraz powinien go lekko przycisnąć.

- A może jednak? Znaleźli go za rzeką, nie tutaj. Miał pan z nim jakieś kontakty? Mówił coś o swoim życiu? Gdzie on mieszka?

- Wiesiek to wdowiec, zamknięty człowiek. Nie znaliśmy się za dobrze, czasem zaszedł do Klubu Seniora, ale to raczej samotnik. Mieszkał od zawsze na Wrzosowej. Wrzosowa pięć przez trzy. Na piętrze po lewej. A policja nie ma dostępu do adresów ludzi?

Wątroba zapewnił go, że organy ścigania w pełni kontrolują sytuację. Tylko że szkoda mu czasu na powrót na komendę. Kisiel szybko się pożegnał, mówiąc coś o pilnej robocie. Poszedł do siebie. Raz czy dwa razy obrócił się, rzucając badawcze spojrzenie na Wątrobę. Komisarz patrzył na niego i myślał o tym, jak to wszyscy wiedzą wszystko o innych. Niby nie znał dobrze denata, a adres wykuty na blaszkę. Zadzwoił do Chwiejczaka.

- Chwiejczak, przyjdźcie tu na Pomorską osiem. Brakowało wam ruchu na świeżym powietrzu, musimy to nadrobić. Co? Dyżurny nie wyrabia? To przekażcie mu, że go będziemy wspierać. Duchowo. Tak. I szybko, bo mi ptaszek poleci! Słucham? Nie, nie gołąb. Kisiel. Nowy gatunek, bardzo rzadki. Pospieszcie się.

Wątroba znał takich nerwowych dziadków. Często zdarzało się, że nie mogli usiedzieć w domu z niepokojącą wiadomością, lub musieli coś sprawdzić, albo kogoś ostrzec. I wtedy dobrze wysłać za takim ogon. Ale nie może to być stuczerdziestokilogramowy facet w kapelusiku, który przed chwilą rozbawił swoim zachowaniem pół osiedla. Potrzebny ktoś tak niepozorny jak Chwiejczak. Byle nie w mundurze.

- Rany boskie, mam nadzieję, że ten facet nie przyjedzie w mundurze. - Już miał go ostrzec telefonicznie, żeby się nie wygłupiał ze strojem, kiedy Kisiel wyszedł z domu i pomaszerował ulicą.

- Chwiejczak, Chwiejczak, idę tą Pomorską, przyjeżdżajcie szybko. Tylko błagam, nie w mundurze. Co? Już jedziecie? O, w mordę! Macie jakiś sweter? Aha. No, trudno. Niech będzie - syczał do telefonu Wątroba, idąc w dość dużej odległości za Kisiel.

Zachowywał na tyle bezpieczną odległość, żeby śledzony go nie zobaczył. Zdawał sobie jednak sprawę, że może go w każdej chwili zgubić. Kisiel szedł, stawiając szybkie, nerwowe kroki, Wątroba z trudem utrzymywał stały dystans. Wreszcie do krawężnika obok niego podjechała znajoma zielona Skoda. Wątroba zbliżył się do Chwiejczaka i udając, że poprawia coś przy bucie, powiedział:

– Idźcie za tym starszym gościem. Zanotujcie, gdzie poszedł i z kim gadał. Jak dacie radę, to podsluchajcie.

Chwiejczak mruknął: „Tak jest” i ruszył. Wątroba podniósł wzrok za oddalającym się podwładnym i zaklął pod nosem, nie wierząc własnym oczom. Chwiejczak wędrował za Kisielem, dumnie prezentując ogromnych rozmiarów bluzę dresową z napisem: „Piwo ukształtowało to wspaniałe ciało” oraz rysunkiem wesołego łysego faceta pchającego taczkę, na której leżał jego ogromny brzuch. Chwiejczak wykonał rozkaz osłonięcia munduru. Nie było się do czego przyczepić.

Kolejnego dnia pracy towarzystwo w czarnych mundurach ustalało swoje nowe przyzwyczajenia, jak również normy zachowań i reakcji na bodźce zewnętrzne. Kadm ich nakarmił instrukcjami o godnym poruszaniu się, o szacunku dla tradycji piekarniczo-ciastkarskich całego świata, a szczególnie obszaru śródziemnomorskiego. Kolejny dzień pracy zapowiadał się interesująco. Gdy Kadm sobie poszedł, pomiędzy chłopakami rozwinęła się dyskusja, jak to kiedyś było fajnie, a teraz u koloruchów trzeba na kawałek chleba tyrać. I tak, ciężko tyrając, dotrwali do południa. Na jaw wyszło również, że Boluś zarabia osiemnaście złotych za osiem godzin. Oburzeni tym faktem koledzy z ochrony zaczęli go przekonywać do równego podziału. Ale tutaj nawet zmiana statusu na „leżący-skopany” nie dała oczekiwanych rezultatów. Dowiedzieli się jedynie, że sprzedaż i marketing zawsze lepiej zarabiają od utrzymania ruchu. I jak chcą być lepiej opłacani, to się muszą kształcić oraz dbać o kwalifikacje. I w ogóle mają się od niego odpierdolić.

Mijały godziny. Boluś stał za ladą, przestępując z nogi na nogę. Miał w głowie jeszcze te wszystkie instrukcje Kadma i bał się gdzieś przysiąść, aby nic nie stracić z godności sprzedawcy w Kalif Donut Corporation. Trójka z obsługi terenu miała mniejsze opory i już od dwóch godzin okupowała pobliskie palety składowane pod płotem.

Ożywili się, gdy przed budynkiem hali pojawiło się jakichś dwóch i paliło papierosy.

– Chodźcie, pogadamy z nimi, może powiedzą, ile im płacą na linii – zachęcał towarzystwo Stalowy, który przyzwyczaiwszy się już do szesnastu złotych w kieszeni, planował obecnie działania na rzecz podwyżki. Szczególnie go bolało, że inni mają lepiej, a najgorzej to, że lepiej ma Boluś.

– Ej, chłopaki! – Zamachał do dwóch jegomościów po drugiej stronie placu i zaczął iść w ich stronę.

Palacze, zobaczywszy, że podąża w ich stronę, zaczęli machać rękami i coś wołać.

– Cooo?! – Stalowy był za daleko, żeby zrozumieć. Szedł coraz szybciej.

Tamci zaczęli wykonywać nerwowe ruchy, Stalowy zbliżał się do nich truchcikiem. Naraz mężczyźni zastygli w dziwnych pozycjach, następnie rozległy się strzały z broni automatycznej.

– O, kurwa! – Pająk i Marian unieśli się ze swoich palet, widząc biegnącego co sił Stalowego gonionego hukiem karabinu.

– O, kurwa, strzelają! Do strażnika?! Ja pierdole! – Stalowy pędził po betonie, próbując znaleźć bezpieczny kąt za jakąś kupą gruzu. Faceci skosili jeszcze kilka kamieni seria i wrócili do hali. Nastąpiła pełna grozy cisza. Stalowy wyczołgał się zza gruzowiska i podszedł do kolegów, oglądając się co chwile. Trząsał się cały, był przerażony. Po chwili wpatrywania się w twarze towarzyszy powiedział cicho:

– Panowie, trafiliśmy w jakieś gówno. Trzeba się namyślić co dalej.

Wątroba, uspokojony czujnością Chwiejczaka ozdobionego cudownym rysunkiem brzuchatego wesołka, ruszył do innych zajęć. Szukał ulicy Wrzosowej. Mijał tym wczesnym popołudniem dwupiętrowe szare bloki stawiane przez ludzi pracy za wczesnego Gomułki. Szare frontony ozdabiałały okna, w dużej mierze nowe, energooszczędne, gdzieniegdzie

z dodatkiem doniczek pełnych kwiatów, wyschłych już o tej porze roku. Podwórka, służące onegdaj pracownikom walcowni do hodowli kur, królików, kaczek i innego inwentarza, dzięki któremu nie groziła im nuda po pracy, obecnie zastawione były przechodzonymi Volkswagenami i Oplami z resztkami niemieckich naklejek. Brak biegającego drobiu i gospodarskiej krzątanimy nie przyczyniał się do większego porządku na posesjach; był to jednakże nieporządek mocno industrialny, nieludzki, bardziej zardzewiały i krzywy niż śmierzący i krzykliwy. Wszystko tu opowiadało, że świat staje się coraz bardziej obcy ludziom. Ulica Wrzosowa miała z fioletowym kwieciami niewiele wspólnego. Była to ślepa uliczka składająca się z kilku domów, najstarszych na osiedlu, wybudowanych jeszcze przed wojną przez von Schwansteinkohenbohlenwora dla robotników z jego fabryk. Zanedbane jednopiętrowe budynki posiadały jednakże bardziej kunsztowne wykończenie niż te nowe, socjalistyczne; narożniki w kształcie wieżyczek, ornamenty na fajermurkach, płaskorzeźby przedstawiające jakieś postacie z łopatami i kilofami. Wątroba szukał wzrokiem znanego znaku z mieczem w ziołach, ale najwyraźniej działalność Bractwa Saharyjskiego i ich symbole były w Trzeciej Rzeszy nieznane albo zabronione. Brukowana obłymi kamieniami uliczka po kilku metrach świetności degenerowała się i niknęła. Wybrzuszenia kamiennej powierzchni, wielkie łachy błota i piachu, a także krzaki zjadały ten zaułek, by na końcu drogi powitać zbłąkanego wędrowca kupami gruzu z lekką zawartością ceramiki i elementów plastikowych. Wszystko to wieńczyło siedem zjechanych do łysa opon i stara cuchnąca beczka z trupa czaszką i napisem DANGER. Dalej były już tylko suche badyle krzewów i ogrodzenie walcowni z tabliczką: „Własność prywatna Kalif Donut Corp. Wstęp wzbroniony”.

Dom numer pięć stał jako ostatni w szeregu. Wątroba wszedł do obskurnej sieni. Mieszkań było cztery, po dwa na piętrze. Odłóżką zielonkawa lamperia, skrzypiące drewniane schody, poręcz z żeliwną głową lwa na końcu. Zapach stęchlizny i gotowanego rosołu. Coś

zaszurało za najbliższymi drzwiami; prawdopodobnie go obserwowano. Wątroba zaczął wchodzić po schodach. Stuczterdziestokilowe ciało stanowiło obciążenie dawno niedoświadczane przez starą konstrukcję, skrzypiący odgłos musiał być słyszalny nawet na Antypodach. Dodatkowo Wątroba miał wrażenie, że schody się wraz z nim lekko chwieją. Trzymał się mocno lwiej poręczy, pot wystąpił mu na czoło. Przeszedł.

Stanął pod drzwiami lokalu numer trzy, o czym informowała koślawa cyferka wymalowana żółtą farbą olejną na drzwiach, również pokrytych farbą, ale wiśniową. Przez brudną szybkę wpadało na klatkę schodową trochę mętnego światła. Wątroba zapukał, odpowiedziała mu cisza. Zapukał jeszcze głośniej. Znowu cisza. Po chwili w środku coś stuknęło. Wątroba zamienił się w słuch. Miauknięcie. Kot. Z dołu doszły go jakieś odgłosy, ktoś wolno szedł po schodach. Nierytmicznie, jakby kuśtykał.

- Zara, zara, już idę. - Głos należał niechybnie do osoby starszej. Schody, tak strasznie jęczące pod Wątrobą, teraz były spokojne. Swój może wchodzić. A może wystarczy tylko schudnąć? Zza załomu ściany wychynał mały siwy staruszek, w powyciąganym swetrze i flanelowej koszuli. Patrzył na Wątrobę jednym okiem, drugie było dziwnie nieruchome, jakby nieużywane. Podszedł, lekko utykając.

- A!? - ni to zapytał, ni stwierdził przybyły. Wątroba już chciał coś powiedzieć, ale staruszek go ubiegł. Mówił głośno i skrzekliwie. - Nie ma Mariaca. Zniknął, trzy dni temu. Czego chce?

Wątroba zaczął coś mówić, wyjaśniać, ale starowinka, najwyraźniej głuchy jak pień, powiedział tylko:

- A!? Nie ma Mariaca. Zniknął. Czego chce?

- Ja właśnie w tej sprawie. Chciałem się dowiedzieć, czy...

Siwy jegomość świdrował go jednym okiem i nie dał dokończyć zdania.

- A!? Mówię, że nie ma. Wyszedł! Czego chce?

Wątroba, widząc jałowość swoich starań, ryknął tylko: „Do widzenia” i zaczął schodzić po schodach. Stary widać coś usłyszał, bo Wątrobę dogoniło:

– Niech przyjdzie jutro, może Mariac będzie.

Znowu musiał przejść przez chwiejące się, jęczące schody. Na szczęście lwia poręcz trzymała się mocno. Na parterze drzwi były uchylone, ale ktoś, słysząc, że Wątroba już schodzi, szybko je zamknął. Do komisarza dobiegło stłumione szuru-szuru. Podszedł do drzwi i zapukał. Cisza. Zapukał znowu i powiedział głośno: „Policja”. Nikt nie odpowiadał, ale ktoś siedział w środku.

– Ja w sprawie morderstwa pana Mariaca. Proszę otworzyć!

Cisza. Po kilku sekundach Wątroba znowu usłyszał lekkie szuru-szuru. Nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły. Sień, tonąca w mroku, była tak samo zniszczona jak klatka schodowa, czuło się zapach zatęchłego kąta za szafą, woń mysiej nory. Deski przy wejściu zaskrzypiały pod grubym policjantem. W drzwiach do pokoju ktoś stał. Wątroba zaczął się tłumaczyć:

– Przepraszam, ale chcę tu z kimś porozmawiać o Wiesławie Mariacu. Może pan mi powie...

Tu przerwał. Wydawało mu się, że tamten coś mówi. Wzrok po przyzwyczajeniu się do szarości sieni zaczął rozróżniać więcej szczegółów. Wieszak z jakimś wdziakiem. Licznik elektryczny stukający rytmicznie przy każdym obrocie. Szczupła postać gospodarza, w szarych spodniach i zielonym swetrze. Jego twarz nie wyrażała żadnego zaskoczenia czy oburzenia wtargnięciem, raczej zaniepokojenie. Wątroba wpatrywał się w to oblicze, czekając na jakieś słowa. Po chwili usłyszał cichy, dość miły głos:

– Czar-ny.

I tyle. Komisarz stał dalej, licząc na dalsze wyjaśnienia, ale męczycielna powtórzył tylko:

– Czar-ny.

Znowu nieco przeciągając to słowo. Wątroba rozpoczął swoją indagację, ale postać z cienia patrzyła na niego, jakby nic nie rozumiała, jakby podziwiała tylko nieznaną gdakające zwierzę.

- Czar-ny...

Wydawało się, że człowiek chce jeszcze coś powiedzieć, ale znowu zapadła cisza i tylko tykający licznik zakłócał tę słowną pustkę. Wątroba wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Znowu dobiegło go ze środka szuru-szuru.

Przed domem zaczerpnął powietrza, było mu duszno. Po ruchu franki poznał, że jest obserwowany, że postać przemieściła się z sieni pod okno i dalej kontroluje jego manewry. Usłyszał jakieś odgłosy po drugiej stronie domu. Poszedł tam, mając nadzieję, że to czwarty z mieszkańców i że chociaż z nim da się zamienić słowo. Druga strona domu przywitała go klepiskiem z jedną koślawą ławeczką, kilkoma kępami trawy i jakimiś budkami, które z bliska okazały się gołębnikiem. Znajdował się tam również niewielki parterowy budynek, wyglądający na komórki lokatorskie. Przy gołębiach kręcił się człowiek w czapce maciejówce i kamizelce ortalionowej narzuconej na kraciatą koszulę. Gdy Wątroba podszedł, mężczyzna, nie odwracając się, rzucił:

- Mietek znalazł pana? Wysłałem go, bo słyszałem, że pan na górę idziesz. Mam nadzieję, że nie natknął się pan na Krzycha. No, taki szczupły chłopak, ciągle mówi: „czarny”.

Mietek to zapewne ten jednooki staruszek, a Krzychu to ten na dole.

- Ja w sprawie Mariaca. Jestem z policji.

Jegomość spojrział na Wątrobę z ukosa i rzucił krótko:

- Nie ma. Zniknął.

Karmione gołębie tłoczyły się przy nim, próbując dosięgnąć co smaczniejszych ziarenek. Gołębiarz wprawnymi ruchami zaopatrywał całe stadko, nie pomijając również tych z tyłu.

- Ja właśnie w tej sprawie. Mariac nie żyje.

Człowiek w maciejówce zastygł w swoim trudzie karmiciela psectwa, ale po sekundzie wznowił ruchy. Wątroba usłyszał tylko:

- Doigrał się. Wiedziałem, że źle skończy.

Wątroba zastrzygł uszami zaciekawiony.

- Co pan ma na myśli? - zapytał.

- To, że jak się jest emerytem, wdowcem, katolikiem i Polakiem, to się w domu siedzi i do obrazu modli. Albo do telewizora. Telewizję ogląda, znaczy. Albo do flaszki z wódką. A nie łązikuje, z jakimiś typkami spotyka. Androny o bogactwach gada. To mam na myśli.

Po dokładniejszym przepytaniu Wątroba dowiedział się, że Wiesław Mariac pracował przez całe życie w walcowni, jak wszyscy tutaj. Jak wszyscy był raczej ubogi. Po zamknięciu zakładu klepali jeszcze większą biedę. Jego żona Halina zmarła na raka piersi jakieś dziesięć lat temu. Potem on zaczął pić, zadawać się z dziwnym towarzystwem, nawet ktoś go na kradzieży przyłapał. Ale mu odpuścili. I ogólnie mówiąc, kiepsko z nim było. Aż później się coś zmieniło.

- On, panie, coś wykombinował albo ktoś mu pomagał, bo wyszedł z tego pijaństwa i jeszcze się taki jakiś wesoły zrobił. Gadał o tym, gdzie to on nie wyjedzie, jakie baby będzie mieć i jakie domy.

Ton głosu gołębiarza wskazywał, jak strasznie wkurzają ludzi tacy, którzy nie dość, że wychodzą z dołka, to jeszcze wydają się być zadowoleni i szczęśliwi. Facet w maciejówce kontynuował:

- A niby skąd to wszystko? Na tych hałdach znajdzie? - Wskazał ręką dawne tereny kopalni i huty, otaczające dzielnicę. - Tutaj się pan prędzej raka nabawisz, niż złotówkę na tym chłampie zarobisz. Tu pomiary robili, te żuźle są podobno radioaktywne. W ogóle to miejsce jest przeklęte! Pewnie przez tego Szkopa, który przed wojną wszystko to miał, a potem mu przypadło. Wiesz pan, od czego Mietek ma oko takie? Prętem dostał na walcarce. Cud, że mu łba nie przebił. A Krzychu, czego taki? Może dlatego, że jego ojciec zginął przygnięciony

kupą stali. I on to widział jako mały chłopiec. Tu każdy coś lub kogoś stracił przez tę walcownię.

Gołębiarz przerwał na chwilę i tylko wściekłymi ruchami dorzucał karmę ptakom.

– A Mariac ostatnio łązikował całymi dniami, albo siedział w tych swoich komórkach i coś tam robił. Cholera go wie co! Z tym drugim, no, Pawełkiem. Po całej okolicy głupoty rozpowiadali o ukrytych bogactwach. Źle skończył, bo pewnie znowu kraść chciał i na mocniejszego trafił.

– Waldek, obiad! – wrzasnęła kobieta z uchylonego okna na parterze. Waldek zaczął zamykać klatki. Wyraźnie się zbierał.

Wątroba jeszcze go uprzedził, że wejdzie do mieszkania na piętrze, więc żeby się nie denerwowali, że to złodziej.

– A co tam, panie, można ukraść? To zdjęcie z Haliną? Albo te garnki obtłuczone? Wchodź, pan, gdzie chcesz. Dam klucze.

Okazało się, że pan Waldek wie, gdzie znajdują się klucze Mariaca – wisiały za drewnianą belką powały. Niestety znowu musieli pokonać ledwie dyszące schody. Na górze wręczył Wątrobie solidny pęk.

– Te są do mieszkania, te do drzwi na dole. Nieużywane raczej. A kiedyś jeszcze były do komórki. Ale nie ma. Pewnie leżą gdzie w domu. Aha, bo zapomniałem powiedzieć. On od nas wszystkich wykupił komórki na podwórku. Kiedyś każdy miał swoją, na węgiel. Ale teraz do ciepłowni nas podłączyli, to i węgla nie używamy. Wiesiek kupił od nas wszystkie, po pięćset zeta dał. Później coś tam stukał, nosił, szeleścił. Mówił, że majsterkuje. Ale co to za majsterkowanie, po którym człowiek taki umorusany.

– No! Waldek, obiad! – Głos kobiety niósł się echem przez klatkę.

Drzwi naprzeciwko uchyliły się i wychynął jednooki Mietek.

– A?! Czego chcą? Nie ma Mariaca. Niech przyjdą jutro! – zabrzmiała znajoma melodia.

Waldek objął ramieniem staruszka i powiedział dość czule:

- Dobrze, dobrze, Mieciu, to kolega. Idź już do siebie. Przynieść ci rosołu?

- A?! - Staruszek popatrzył na Waldka.

- Przyniosę - mruknął Waldek i zaczął schodzić po strasznych schodach.

Wątroba stał przed koślawą trójką i próbował znaleźć właściwy klucz.

Po chwili zamek zachrobotał, drzwi ustąpiły. Wątroba zobaczył umykający szary kształt. Kot. Spłoszone zwierzę, zamknięte od kilku dni. Uciekł do pokoju. Widząc, że Wątroba właśnie tam wchodzi, zjeżył się i zajął strategiczną pozycję w kącie niedaleko drzwi. Komisarz rozpoczął poszukiwania. Nie wiedział, czego szuka. Ale czuł, że ta śmierć wiązała się z działalnością Wiesława Mariaca ostatnimi czasy. Pokój był wyposażony w politurowaną meblościankę, na ścianie wisiał tykający zegar oraz coś przypominającego obraz, wykonanego z pogiętej masy lub skóry. Brudne firanki okolone kwiecistymi zasłonami przepuszczały światło, nadając mu mdły, szarawy odcień. Meblościanka posiadała witryny pełne kryształowych kieliszków i szklanek. Wątroba otworzył szafkę, na ziemię wysypały się majtki, koszulki, pidżamy. Klnąc, zaczął je zbierać. Pomiędzy ubraniami zauważył jakiś płaski kształt. Koperta. Po zajrzeniu do środka odkrył, że znajduje się tam kilka banknotów stużłotowych. Wrzucił je z powrotem w kupę bielizny i już chciał zamknąć szafę, kiedy zamarł, rozważając coś.

„Przecież on już nie żyje. - Ta myśl błąkała się po jego mózgu raz z lewej, raz z prawej strony, szukając miejsca na stałe. - Po co ma to tu leżeć, jeszcze kot zje albo się zmarnuje”.

Poszperał znowu w gaciach i koszulkach. Wreszcie wyciągnął kopertę i wsadził ją do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Już miał wyjść, ale napotkał czyjś wzrok. Badawczy i lekko drwiący. Kot siedział na oparciu wersalki, strzygł uszami i patrzył na buszującego policjanta. Przez głowę komisarza znowu przeszła myśl, że przecież nie jest

złodziejem, bo to już do nikogo nie należy. Ale kot miał inne zdanie. Siedząc, wydawał bezgłośnie sąd o Wątrobowym postępowaniu. Komisarz westchnął ciężko i wrzucił kopertę z powrotem, przysypując górą majtasów.

- No, już dobrze, już dobrze - warknął na zwierzę. - Nic nie ruszam, wszystko twoje.

Kot zrobił zadowoloną minę i zaczął lizać łapę.

- Dupek - obrzucił go wyzwiskiem Wątroba.

Kot prychnął i wyszedł dumnie z pokoju, dając jasno do zrozumienia, kto tu jest dupkiem.

Po dalszych poszukiwaniach komisarz stwierdził, że w pozostałych szafkach znajdują się tylko jakieś leki, Wielka Encyklopedia Powszechna, w której brakowało tomu E - G, ceramiczny wazon z napisem „Krynica Zdrój” i stare pudełko po bombonierce „Szampańskiej” E. Wedel. Okazało się, że pudełko zawiera stare zdjęcia. Komisarz przeglądał je obojętnie, mnóstwo czarno-białych i wyblakłych kolorowych fotek przedstawiających dorosłych i dzieci nad morzem, w górach, w lesie. Typowe pamiątki rodzinne.

Siedział za stołem w opuszczonym mieszkaniu i patrząc na nieznaną twarz, popadł w rodzaj letargu. Przerzucał zdjęcia, bezwiednie szukając twarzy Mariaca, a może jeszcze jakiejś innej. Jednostajny ruch, monotonne przerzucanie cudzego życia, dokumentacji momentów radości z minionych lat. Fotografie jasno udowodniały, że we wszystkich tych chwilach smutki rzucały na twarze ludzi swój niedefiniowalny cień, który pozostawał tam na zawsze. Coraz większe dzieci na tle coraz starszych rodziców. Coraz większe drzewa, coraz bardziej szare niebo. Czuł się, jakby jechał pociągiem przez cudze życie. Obrazki migają przez zapaskudzone szyby, a ty, kołysząc się rytmicznie, oglądasz to wszystko. I czy w mijanym szpitalu rodzi się dziecko, czy w zaniedbanym domu umiera samotna staruszka, ty masz to gdzieś, bo jesteś obserwatorem. Wygodnie siedzącym, nieczułym widzem. A jednocześnie żal zalewa

ci serce i duszę, że to nie ty przeżyłeś życie ciekawie, nie ty wypełniłeś jej radością i cierpieniem. Teraz po latach nie zostało nic, przeciekło wszystko przez palce, a tych kilka jasných punktów z przeszłości świeci już tylko jak oddalające się za horyzont latarnie.

Wątroba oglądał fotografie, a szare myśli pluskały leniwie.

- Tak wygląda twoje życie, komisarzu. Tak jest i będzie do końca, niedługiego zresztą, bo jesteś nic niewartym pyłkiem w kosmosie - huczalo mu w głowie, podczas gdy przekładał zdjęcie za zdjęciem.

- Ale przecież moje życie jest dobre, choć szare. Walczę ze złem, ze złodziejstwem, mordercami.

- Walczysz z wiatrakami. Sam zresztą jesteś złodziejem. Gdyby nie kot, już byś miał pieniądze w kieszeni. Wszystko się liczy.

- Liczy się efekt.

- A jaki masz efekt? Zmartwienia, zmarszczki, głupie myśli o swoim życiu. O innych. Samotność.

- Prowadzę uczciwe życie.

- Uczciwe życie w obskurnym mieszkanku, gdzie tańczysz z myszami. Nie udało ci się za wiele.

Takie to szept, wewnętrzne monologi prowadził komisarz, siedząc sam w pokoju zamordowanego człowieka i próbując w jego przeszłym życiu znaleźć ślad prowadzący do wydarzeń obecnych. Siedział, dumając, przy stole naprzeciwko meblościanki. Odbicie w szklanych witrynkach, lusterkach, którymi wyłożono tylną ścianę, i w dziesiątkach kieliszków było zwielokrotnione, powykręcane i poszarpane. Patrzył na to i powoli dochodził do wniosku, że to nie on, że to jakiś straszny maszkaron, zamknięty w tysiącu podobizn. Pokręcony, nieproporcjonalny i brzydki, a w tym całym swoim pokręceniu jakiś taki nieruchomy, bez wyrazu. To mu coś przypominało.

- Nowak, to ty? - Ta myśl pojawiła się na odległym zamglonym końcu i powoli rosła, ukazując coraz więcej szczegółów.

- Ja - przemknęło mu przez głowę.

- Czego chcesz?

- Żebyś myślał, żebyś się zastanawiał, żebyś zmądrzał.

- Nie rozumiem.

- Zaczynasz rozumieć, choć jeszcze o tym nie wiesz. Kropla draży skałę. Jak dojdiesz do końca, będziesz również gotowy.

- Na co? Do jakiego końca?

- Zastanawiaj się, kombinuj. Szukaj. Szukaj! Szukaj już teraz, tu, w tym mieszkaniu.

- Ale...

Kolejne pytanie, które właśnie miało być zadane, zawisło w powietrzu. Wątroba patrzył przed siebie niespokojnym, rozbieganym wzrokiem. Odbicia w szkłe, choć dalej nieproporcjonalne i powykręcane, były już tylko jego. Był sam. Powoli docierało do niego szare światło filtrowane przez brudną firankę, tykanie zegara i abstrakcja pociętej skóry w niby-obrazie.

Wtem usłyszał strzały z broni automatycznej gdzieś za oknem. Podbiegł zobaczyć, co się dzieje. Widok z pierwszego piętra na okolicę był ograniczony. Dostrzegł dach walcowni oraz fragment betonowego placu przed budynkiem osłoniętego kilkoma drzewami. Jakaś postać w czarnym ubraniu i czapce biegła właśnie tam. Ale Wątroba zobaczył ją jedynie jako mignięcie pomiędzy drzewami. Dalej nic się nie działo, usłyszał jeszcze krzyk z oddali, ale i ten się więcej nie powtórzył. Po kilkudziesięciu sekundach trwania na pozycji obserwacyjnej machnął ręką i wrócił do poszukiwań. Był wyraźnie wytracony z równowagi wewnętrznym dialogiem. A może monologiem?

- Ech, kiepsko ze mną - mruknął. Kot miauknął. - Ciebie nie pytałem! - dodał.

Kuchnia, w kwestii wyposażenia, stanowiła istny klasyk gatunku. Drewniana podłoga pomalowana olejną farbą, niebieskawa ściana, stary piec węglowy, a obok nowy na gaz. Na ścianie święty obrazek.

- Święty Antoni, módl się za nami... - komisarz odczytał napis na wstędze pod stopami postaci z aureolą.

Stół nakryty kraciatą ceratą, dwa krzesła i biały kredens, również pociągnięty olejną. Na ścianie kalendarz jakiejś hurtowni.

- Artykuły różne, hurt, detal. Jan Pasikonik pe-ha-u - odcyfrował nazwę reklamowanej firmy. Pasikonik. To był znalazca ciała. Może się jednak znali, może tamten kłamał?

Szybko jednak doszedł do wniosku, że kalendarz prawdopodobnie trafił tu całkiem przypadkowo. Zaczął grzebać w kredensie. Jedna z szuflad była zamknięta. Komisarz przymierzył klucze z pęku, ale żaden nie pasował. Po chwili rozglądania się po kątach i sprawdzania w typowych miejscach, jak gwoździe wbite w bok szafy albo góra kredensu, machnął ręką i zaczepiwszy drutem o dziurkę od klucza, wyrwał szufladę. Znalazł tam dwie rzeczy: stary zeszyt i jakieś pudełko. Wyciągnął zeszyt w solidnej, jakby skórzanej oprawie opatrzonej wyblakłymi literami. Popatrzył pod światło, żeby odcyfrować prawie niewidoczny napis.

- No-tiz-buch - wydukał. Następnie otworzył notes.

Zarówno strona tytułowa, jak i treść były w języku niemieckim, co stwierdził, polegając na swojej skromnej wiedzy germanistycznej. Zawierała się ona w znajomości kilku słów typu: „gut”, „ja”, „Volkswagen”. Wystarczało to, aby przed dwudziestu laty handlować w świeżo zjednoczonym Berlinie kremem Nivea i masłem. Nie wystarczało natomiast zupełnie, żeby zrozumieć treść starego dokumentu. Kartki zeszytu wypełniało pochylone, wprawne pismo. Niektóre litery były w dziwny sposób kanciaste, co mogłoby stanowić pole do popisu dla grafologa-historyka w temacie gotyckiego liternictwie w Niemczech. Ale dla polskiego policjanta była to po prostu dziwna, pocięta pisanina. Przerzucał kartki, szukając jakichś punktów zaczepienia. Jest. Notatka na marginesie, po polsku: „A8, wyznaczył głębokość podejścia”. Wątroba rozumiał słowa, nie rozumiał natomiast treści. Mariac musiał ten zeszyt czytać i widać uznał, że w tym punkcie trafił na coś ważnego. Wątroba wertował dalej, znajdując jeszcze kilka zdawkowych notatek na marginesie. Ze

środka zeszytu wypadł poskładany arkusz. Po rozprostowaniu okazał się być mapą, równie starą i pożółkłą jak notes; zgięcia były mocno powycierane. Przedstawiała płataninę zarysów, linii, krzyżyków. Z napisu na dole dało się odcyfrować tylko podpis – von Schwansteinkohenbohlenwor. Wątroba, jak prawie każdy w mieście, miał gdzieś historię i rozwój tego regionu, więc nazwisko niewiele mu powiedziało. Sięgnął po pudełko obwiązane wstążką. Było dość ciężkie. Chwilę siłował się z węzłem. Puścił. Pokrywka po uniesieniu odkryła sztabkę złotego koloru, wysadzaną różnorodnymi kamieniami błyszczącymi nawet w tym ponurym pomieszczeniu. Na środku wybito znak – miecz i kilof w liściach. Wątroba zatrzasnęła pudełko, rozglądając się ukradkowo a absurdalnie, czy nikt nie był świadkiem tego odkrycia. Potem otworzył pudełko znowu, upewniając się, że złoty kształt nadal spoczywa w środku. Patrzył przez dłuższą chwilę w okno, jakby coś obmyślając. Po czym zawiązał wstążkę, wziął zeszyt z mapą i włożył wszystko do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Zaczął naprawiać szufladę i wycierać swoje odciski. Po co? Nie wiedział. Tłumaczył sobie, że lepiej, żeby go nie wiązano z jakimiś zniszczeniami w domu Mariaca. Nerwowo usuwał wszelkie ślady. Prędzej czy później cała ekipa tu trafi. Kot znowu obserwował go bacznie, pesząc spojrzeniem pełnym wyższości. Wątroba zerknął na niego, ale tym razem tylko fuknął:

– To i tak ani nie twoje, ani tego twojego Mariaca.

– A twoje? – wydawała się pytać mina kota.

– Do śledztwa biorę, jako dowód, znak jest – mówił, ni to do siebie, ni do kota.

Kredens wyglądał znów jak nowy. Wątroba obleciał jeszcze wszystkie kąty, ale niczego więcej nie znalazł. Przypomniały mu się słowa o kluczach do komórki, które powinny gdzieś tu leżeć. Znowu przeszukał typowe miejsca przechowywania, ale bez rezultatu. Trudno.

Wyszedł na klatkę. Zastanawiał się chwilę, co zrobić z kotem. Chciał go wypuścić, ale ten uparcie trzymał się za progami. W końcu Wątroba zamknął drzwi i zawiesił klucze na starym miejscu. Drzwi naprzeciw otworzyły się i wychynał Mietek. Świdrując przybysza jednym sprawnym okiem, zaskrzeczał:

- A?! Udało się? Spotkał Mariaca?

Nie doczekał się odpowiedzi. Wątroba tylko ryknął: „Do zobaczenia!” i zaczął powrotną peregrynację przez jęczące schody. Mietek patrzył za nim z ciekawością. Na dole uchyliły się drzwi i wyrzwał facet w maciejówce, którą miał chyba na stałe przyśrubowaną do głowy.

- Już? Znalazłeś coś pan? A z kim tam gadałeś?

Wątroba odpowiedział, że z Mietkiem, ale ten zaprzeczył:

- Nie, nie z Mietkiem. Wcześniej. W mieszkaniu.

Wątroba zapewnił go, że był cały czas sam, ale zrobił to na tyle nieprzekonująco, że gołębiarz tylko wygiął usta w wyrazie niedowierzania. Wątroba chciał czym prędzej się stąd wynieść.

- Aha, proszę dać czasem kotu coś do jedzenia i może wypuścić na spacer.

I wyszedł. Szybkim krokiem uciekał z Wrzosowej, odprowadzany bacznym spojrzeniem zza firanki w drugim mieszkaniu na parterze. Znalazł coś, miał nowe dowody, nowe tropy, ale wszystko to jakoś mu ciążyło. A najbardziej ciążył mu prostokątny ciężar na piersi. W głowie kołatał się jeden motyw:

- Czar-ny. Czar-ny...

V. Dzień czwarty

Kochany dzienniczku! Od wczoraj wiem, że się wpierdoliłem w jakąś niezłą kabałę. Jak żeśmy pilnowali tej niby cukierni w tej niby fabryce, to jakieś wąsate palanty zaczęły do nas strzelać. Myślałem, że to ludzie z linii, co te pączki tam lepia. Ale oni zamiast piątkę przybić, jakieś braterstwo produkcyjno-ochroniarskie zawrzeć, to spluwy na nas wyciągnęli i po łdach. Kadm przyleciał zaraz, nerwowo jak wszyscy diabli. Nawymyślał im w jakimś psim języku i zagnał nazad do tej hali. Potem przyszedł do nas i zaczął uspokajać, że to tylko nerwowa reakcja na moje bieganie po placu, a tak w ogóle to ci panowie są łagodni jak baranki. No to nie wytrzymałem i się wydarłem na niego, że co to za baranki, które z pepeszami łażą i dla jaj w ludzi strzelają. Na to on zaczął coś mówić, że my to jakiś teren, a oni to faktoria, i że w faktorii to idzie na ostro, bo konkurencja szpieguje i złodziejstwo. A co, kurwa, można w pączkach szpiegować? Że szczają do kadzi z ciastem, jak im się do kibla nie chce iść? No to ja powiedziałem temu Kadmowi, że w te ich pączki to my trochę wątpimy. I już bym mu więcej nagadał, taki wkurwiony byłem, aż mi we łbie pulsowało, bo to podejrzone, że ciągle tu jakieś tiry jeżdżą, a nikt mnie nie przekona, że te obsyfione ciężarówki jakieś ciastka czy mąkę wożą. Ale nie powiedziałem. Pająk na mnie spojrział tak, że mnie zatkało. I może mi chłop życie uratował, bo Kadm wyglądał, jakby miał tych z faktorii wezwać, żeby dokończyli strzelanie. Potem mruknął tylko, że mamy się brać do roboty, i poszedł. Jak tylko zniknął, to żeśmy z chłopakami sytuację podsumowali. Każdy miał jakieś obserwacje. A to że ziemię i kamienie wożą na wywrotkach, a to, że

nie pachnie ciastkami, a niby piekarnia wielka. U nas jak u Józwiaka na osiedlu pieką pączki, to aż w nosie kręci, samym zapachem można się najęść. Boluś dopowiedział, że pączki u niego te same od trzech dni leżą, a sprzedał tylko jednego. Jakiś młody się przypałętał i spytał, czy można pojeździć rowerem po placu, poćwiczyć skoki na tej górze gruzu. Pojeździć nie można było, ale pączka zjadł za złoty dwadzieścia. Jak żeśmy policzyli, to wyszło, że we czterech – trzech za szesnaście zeta dziennie plus jeden, kutas złamany, za osiemnaście – zarobiliśmy dla Kalifa przez dwa dni jeden złoty i dwadzieścia groszy. Boluś zaczął się wymądrzać, że nie zarobiliśmy, tylko zrobiliśmy obrót, bo jeszcze inne koszty są. I dodał, że to normalne w sprzedaży i marketingu inwestować na początku w rozwój biznesu. I że to się zwróci z nawiązką. Jeszcze by tak pewnie pierdolił długo, ale ochrona terenu, my czyli, przypomnieliśmy mu grzecznie i stanowczo, żeby do budy wracał i godnie Kalifa reprezentował, bo w dziób dostanie. To i poszedł. A potem to ustalenie zrobiliśmy, że będziemy się z dala od hali trzymać, ale jak co zauważymy, to od razu innych powiadomimy, bo mieć się na baczności trzeba. Nawet Bolusia żeśmy postanowili powiadamiać, chociaż nie lubimy kabana za te osiemnaście złotych. No ale w końcu on też Polak i katolik, to szkoda by było, żeby jakie Kalify czy inne Husajny go zatłukły.

Po robocie wracam styraną, a moja stara po pierwszej euforii zaczęła się dopytywać, gdzie to ja robię, a wątpić, a rozpaczać, że coś przed nią ukrywam. Jak jej pokazałem te szesnaście złotych z wczoraj to trochę zmiękła, ale co rusz się dopytuje, co to za robota i czego ja taki spokojny w domu. Na koniec się rozplakała, że pewnie babę mam na boku, a ten mundur i pieniądze to zmyła, żeby ją uspokoić. Już chciałem ją opierdolić, że nikt jej nigdy nie dogodzi i żeby sobie waleriany łyknęła albo telenowelę romantyczną włączyła. Ale w końcu zapewniłem ją solennie, że żadnych bab nie mam, tylko trzech alkoholików za kumpli i kilku Arabów, którzy do

mnie strzelają. Bardzo się uspokoila i ucieszyła. Kazala mi jeszcze tylko przysiąc, że ją kocham. To przysięgłem. I mam spokój przynajmniej do jutra.

Wątroba nie mógł spać przez całą noc. Wiercił się i kręcił na swoim łóżku, które wydawało potępiénce jęki i zgrzyty. Nie mógł przestać myśleć o swoich myślach. Jakkolwiek głupio by to brzmiało, tak to właśnie odbierał. Czuł, jakby mu zaszczepiono mały mózg w dużym i ten kurdupel stał się samodzielnym, choć ciągle z nim łączącym bytem. Kilka chwil lekkiej drzemki wypełniły jakieś majaki o złocie, o piętrzących się przed nim górach złota. Na każdej siedział błądy człowiek z bródką i w czarnej marynarce. Wątroba wdrapywał się do najbliższego z nich, drogocenne przedmioty przesywały się pod jego nogami, co chwila przewracał się i osuwał na kolana. Powstawał i znowu rozpoczynał wędrówkę ku szczytowi. Błądy wydawał się być o krok, o pół kroku zaledwie, ale nie mógł go dosięgnąć. A ten jeszcze kpił sobie z Wątroby:

- Ho, ho, wciąż nie dajesz rady. Kombinuj, waść, kombinuj! Jeszcze nie wpadłeś na dobry trop. Stara się chłopak jak może – dzielił się wrażeniami ze swoimi klonami na pozostałych złotych górach.

A Wątroba z coraz większą wściekłością wierzgał nogami w złotych przedmiotach i coraz bardziej w nich grzązł. Każdy ruch ściągał go w dół, każdy ruch odbierał mu siły. W końcu padł twarzą na zimne błyszczące podłoże i zapłakał. Tuż przed sobą ujrzał złotą sztabkę, ustawioną na sztorc, jakby wystawioną na pokaz. A na niej wygrawerowany znak: kilof i miecz otoczone liśćmi. Bezsilny Wątroba zamknął oczy.

Zamknął, czyli otworzył. Bo wtedy właśnie się obudził. I zobaczył niuchający pyszczek i szpiczaste uszy. Zerwał się na równe nogi. Myszowaty nie spodziewał się takiej gwałtownej reakcji, bo zamarł w bezruchu, patrząc na człowieka. Ale po sekundzie dał nura za łóżko. Wątroba wsadził tam głowę, aż po swój lekko pofałdowany kark. Nic

nie zobaczył, oprócz kurzu, który z radością się przyczepił do pompona szlafmicy. Po otrzeźwieniu i wyjaśnieniu sobie kilku drobnych spraw, jak obecna data, godzina, płeć i przynależność rasowa, komisarz usiadł przy biurku i wyciągnął wczorajsze zdobycze. Płytką po dokładniejszych oględzinach okazała się być wspaniałym przykładem jubilerskiej roboty. Delikatność i precyzja grawerunku, doskonały dobór kamieni i kunsztownie wykonany znak – wszystko to zachwycało Wątrobę. Siedział tak i siedział, oczu nie mogąc oderwać. Wydawało mu się, że stoi u bram wielkiej przygody i nadziei na... Nie wiedział na co. Jedynie czuł, że ten znak i zapiski nie trafiły do niego przypadkowo. Postanowił dzień w pracy poświęcić na analizę dokumentu. Idąc na komendę, rozglądał się po okolicy, czy nie zauważy gdzieś znajomej trójki, Stalowego, Pająka i Mariana, siedzących na ławeczce pod trzepakiem albo w innym standardowym dla nich miejscu. Ale nie, osiedle budziło się do swego codziennego bytowania bez tego jakże charakterystycznego obrazka „świętej trójcy”. Matki ciągnęły do przedszkoli nieszczęśliwe z tego powodu dzieci, wąsaci panowie, w szarych wiatrówkach i w butach mokasynek, pędzili na pierwszą zmianę do swoich zakładów pracy. Dość liczni w tej okolicy bezrobotni zbierali się powoli w małe grupki przy ławkach, komentując wczorajszy mecz reprezentacji i nieśmiało odkorkowując pierwsze butelczyny. Świat się kulał ku swojej dalszej egzystencji spokojnie, wręcz niemrawo, by nie powiedzieć od niechcienia. I może się to komuś nie podobać, ale... co nagle, to po diable.

- Po diable? – zapytał się sam siebie komisarza, idąc przez osiedle.
- No i po diable – odpowiedział sam sobie, cały czas szperając wzrokiem w przestrzeni mijanych połączeń świata.

Ruch na komendzie był jeszcze umiarkowany. Dyżurny z namaszczeniem mieszał w kawie hurtowe ilości cukru, trzymając na bezpieczną odległość pierwszego interesanta. Doświadczenie mówiło mu, że rozpoczęcie jakiegokolwiek komunikacji, czy choćby nawiązanie

kontaktu wzrokowego, to początek lawiny atakujących go swymi problemami kobiet, mężczyzn i wyrostków. Każdy, kto rozumiał choć trochę mowę ciała, odbierał jakże czytelny sygnał: „Spierdalaj”. Komisarz przeszedł przez część publiczną do swojej kanciapki. Zamknął starannie drzwi. Wyciągnął owinięte w papier pakowy wczorajsze skarby. Nie mógł się powstrzymać, żeby choć przez chwilę nie spojrzeć na piękną sztabkę. Wzrok muskał kunsztowne zdobienia, w piersi zamierało westchnienie zachwytu...

– Panie komisarzu – z ekstazy wyrwał go głos Chwiejczaka. Nie słyszał, jak otwierał drzwi.

– A tak, tak... Słucham. Co tam, mhm, Chwiejczak. – Nerwowymi ruchami owijał płytkę w papier. Pudełko krzywo się ułożyło i nie chciało zamknąć, papier nie zamierzał leżeć równo, wszędzie odstawał i się miął. Ogólnie mówiąc, Wątroba szarpał się z pakunkiem, który w zamyśle miał pozostać anonimowy. Na razie. Taką przynajmniej przyjął tezę na własny użytek. Odłożył wreszcie wszystko na stół, starając się, aby ten ruch wyglądał na nonszalancki, niedbały, niewzbudzający żadnych podejrzeń. Pakunek, na skutek użycia nieco zbyt dużej siły, pojechał po stole i zleciałby z krawędzi, ale Wątroba z reflekssem, o jaki nikt by go nie podejrzewał, rzucił się i zatrzymał feralny kształt. Uśmiechał się przy tym nerwowo. – No, co tam, tego, nowego?

Chwiejczak ze zdziwieniem obserwował przełożonego. Żadnych żarcików ani kalamburów na dzień dobry? Za to miotanie się za jakąś książką czy cegłą?

– Chciałem przekazać wyniki akcji z wczoraj. Dzwoniłem do pana po południu, ale był pan nieosiągalny.

– Co? Ja? Aha. Tak, tak. Doilem kozy i nie słyszałem telefonu – Wątroba nieudolnie naśladował samego siebie z lepszych czasów. Widział podejrzliwość Chwiejczaka. Czy patrzył na pakunek?

Posterunkowy blado się uśmiechnął z tego kiepsciutkiego żartu i pomyślał, że komisarz powinien odpocząć. Wątroba tymczasem

powoli dochodził do siebie i po dawnemu przejmował inicjatywę.

- Ale macie git sweterek, w ogóle nie rzuca się w oczy! Sądzę, że każdy policjant powinien mieć coś takiego na standardowym wyposażeniu.

Chwiejczak chrząknął skonfundowany, ale i uspokojony normalnym zachowaniem pryncypała. Zaczął raport.

- Śledzony nazywa się Zenobiusz Kisiel...

- Naprawdę, a może budyń?

Chwiejczak spojrział z wyrzutem na komisarza i ten zorientował się, że przegina w swoim „normalnieniu”.

- Nazywa się Kisiel Zenobiusz. Zamieszkały Bałtycka osiem przez dwa. Po przejściu od pana obiektu szedłem za nim na ulicę Jagodową trzy. Tam obiekt wszedł do środka. Pod tym adresem zamieszkuje niejaki Paweł Kryszko. Podszedłem pod okno, bo było otwarte. Słyszałem jakąś rozmowę, ale zbyt cichą, żeby zrozumieć słowa. Jedynie w pewnym momencie ktoś głośniej się odezwał. Cytuję: „Wieszka zatłukli, a ty dalej poszukiwacza przygód zgrywasz”. To właściwie wszystko. Jeszcze chwilę rozmawiali, a potem drzwi trzasnęły i ten Kisiel wyszedł na ulicę. Wrócił do siebie. Po drodze tylko wykonał taką dziwną czynność. Podszedł do trzepaka, zaczął go gładzić i oglądać rury z bliska. Gadał przy tym do siebie i cmokał, ni to z uznaniem, ni to z troską. Potem machnął ręką i wszedł do domu. Czekałem jeszcze godzinę. Ale więcej się nie pojawił.

- Dziękuję wam. Paweł Kryszko powiadacie. Pawełek. W jakim wieku?

Chwiejczak spojrział na wydruk z bazy danych.

- Pięćdziesiąt osiem lat.

- To tyle samo co nasz denat. On się nazywał Wiesław Mariac.

I tu Wątroba wyjaśnił dlaczego wezwał Chwiejczaka, by robił za ogon. Swoje odwiedziny na Wrzosowej przemilczał, uznając, że da sobie jeszcze szansę na pomyszkowanie tam w pojedynkę. Postanowił pogadać dziś z Pawełkiem, a później wziąć się za „Notizbuch”.

Chwiejczak wyszedł, dyżurny chcąc nie chcąc zaczął swój codzienny rytuał. Wątroba siedział niemo wpatrzony w okno i kołuszając się na podwórzu drzewa, jakby coś rozważając.

- A co tam! Jedna chwila nikogo nie zbawi - mruknął i znowu odwinął szary papier z cenną zawartością. Patrzył zachwycony. Minuty mijały, a on patrzył i patrzył.

Po dłuższym czasie wyruszył w teren. Szare hałdy za walcownią przypominały komisarzowi jego dzisiejszy sen, choć nie lśniły złotem. Brejowate zwały pokryte lichą trawą nie budziły skojarzeń z jakimkolwiek bogactwem, ale mimo to komisarz przy każdym spojrzeniu w tamtą stronę niemal widział bladego, drwiącego jegomościa. Od czasu do czasu rozglądał się ukradkiem wokół siebie, pocieszając się, że to był tylko sen. Ulica Jagodowa należała do jeszcze starszej części dzielnicy niż Wrzosowa. Zabudowa miała charakter właściwie wiejski, pochodziła z okresu, kiedy znajdująca się tu wieś stanowiła tymczasowe centrum rozwoju kopalni von Schwansteinkohenbohlenwora. Później wieśniacy zostali wyparci przez przybyłych z różnych stron Europy robotników. Po dawnych hreczkosiejach pozostało kilka chylących się ku ziemi chałupiek ustawionych przy starej brukowanej uliczce. Dom przy Jagodowej trzy miał nowy dach i był ładnie odmalowany, co świadczyło, że działa tu gospodarz z prawdziwego zdarzenia.

Komisarz postanowił spytać wprost tego Kryszko o Mariaca i ich poszukiwania. Miał nadzieję, że jasno postawione pytanie połączone z efektem zaskoczenia i ewentualną obawą o swoje życie skłonią pana Kryszko do szczerości. Zbliżał się, obmyślając strategię postępowania. Gdy był już pod samym domem, drzwi otworzyły się i wychynął z nich jakiś człowiek w ortalionowej kamizeli narzuconej na kraciastą koszulę flanelową. Wątroba, przypominając sobie Waldka gołębiarza z Wrzosowej, pomyślał, że to chyba ostatni krzyk miejscowej mody. Nurtował go tylko brak maciejówki na głowie. Właśnie chciał się przywitać, kiedy tamten odezwał się niezbyt grzecznie:

- A pan tu czegoś szukasz? Może pan w zmowie jesteś z tym chudziakiem w kolorowej bluzie? Już mi stąd, bo psa spuszczyć! Zobaczymy, jak szybko pan biegasz.

Za domem rzeczywiście ujadał jakiś pies, sądząc po głębokich bas-barytonach niezłe rozwinięty w kłębie i z dużą siłą ścisku szczęki. Wątroba nerwowo przełknął ślinę.

- Ja do pana Kryszko, komisarz Wątroba z policji.

Człowiek w kamizelce uspokoił się i podszedł do furtki.

- O co chodzi?

- Chciałem zadać kilka pytań w sprawie śmierci pana Mariaca.

- Proszę wejść.

Wkroczyli do sieni. Następnie do stołowego. Kryszko wskazał miejsce za okrągłym stołem z wygiętymi nogami, przykrytym serwetą we wzory z Koniakowa, czy może z Łowicza. Wątroba zawsze miał ten rodzaj twórczości głęboko, więc teraz nie potrafił sprecyzować regionu. Gospodarz się usprawiedliwił:

- Przepraszam, ale sąsiad mi mówił, że wczoraj jakiś człowiek kręcił się koło mojego domu. Chudy w kolorowej bluzce. A o Mariacu to już słyszałem, plotki się rozchodzą. Podobno go jakaś sekta, czy coś, zaciukała.

Wątroba siedział zadziwiony, jak to informacja obrasta plotką; przecież wczoraj nic Kisielowi o sekcie nie wspominał. A może Kryszko skojarzył jakieś inne fakty i tym samym mógłby dorzucić do zasobów informacji swoją cegielkę. Dodatkowo obiecał sobie opierdolić Chwiejczaka za dekonspirację.

- Podobno często się spotykaliście. Razem coś kombinowaliście?

- Kto tak panu powiedział? A zresztą, po co się pytam, przecież sam wiem, jak tu ludzie gadają prawdę i nieprawdę, na lewo i prawo. Wieśka znam od wieków, razem chodziliśmy do szkoły. Razem pracowaliśmy później w tej cholerniej walcowni. Lubilem go. Przez kilka lat nie mieliśmy wiele ze sobą wspólnego, założył rodzinę. Ja wyjechałem na dwa lata za granicę, później się trochę włóczyłem po

Polsce. Ale los nas znowu złączył. Pan może wie, że jemu żona zmarła? I mniej więcej wtedy zamknęli też walcownię.

Wątroba skinał głową.

- Ja wtedy wróciłem tu na stałe. Facet był w zupełnej rozsypce. Siedział w tej swojej kuchni ze Świętym Antonim na ścianie, nie wiedział, po co się budzi, po co ma jeść, po co żyć. Najnormalniej w świecie miał doła jak stąd do Australii. Postanowiłem go trochę rozruszać, zaczęliśmy coś razem organizować, szukaliśmy roboty. Bez skutku. Były jakieś imprezki, bójki. Wylądowalibyśmy pewnie za kratkami, gdyby nie nagły przełom. Pewnego dnia przyszedł do mnie i powiada, że znalazł coś, co mu zajmie resztę życia. No i opowiedział o tych skarbach von Schwansteinkohenbohlenwora...

Komisarz wydał wargi pełen zachwytu nad niemczyzną Kryszko. Ten ciągnął dalej:

- Wyśmiałem go z początku. Jako pętaki słyszeliśmy o tym złocie, ale nikt w nie nie wierzył. Przynajmniej nikt rozsądny. Ale on odpowiedział, że znalazł dowody, że to prawda, i wskazówki. Przyniósł mi taki zeszyt, zapisany niby ręką tego bogacza, w którym stało co, jak i gdzie. Ale nie dał. Co to, to nie! Tłumaczył tylko, że tu jest napisane to, tu tamto. Jak mu mówiłem, że on niemieckiego nie zna, to mi odpowiedział, że się uczy. A dodatkowo skontaktował się z Niemcem, który tu został po wojnie. I on mu tłumaczył. I jeszcze sam coś od siebie dopowiadał, bo za okupacji już dorosły był. Tak gadał i gadał, aż mnie ugadał, żeby zacząć szukać razem. On z tego dokumentu odcyfrowywał jakieś dane i wyjaśniał mi, co mamy robić.

- A co robiliście?

- Szukaliśmy po hałdach zasypanych wejść do biedaszybów. W tym notatniku znajdowała się informacja o tych dojsciach. Biedota od dawna drążyła dość głębokie przejścia w hałdach, do płytkich zasobów węgla. Takie wykopki poza oficjalną kopalnią. Niebezpieczne zresztą jak cholera. Przed wojną w tym mieście więcej było pogrzebów zasypanych młodziaków, jak naturalnie umarłych

staruszków. No i ten von Schwansteinkohenbohlenwor różne notatki o terenie porobił. Aleśmy nic nie znaleźli.

Wątroba postanowił puścić trochę informacji.

- A wejście A osiem? Gdzie było?

Kryszko wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- A osiem? A skąd pan o nim wie?

Nie doczekawszy się żadnych szczegółów, wyjaśnił:

- A osiem to wejście zaznaczone niedaleko domu Wieśka, z adnotacją jakoby ono stanowiło najlepiej zabezpieczoną drogą na teren kopalni. Usilnie szukaliśmy tego wejścia, ale niczego się nie udało nam znaleźć. Tylko sensacji narobiliśmy na tej Wrzosowej. Tam mieszka taki człowiek, Waldek, gołębie hoduje. Szumu narobił, że skarbów szukamy, że nam na mózgi padło. Opowiadał wszystkim o nas, czego to my nie robimy, wymyślał farmazony. Stara pierdoła. Ale i tak nic nie znaleźliśmy.

Wątroba pokiwał smętnie głową, ale oczy mu płonęły.

- No a co robiliście ostatnio? Były jakieś nowe wyprawy?

- A nie, nie! Kilka miesięcy temu Wiesiek mi powiedział, że się już zniechęcił. Zaczął coś mówić o wyjeździe za granicę. Ogólnie mówiąc, zamykał sprawę, czym byłem zdziwiony. Entuzjazm padł mu w tempie ekspresowym. Przestał tu przychodzić, a jak ja go odwiedzałem, to zazwyczaj siedział w tej swojej komórce i coś dłużał. Majsterkowanie jakieś czy co. Tak przynajmniej opowiadał.

Tu przerwał i popatrzył za okno, jakby chcąc sobie coś przypomnieć. Wkrótce znowu się ożywił.

- Ale widziałem, że chłop wyszedł z tej swojej depresji. Właściwie to mi wystarczyło. Ja tam w te jego skarby... - Wzruszył ramionami. - Raczej kumpla chciałem mieć i gębę do kogo otworzyć, mniejsza o skarby. Mam za co żyć. Ale widać różne są preferencje.

Ponownie zapadła cisza. Kryszko przerwał ją po chwili.

- Pokażę zdjęcie.

Wątroba zobaczył podobiznę Mariaca jakże inną od tej, która spoczywała w jego kieszeni. Fotografia przedstawiała Kryszko, Mariaca i jeszcze jakiegoś chłopaka, ze trzydzieści lat temu. Piękni i młodzi. W tle motocykl, chyba emzeta.

- A ten to kto?

- Pałętał się taki, na doczepkę do naszej paczki. Jakże mu było? Opilek, Opuszek, jakoś tak. Czasem go tu widuję, ale się oficjalnie nie poznajemy.

Wątroba z zaciekawieniem oglądał twarz Stalowego Kazka odmłodzoną o parę dekad. Różnica robiła piorunujące wrażenie. Pomyślał, że z Kazka to był kiedyś nawet przystojniak. Ale wszystko zmarnował.

- A tego Niemca, który pomagał w tłumaczeniu, zna pan?

- Nie, nie znam.

Wątroba postanowił jeszcze zaczepić o wczorajszą wizytę Kisiela.

- A Zenobiusza Kisiela zna pan?

- Kisiel, Kisiel... Jest taki jeden, na Bałtyckiej. Chyba z nim kiedyś rozmawiałem. Ale właściwie się nie znamy. Nie, nie znamy się prawie zupełnie - trochę nadgorliwie zapewniał Kryszko. Wątroba świdrował go swoimi małutkimi oczkami. W końcu klapnął ręką w stół i wstał.

- Dziękuję za informacje. Do widzenia.

Kryszko tkwił długo przy oknie, zastanawiając się, czy nie powiedział o jedno słowo za dużo.

Wątroba, wracając przez osiedle, konfrontował mapę z rzeczywistością. I bardzo wiele punktów się zgadzało. Stare budynki pasowały do małych czworobocznych kształtów na płachcie. Podobnie układ hałd za walcownią. Kikut starego komina sterczał dokładnie tam, gdzie von Schwansteinkohenbohlenwor zrobił punkcik z napisem „Schorstein”. Choć wielu innych linii nie dało się zlokalizować w otoczeniu, Wątroba odcyfrował pewną logikę w rysowaniu mapy. Zarówno grubość kresek, jak i ich wzór były różnorodne. Potrafił odróżnić elementy na powierzchni od tych,

najprawdopodobniej, ukrytych pod ziemią. Po kilkudziesięciu minutach błędzenia i odnajdywania śladów historii we współczesności zawędrował za walcownię na wzgórze hałdy. Buty szurały po ostrej żuźlowej powierzchni usypiska. Po kilkunastu minutach dość wyczerpującej wspinaczki znalazł się ponad dachami miasta. Pod jego stopami rozciągał się imponujący widok. Walcownia, szara swoim betonem, z rzędami świetlików szczerzących się ostrymi kłami pobitych szybek. Przed budynkiem ciężarówka; za budynkiem dostrzegł kilka postaci siedzących na jakichś kamieniach czy paletach. Za walcownią rozłożyło się osiedle, ze starymi domami tuż przy zakładzie i nieco nowszymi w oddali. Jeszcze dalszy plan stanowiło miasto, z kamienicami, wieżą ratuszową i starą pompownią, rozplywające się w szarości jesiennych dymów. Mgliste pasma, niczym rozczapierzone, macające wszystko dłonie, opłatały ten niezbyt piękny zakątek świata. Tworzyły kolejne plany, układały fantasmagoryczne, pochmurne budynki, pejzaże, kształty prawie ludzkie, a może i nieludzkie. Wątroba porównywał przez chwilę mapę z obrazem; wszystko komponowało się w jedną całość. Następnie zapatrzył się w mgliście kształtowaną szarą dal. Ten dym, jak szare rozpuszczone włosy, opłatywał wszystko. Dusił. Wątroba patrzył w dal i czuł, że się dusi. Tym miastem, nudną jednostajną pracą, brakiem widoków na lepsze jutro, brakiem życia w życiu. W młodości lubił patrzeć w dal, zgadywać, jaki punkt majączy na widnokregu. Dzisiaj było mu to obojętne. Musiał coś zrobić ze swoim życiem. Coś zmienić, wyrwać się stąd. Kopnął wściekle w ostrą żuźlową powierzchnię górki.

- Muszę coś zrobić, kurwa, muszę! - wrzasnął wściekle. Stado kruków zerwało się przestraszone nagłym hałasem. Kołowało przez chwilę, kracząc i sprawdzając, czy gwałtowny odgłos to jakieś realne niebezpieczeństwo, czy tylko głupi wyskok tego grubasa. Wkrótce wszystko się uspokoiło. Dym dalej snuł się leniwie nad planetą, krzyk przebrzmiał, kruki wróciły na posterunek.

Wątroba złożył mapę i zaczął zstępować z wyżyn gór przemysłowych. Schodząc z tego najwyższego miejsca, musiał przejść przez coś w rodzaju kotła pomiędzy stokami żużlu. Wokół piętrzyły się urwiste ściany, a do wyjścia wiodła tylko jedna stroma ścieżka. Wątroba, sapiąc, piał się ku grzbietowi. Był tak zmęczony, że musiał co chwilę przystawać i odpoczywać. Kilkanaście metrów dłużyło się niemilosiernie, szedł i szedł pod górę, nie mogąc dojść.

- Odpocznij, Wątroba, nerwy cię zjadają - usłyszał nagle.

Nerwowo rozglądając się; szarobrunatne ściany otaczały go ze wszystkich stron, ścieżka zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Miejsce bez życia. Ten gołębiarz mówił, że tu co najwyżej raka można dostać albo pomieszania zmysłów.

- Spokojnie, Wątroba, przecież ty już wszystko wiesz. Czego chcesz, gdzie to dostać i jak to dostać. Masz wszystkie informacje, wszystkie atuty. Teraz trzeba się tylko pospieszyć, żeby cię ktoś nie ubiegł. Nie zgarnął tego, co twoje.

- Co moje? - zapytał komisarz, bezwiednie dotykając prostokątnego kształtu ukrytego w kieszeni na piersi.

- Przecież to już jest twoje, wiesz o tym. Trzeba tylko wziąć.

- Tak, trzeba tylko wziąć - powtórzył komisarz. - Ale co będzie, jak...

- Spokojnie, spokojnie. Przecież widzisz, jak się wszystko zmieniło od wczoraj. Masz szansę na wszystko, o czym marzyłeś, czego pragnąłeś.

Wątroba znowu dotknął kształtu na piersi, czując, że naprawdę ma szansę na wszystko, czego zapragnie. Już chciał ofuknąć ten głos, po raz kolejny spróbować wyrzucić swój mały mózg z dużego. Ale po chwili stwierdził, że tamten ma rację. Jakby się nie nazywał, Nowak czy nie Nowak. Przecież to on, Wątroba, wszystkiego dokonał, sam znalazł drogę do nadziei na lepsze życie. I teraz kiedy już ją zdobył, nie pozwoli sobie wydrzeć. Choćby miał... zabić. Przeraził się sam siebie. Ale zaraz parsknął śmiechem. Tak się mówi: „nie dam,

choćbym miał zabić”. Przecież to nie na poważnie. Przenosiła. Ścieżka nagle skróciła się i już był na skraju zbrocza. Przed nim rozciągał się widok, ale inny, bez mgieł i szarości. Domy i drzewa jaśniały w słońcu, dym rozprzeczł się po innych krainach. Wątroba stał wpatrzony, jego usta bezgłośnie coś mówiły, obiecywały.

– Nie dam. Nie dam sobie odebrać mojej nadziei. Choćbym miał zabić.

Wracając przez osiedle do domu, natknął się niespodziewanie na Stalowego. Kazek maszerował z reklamówką, na której dumny napis głosił, że PSS Społem zawsze do usług. W rękę trzymał puszkę z piwem, z której popijał co kilka kroków.

– Dzień dobry, Stalowy! Nie powiem, żebyś łatwo się dawał znaleźć. Zmieniłeś rejon urzędowania?

– Dobry, komisarzu. Zmieniłem, ale nie urzędowania, tylko pracowania.

– Pracujesz? – Wątrobę zatkało.

– A jak! Ochrona terenu. Na walcowni.

– Walcownia ruszyła?

– A gdzie tam, Kalif Korporejszyn wykupił. Pod Arabem robię. Mówią, że tam pączki pieką. Ale ja tam nie wiem, co oni robią. Płacą, to siedzę na stróżówce z Pajakiem i Marianem. Mamy być grzeczni i na pączki zapraszać do sklepiku, ale głównie to porządku pilnujemy. Żadna hołota i nie hołota nie może się kręcić.

– Mhm, świetnie. To żona pewnie wniebowzięta. Cud się wydarzył, Kazimierz pracuje.

– Ja tam nie wiem. Wczoraj mi awanturę zrobiła, że udaję tę robotę, bo babę mam na boku. Wcale nie wygląda na zadowoloną.

Pomilczeli chwilę nad dziwnymi kryteriami oceny sytuacji przez kobiety. Ciszę przerwał Wątroba:

– O Mariacu już słyszeliście?

– Słyszeliśmy. Szkoda chłopca. Podobno go jakieś Ruskie za długi zabiły.

Wątrobę znowu zatkało.

– Ruskie? – wyartykułował w końcu swoje zdziwienie.

– No, przecie nie chińskie albo jakie inne arab... – Stalowemu głos nagle zamarł w krtani. Chwilę patrzył na komisarza, jakby coś przemyśliwując. W końcu powrócił do dawnej miny i tonu. – No, Ruskie, jak nic! Przecież u nas tylko swoi i Ruscy mordują, nie?

Wątroba przytaknęła w zadumie. Chciał jeszcze spytać Kazka o Kryszko i dawne czasy, ale Stalowemu zaczęło się spieszyć.

– No, panie komisarzu, żona czeka. Jakby co, to zapraszam do nas na pączka. Może w przyszłym tygodniu, bo te już mocno zleżałe. A i mundur pan zobaczysz. Piękny! Policjanci tylko pomarzyć mogą o takim szyku.

– Mundur masz? To już szczyty!

– He, he, he. Żal dupę ścisnąć? O, tu mam czapkę, reszta została w służbówce. – Kazek wyciągnął czarny kaszkiet. Nałożył na głowę, wyjął wargi i wybałuszył oczy, jakby stał na jakimś pomniku. Na koniec pociągnął długi łyk piwa.

Wątroba patrzył zdegustowany na te popisy. Boże, ten się nigdy nie uspokoi. Przy jednym z ruchów Kazik zabłyszczał w słońcu tym swoim ornamentem na otoku. Wątroba wyciągnął rękę.

– Pokaż no tylko. – Ściągnął mu czapkę szybkim ruchem. – Co tam masz? – Oglądał znak. – Co to jest?

– A to znak tych kalifów czy innych dziadów. Mówią, że bardzo ważny. Szanować trzeba. To i szanują.

Stalowy stanął na baczność wyprostowany jak struna i zaszutował, zerkając w kierunku czapki trzymanej przez Wątrobę. Następnie znowu pociągnął łyk piwa. Wątroba patrzył jak zaczarowany. Miecz i kilof, otoczone liśćmi, pięknie wyszyte złotem. Patrzył i coś mówiło mu, że powinien jak najszybciej zareagować. Ludzie z tym znakiem już tu są i chyba szukają tego samego. Dumalby

jeszcze długo nad czapką, ale Kazek przerwał jego wewnętrzne monologi.

– A nie mówiłem. Żal dupę ściska. Niech się podszkoli, postara, to może też dostanie jaką dobrą posadę. Do widzenia. – Wyrwał komisarzowi czapkę, wsadził do reklamówki PSS Społem, wyrzucił puszkę po piwie w krzaki i pomaszerował, pogwizdując z cicha: „Chłopaki z kwadrata”. Wątroba stał i patrzył za nim bez słowa, póki Stalowy nie zniknął za rogiem; następnie ruszył prawie biegiem w przeciwnym kierunku. Czy zdradzałoby objawy paniki.

Kisiel długo nie otwierał. Wątroba walił do drzwi i walił. W końcu zachrobotwały zamki i przez szparę, szeroką na długość łańcucha, wyjrzała dość przestraszona twarz emeryta. Wątroba starał się opanować, być spokojnym, a nawet miłym. Jednakże tembr głosu, agresywna postawa nie mogły umknąć uwadze Kisielea.

– O co chodzi? – zapytał.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanko w sprawie Mariaca.

– Słucham.

– Ale wolałbym nie tak przez drzwi, chciałbym zdjęcie pokazać, może rozpozna pan kogoś.

Starszy człowiek cofnął się ze światła szpary, łańcuch opadł. Droga stanęła otworem.

– Co to za zdjęcie? – Kisiel był wyraźnie zdenerwowany powrotem policjanta, do tego z jakimś zdjęciem.

– O, proszę. Poznaje pan? – Komisarz wyciągnął dłoń z fotografią zabraną z mieszkania Mariaca.

– Ten to Mariac, ten to jego kolega. Taki jeden. Jak on się nazywa? Nie pamiętam, mieszka gdzieś tu w okolicy, widywałem ich razem czasami. A ten młody to Opalek, Kazek. Dziś miejscowy pijaczek.

– A tego pan nie znasz, na pewno?

Kisiel pokręcił głową przecząco. Komisarz napierał na niego całym swoim ciałem. Pulchna, nalana twarz, z malutkimi oczkami wiercącymi drobną postać emeryta, poczerwieniała z wściekłości. Wątroba sapał gniewnie, powoli puszczały mu nerwy.

- Nie znasz, tak? To czego byłeś wczoraj u niego? Poszedłeś do obcego człowieka, ot tak, pogadać? Raczej ostrzec! Przed czym? Kim on jest dla ciebie? Co ty wiesz, człowieku? Tu chodzi może o czyjeś życie!

Wątroba przygniatał go prawie do ściany. Kisiel pobladł, wyglądał, jakby chciał się wtopić w tę ścianę za sobą, zniknąć z pola nacisku Wątroby.

- Ale ja nie wiem, o czym pan... Proszę się odsunąć.

- Gadaj, kurwa! - wrzasnął Wątroba i uderzył go w twarz. Starszy człowiek prawie upadł. Zgiął się we dwoje, z nosa zaczęła płynąć czerwona strużka. Chciał uciec w stronę drzwi wejściowych, ale komisarz chwycił go za bluzę i pchnął na ścianę. Kisiel przewrócił się. Przestraszone oczy lypały na zwalistego napastnika. Ten stał nad nim, dysząc ciężko.

- Masz już dość? Dowiem się czegoś?

- Ten drugi to Paweł Kryszko, kolega Mariaca.

- To już wiem i bez ciebie! Czemu go ostrzegałeś wczoraj? Przede mną?

- Nie, nie! Chciałem, żeby zniknął. Nie chciałem, żeby skończył jak Wiesiek!

- Dlaczego miałby tak skończyć?

- Bo ci, co Wieśka dopadli, to, to... nie są jakieś przypadkowe zbiry. To ma związek z ich... mhm, zajęciami. Poszukiwaniami.

- Siadaj i opowiadaj. - Wątroba chwycił go za poły i rzucił na kanapę. Sam usiadł za stołem, bębniąc palcami po blacie. Po chwili uspokoił się nieco, rzucił Kisielowi chusteczkę. Ten przyłożył ją do krwawiącego nosa.

– Za bicie przepraszam, ale gadaj bez kręcenia, bo mi dzisiaj coś nerwy odmawiają posłuszeństwa.

Kisiel spojrzał ponuro na komisarza.

– To było kilka lat po wojnie. Przyjechałem tu z rodzicami ze wschodu. Pociąg z przesiedleńcami jechał i jechał, całe tygodnie. Nieraz staliśmy na bocznym torze przez kilka dni, czekając na lokomotywę. Ludzie myszkowali po okolicy, w opuszczonych domach szukali jedzenia, kosztowności, kradli, co się dało. A gdy się jaki Szkop nawinał, to mu dawali wycisk. Co postój, to któraś rodzina albo większa grupa zostawała. Bo tam to nawet całe wsie jechały. Myśmy tu wysiedli. Powiedzieli nam, że huta i kopalnia są. Ojciec wykombinował, że będzie też robota. Właściwie to się sprawdziło, oprócz kopalni. Rodzice pracowali w walcowni. Ja trochę chodziłem do szkoły, ale więcej to z kumplami po okolicy się włóczyłem. A tu po wojnie ciekawie było. Ruscy, Niemcy, opuszczone domy, można się było łatwo wzbogacić, ale też łatwo bez butów albo z nożem w plecach obudzić. A raczej nie obudzić. Takich myszkujących było tu co niemiara, po niemieckich domach, w dworku tego von cośtam. Niby Ruscy pilnowali, bo to siedziba komendanta miasta była. Ale on już się wyprowadził, zwykle żołdacy stacjonowały w garnizonie, to i za flaszkę pozwalali wejść. Raz czy drugi wpuścili, i wtedy znalazłem na podłodze notatnik. Nikt na niego nie zwracał uwagi, wszyscy szukali czegoś wartościowego. Ale tam już wszystko przetrzebili, nawet parkiety zerwali. Nic z tego, co w środku napisano, nie zrozumiałem, wszystko po niemiecku było. Imponowało mi, że mam coś takiego arystokratycznego. Zapiski samego von cośtam, bardzo ważne dla niego. No i te grafiki. Mnóstwo tekstu, a na ostatnich stronach kilka szkiców z jakimiś symbolami. Miecze, siekiery, wieniec laurowy. Jak u starożytnych Rzymian. Podobno to był jego herb i znak kopalni.

Wątroba zaczął się kręcić niespokojnie na krześle. W końcu nie wytrzymał.

– Na pewno były tam te rysunki?

- Na pewno. Co jak co, ale to pamiętam. Wiele razy je oglądałem.

Wątroba już chciał sięgnąć za pazuchę płaszcza, żeby skonfrontować Kisiela z jego znaleziskiem sprzed lat, ale się opanował.

- I co dalej?

- Wtedy poznałem też Heńka, po ichniemu Heinricha, Niemiec, trochę starszy ode mnie. Po wojnie jego rodzina została w mieście. Myśleli, że się zaadaptują do nowego, że ich zostawią w spokoju. Mylili się bardzszwancośo... Ale zakolegowałem się z nim, on już wtedy mówił dość dobrze po polsku. Pokazałem mu swoje znalezisko, obiecał to dla mnie przetłumaczyć. Wziął ze sobą, na następny dzień wrócił. Wpadł tu do mnie, krzycząc, czy wiem, co znalazłem. Że skarby tego von Szwancośtam są opisane, a raczej droga do nich. Pełno opisów bocznych wejść do kopalni. Wzięliśmy te zapiski, mapę i hajda w miasto, szukać tej drogi. On mi cały czas tłumaczył punkt po punkcie, co tam stało napisane. W pierwszy dzień nic nie znaleźliśmy, w drugi dzień nic. W tym czasie Heniek już mi wszystko wytłumaczył; że są korytarze, jakby nielegalne, poza kopalnią, i chociaż szyby zostały wysadzone w powietrze, to i tak można dojść do niektórych miejsc pod ziemią. A ten cały von zaznaczył coś w notesie w taki sposób, jakby to ważne miejsce było. No i myśmy wykombinowali, że to są te jego skarby i droga do nich. Całymi wieczorami o tym gadaliśmy, co kto kupi sobie za złoto. Heniek chciał popłynąć własną łodzią przez Atlantyck. A ja... ja skromniej, a zresztą mniejsza o to...

Kisiel zawiesił na chwilę głos, patrząc milcząco w podłogę, jakby podsumowując ostatnich pięćdziesiąt lat życia. Co chwila pociągał nosem. Krew już nie leciała, ale zakrzepłe ślady znaczyły okolice ust i policzków. Wątroba poganiał go wzrokiem, ale już nie śmiałyby starego uderzyć. Po chwili Kisiel kontynuował.

- Trwało to przez wiele tygodni. Na początku chaotycznie szukaliśmy wszędzie, ale potem systematycznie punkt po punkcie. Nawet z jakimś sprzętem, światło i liny braliśmy. Ale wszystko to były

falszywe tropy. A ludziska zaczęli o nas gadać. Jedni, że nam odbiło, inni, że jestem Volksdeutsch. Ale domyślali się, że o to mityczne złoto się rozchodzi. Pewnego dnia byłem sam w domu. Rodzice pracowali już w walcowni. Ja im mówiłem, że idę niby do szkoły, a potem myszkowaliśmy z Heńkiem... I wtedy przyszli. Nie wiem kto, nie wiem, nigdy ich wcześniej nie widziałem. Wyglądali jak jakieś służby. Wszyscy w czarnych kurtkach albo płaszczach, w kapeluszach. O, jak pan. Ale wtedy tak się ludzie powszechnie nosili. Wpadli do domu, dwóch mnie trzymało, a jeden zaczął bić. Po twarzy, w brzuch. Jak leci. I wrzeszczeli, że jestem Volksdeutsch, że kolaboruję i trzymam jakieś szpiegowskie dokumenty. I że oni mi pokażą. Powywalali wszystkie szpargały z półek i szaf. Na koniec ten, co bił, przyfasolił mi z buta, aż żebro złamał, tak wyszło na rentgenie. Powiedzieli, żebym dał sobie spokój z Niemcami i łażeniem po okolicy. Potem poszli. Kiedy wszystko posprzątałem, to notatnika już nie znalazłem. Bałem się wyjawic rodzicom całą prawdę, powiedziałem tylko, że mnie jacyś pobili, bo chcieli ukraść z domu coś cennego. Ale nic nie powiedziałem i w końcu sobie poszli. Ojciec był ze mnie dumny, że taki zuch jestem. Heniek z rodzicami wyjechał dwa dni później. Dostali nagle bilet w jedną stronę do Hamburga, niby realizacja umów międzynarodowych. Nawet się porządnie nie pożegnaliśmy.

Wątroba patrzył ponuro pod nogi Kisiela. Kisiel patrzył ponuro pod nogi Wątroby. Obaj wydawali się być przybici swoim losem. W końcu komisarz chrząknął i wstał z krzesła.

– I co, szukał pan dalej?

Kisiel pokręcił głową przecząco.

– A ten Mariac, jak on zdobył notes?

– Nie mam pojęcia. Jakiś czas temu ludzie na osiedlu zaczęli gadać, że dwóch chodzi po hałdach i skarbów szuka. Mnie od razu to zaalarmowało. Znałem ich trochę, tego Mariaca i Kryszkę. Pewnego dnia dopadłem ich gdzieś w terenie i powiedziałem, że takie poszukiwania to nie przelewki. Ale moja historia nie bardzo ich

wzruszyła. Stwierdzili, że mam się nie wtrącać, bo turystycznie po okolicy każdy może chodzić. Jak pytałem o zeszyt, to zaprzeczyli, że go mają. Zgrywali głupków. Powtórzyłem jeszcze, że się doigrają i to był koniec rozmowy. Potem ich raz czy dwa spotkałem na ulicy, ale ogólnie mówiąc, nie chcieli mnie słuchać. Obiecałem sobie mieć ich na oku. Jak Mariaca zabili, to od razu poleciałem do Kryszki wybić mu z głowy jakiegokolwiek skarby. A resztę pan znasz.

Wątroba podumał jeszcze chwilę, w końcu powiedział:

– Hm, tak, będę szedł. Przepraszam za najście, coś mnie poniosło, może pan oczywiście to zgłosić na policję. Ma pan święte prawo...

Kisiel machnął ręką zrezygowany. Poszedł do łazienki umyć twarz. Wątroba został sam, przy stole przykrytym serwetą, między kredensem z wazonikami i kieliszkami a wyblakłym portretem ślubnym młodej pary sprzed lat, wiszącym na ścianie. Gdy Kisiel wyszedł z łazienki, Wątroba zaczął się wycofywać, unikając jego wzroku.

– Aha, jeszcze jedno. Nie wiem, kim oni byli, ci napastnicy, którzy mnie pobili. Ale gdy wychodzili, to jeden krzyknął do drugiego, że ma przekazać jakiemuś Nowakowi, że już to mają.

Zwalista postać policjanta znieruchomiała na moment.

– Nowak? Na pewno?

– Tak, Nowak. Pamiętam dokładnie. A teraz jestem pewien, że ktokolwiek ma ten notatnik, nie powinien się czuć bezpieczny. Nie odpuszczają mu.

Wątroba schodził po klatce schodowej przybity tą przestrogą. Gorączkowo zastanawiał się, co począć dalej.

VI. 13.10.1913

Przez ogromne, uwieńczone ozdobnym wykuszem okno wpadało liche październikowe słońce. Malowało na ziemi trapezoidalny kształt rozjaśniający zaledwie część dużego pomieszczenia. Reszta była słabo oświetlona, wręcz mroczna. Wyposażenie pokoju prezentowało typowy styl nowobogackich przemysłowców z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. W szarości stało ozdobne łóże, poręcze kończyły się rzeźbami w kształcie złotej głowy lwa. Reszta była biała. Tak przynajmniej się wydawało, sądząc po jaśniejszej plamie w ogólnym mroku. Ktoś leżał pod białą kołdrą, oczy miał zamknięte, świszczał nieregularnym oddechem. Momentami kaszłał, krztusił się i charczał. Potem odgłosy powoli ustawały, by znowu przejść w świszczący oddech. Koło łóżka siedział skulony mężczyzna z twarzą ukrytą w dłoniach. Mijały minuty, godziny, a w tym widoku nic się nie zmieniało. Czasem zaglądnął ktoś ze służby, ciągle zresztą zerkającej przez dziurkę od klucza, ale jakiegokolwiek pytania były zbywane przez czuwającego niecierpliwym ruchem ręki. Co jakiś czas za murem posiadłości przejeżdżał pociąg z wagonikami kopalnianymi. Szczęk i turkot to narastał, to cichł. Raz po raz odzywała się również syrena oznajmiająca koniec i początek zmiany. Plama słońca przesuwiała się po parkiecie, blednąc i wydłużając się wraz z upływem godzin. Ale scena w mroku pokoju pozostawała niezmienna, jakby wieczna w mozole kaszlu targającego płucami chorego i odzyskiwaniu na powrót oddechu. Pod wieczór stan pacjenta nieco się poprawił, oddech stał się bardziej miarowy, ataki kaszlu rzadsze. Postać przy łóżku wstała i skierowała swe kroki ku

drzwiom, gdy nagle dobiegł ją starczy głos, przerywany świszczącym oddechem.

- Georg.

- Tak, ojcie. Jestem tu, jestem. - Mężczyzna przypadł z powrotem do łóżka. Chwycił chorego za rękę. - Jestem. Chwała Bogu, że oprzytomniałeś. Pan Widmann już nie... A zresztą, nieważne. Wyleczymy cię, ojcie. Sprowadzę najlepszych lekarzy, tylko wytrzymaj trochę. Już jadą...

- Stary dureń Widmann. Grypę to wyleczy, bo ona sama przechodzi. Pijawki, psia jego mać, i pijawki... - Stary rozkaszał się na dobre, spazmy rzucały nim po poduszce. Po chwili jednakże znowu mógł rozmawiać.

- Ale tu nic nie pomoże, Georg, ja umieram.

- Ależ ojcie...

- Ja umieram, synu, bo tak mówi umowa, na którą się zgodziłem. Głupi, nie taki młody wcale, ale głupi...

I znowu atak kaszlu, Georg rozglądał się po pokoju, jakby szukając jakiegoś środka ratunku, albo przynajmniej pomocnej dłoni. Ale byli sami. Heinrich Hans Sigfrid von Schwansteinkohenbohlenwor, bowiem to on leżał w przedśmiertnej pościeli, kontynuował:

- Przed laty podpisałem umowę... I teraz po latach widzę, że wszystkie warunki zostały spełnione. Mam, czego chciałem, ale... - Ponowy napad kaszlu. Tym razem wyjątkowo długi. Georg patrzył z wyczekiwaniem na wymizerowaną twarz.

Ojciec nigdy nie był dla niego kimś bliskim, do kogo można się przytulić, kogo można się poradzić. Ale od urodzenia czuł, że to właśnie on decyduje o jego życiu. Z kim się bawić jako dziecko, do jakiej szkoły pójść, kim będzie, jaki będzie. Wszyscy wiedzieli, że Georg to jego następca. Dziedzic wielkiej fortuny von Schwansteinkohenbohlenworów, którzy w trzydzieści lat zmienili ten rolniczy obszar w okręg przemysłowy na dużą skalę. Węgiel, produkcja stali, wszystko szło pełną parą, majątek rósł jak

zaczarowany. A teraz takie nieszczęście. Nagła choroba założyciela fortuny spadła jak grom z jasnego nieba. Ich domowy lekarz, pan Widmann, powiedział po kilku dniach leczenia, że czegoś takiego w życiu nie widział. Rozłożył bezradnie ręce. Georg obiecał sobie w duchu przepędzić go przy najbliższej okazji; za dobrze miał ten konował u nich. Po czym wezwał najlepszych specjalistów z Berlina, z Wrocławia, ale ci dotrą dopiero jutro lub pojutrze. W stanie ojca to była cała wieczność.

- Mam, czego chciałem - ponowił zwierzenia Heinrich. - Bogactwa, władzę, ale... tracę życie. Tracę ciebie, Georg. Tracę wszystko...

Tym razem kaszel mu nie przeszkodził. Starzec popatrzył w sufit, ciężko dysząc. Naraz zerwał się z poduszki i usiadł. Wpił się zgrabiałą ręką w dłoń syna.

- Uciekaj stąd. Zostaw tę kopalnię, ten dom, wszystko. Uciekaj! Tylko tak ocalejesz, ta umowa może też dotyczyć ciebie, chyba że... Uciekaj, uciekaj, błagam.

Opadł na poduszkę, kaszląc tak, że omal się nie udusił. Georg stał przerażony. Po chwili, przekonany, że to już koniec, wypadł na korytarz, roztrącając pokojówki podśuchujące pod drzwiami.

- Panie Widmann, panie Widmann... - Jego głos odbijał się od złocen elegancckich hallów i gabinetów.

Kilka dni później syrena kopalniana wyła długo i przeraźliwie. Wszyscy pracujący stanęli wyprostowani, część ściągnęła czapki z głów, inni rozglądali się pytającym wzrokiem. Syknięcia i szepty roznosiły wieść, że stary Heinrich von Schwansteinkohenbohlenwor nie żyje. Coraz więcej ludzi stało, mnąc w rękach ściągnięte czapki i wpatrując się tępo w dal. Syrena wyła nieustannie. Niektórzy robili znak krzyża, inni mruczeli coś pod nosem. Pewnie modlitwy za zmarłych albo też przekleństwa i życzenia gorącego kotła dla znieawidzonego szefa. Maszyny walcowni kręciły się na jałowym biegu, pręty zgniatane z każdym obrotem walca przestały na chwilę

krążyć po rołkach. Wagoniki kopalniane nie zakłócały przeraźliwego requiem swoim turkotem. Cały kompleks zamierał powoli, oplakując mniej lub bardziej szczerze swego założyciela.

Przy walczarce numer trzy stało trzech pokazowo zasmuconych robotników. Jeden z nich, z sumiastym wąsem, w skórzanym fartuchu, musiał być mistrzem. Dało się to wywnioskować po tym, jak niemal odruchowo ustawił się na czele małej grupy i z jaką pewnością siebie spoglądał na kompanów. A spoglądał co chwilę, coraz bardziej gniewnie. Rzucił spojrzenia to na lewo, to na prawo, ciągle czegoś lub kogoś wypatrując. W końcu zaklął siarczyście i udał się szybkim krokiem za maszynę. Tam zaczął wyszukiwać czegoś pod obudową; w końcu znalazł. Znow zaklął, przyklęknął i wsadził obie ręce pod blachę. Po chwili wyciągnął za nogi wijącego się i wrywającego szczupłego człowieka, który trzymał w jednym ręku nóżkę kurczaka, a w drugim butelkę piwa. Przyłapany miał pełne usta i nie mógł protestować, wydając artykułowane dźwięki. Były to raczej gniewne bełkoty i coś jakby pomruki lwa. Dbał jednakże o to, żeby mu nic z ust nie wypadło na zapaskudzoną smarem podłogę. Nim wstał, przełknął jadło, popijając łykiem piwa, mistrz był już w połowie gniewnej tyrady:

– Nowak, psia twoja mać, pan prezes umarł, a ty tu sobie kolację robisz? Jak kierownik przejdzie i cię zobaczy, to wylecisz na bruk. O tak! – Wykonał palcami ruch strzepywania pyłku. – A ja za tobą! Już, do szeregu!

Nowak uśmiechnął się złośliwie i odpowiedział całkiem uprzejmie, choć stanowczo.

– Że stary pan prezes zmarł, to ja wiedziałem prędzej, niż te syreny zaczęły grać. I cieszy mnie to bardzo, bo kutasa nie lubiłem jak... A teraz z drogi! Umowa się wypełniła, inaczej pogadamy, panie Heinrich von Schwansteinkohenbohlenwor. Zobaczymy, kto tu kogo wykiwał!

Odtrącił na bok oniemiałego majstra i ruszył szybkim krokiem przez halę. Robotnicy odprowadzali go zdumionym wzrokiem. Mistrz

po chwili oprzytomniał, dołączył do swojej brygady i tylko syknął:

- Jakby co, Nowak oszalał. Rzucił się na mnie, uderzył i uciekł.

Jakiś szok albo co.

Załoga ponuro kiwnęła głowami.

VII. Dzień piąty

Wątroba powlókł się do domu. Natłok informacji, nowych sygnałów i wątpliwości zaczynał go przygniatać. To, co jeszcze kilka godzin temu wydawało się jasne i proste, gmatwało się i komplikowało, powodując w głowie koszmarny chaos. Złoto, Nowak, ten jego, i ten Kisiela, morderstwa, bicie. Wątroba całym swoim ciałem i duchem odczuwał zmęczenie, irytację, ale i determinację, żeby dopiąć swego. Wciąż myślał o szansie na nowe życie, której nie wolno zaprzepaścić. Mimo wszystko. W domu wypił ciepłe mleko i zjadł trzy drożdżówki na uspokojenie i dobry sen, ale ten zazwyczaj niezawodny środek nasenny tym razem nie zadziałał. Komisarz wiercił się w łóżku, licząc barany, chmurki i inne dziwne rzeczy. Próbował również wizualizacji, wyobrażał sobie sielskie łąki, a na nich lwy i owieczki igrające we wspólnej zabawie. Nie wiedzieć czemu wyobrażenia nieodmiennie podsuwała mu zakończenie tej sielanki w postaci krwawej jatki, podczas której owieczka zjadała lwa, wydając żałosne beknięcia po posiłku. Po setnym zeżartym lwie zerwał się z łóżka, obiecując sobie definitywnie skończyć tę rzeźnię. Od czasu do czasu podchodziła do niego mysz; bardziej to czuł, niż widział. Szary kształt myszkujący po kątach pokoju. Ale dziś nie miał ochoty na żadne pościgi. Siedział i myślał. Noc tkąła swój czarny szal, zdobiony tu i ówdzie chmurką oraz zamglonym księżycem. Wiatr szumiał, późny październik nie chciał spać. Mózg policjanta przyzwyczajony do zapamiętywania i analizowania faktów i tym razem zaczął swoją robotę. Powiązania układały się w jego głowie w zgrabną pajęczynkę, a komisarz z godzinę układał się sam ze sobą. Po ogarnięciu sytuacji wyciągnął z

plaszcza swój ukochany klejnot i już chciał oddać się uczcie dla oczu, gdy zachnął się, wałnął dłonią w stół i mruknął:

– Nie ma czasu, Wątroba. Opanuj się! Będziesz się gapił na emeryturze.

Wstał gwałtownie, szybko dopił mleko i zjadł ostatnie ciastko. Za chwilę stał w drzwiach, łopocząc niedopiętym płaszczem. Trochę za głośno zamknięte drzwi i szybkie kroki na schodach zostały odprowadzone ciekawskim wzrokiem pani Obuchowskiej spod trójki, podglądającej przez judasza.

– A patrzcie go, jak to leci. Jakby go diabli gonili – mruknęła babuleńka i wróciła do bezsennego łóżka, gdzie od dwóch godzin liczyła lwy pożerane przez barany.

Kochany dzienniczku! Minął kolejny dzień tej mojej pracy. I muszę powiedzieć, że zaczynam być zmęczony. Szesnaście złotych to jest coś, ale Kadm codziennie nas sprawdza, czy jesteśmy o czasie, potem co godzinę przychodzi, więc o jakimś spaniu można zapomnieć. Wczoraj musieliśmy się nieźle namęczyć, żeby wygonić z walcowni ekipę Karczka z Galczyńskiego. My do nich, że to teren prywatny i wstęp surowo wzbroniony. A ten Karczek z tym drugim przygłupem, Ernestkiem, ani myślą słuchać. Wałą ze swoim wózeczkiem na halę po złom, jak to robili przez kilka ostatnich lat. No to żeśmy im drogę zastąpili, ale zgodnie z zaleceniami Kalif Donut Corporation po ryju nie walimy. Wyrazów na „ch” i „k” unikamy, żeby klientów nie zniechęcać, tylko na pączki zapraszamy. Przygłupie dziady zamiast słuchać, wyzywały nas od takich i owakich, i dalej na halę. My za nimi, ale ja miałem już miękkie nogi, tak blisko żeśmy tam podeszli. Tłumaczę baranom, że do środka nie wolno, bo tam Arabcy po jajach strzelają, a nas z roboty wyrzucają, jak oni tam wejdą. Ale Karczek i Ernest to debile, gęby cieszą, bo widzą, że ich nie bijemy ani nie wyzywamy. W dupie nas mają. W końcu Marian wpadł na pomysł i powiedział

im, że na hali wszystko już Kalif Corporation wyzbierał i cały złom za płot wyrzucił, a najwięcej to na tę kupę gruzu przy Wrzosowej, i że on tam wczoraj metalową beczkę widział, wielką jak pralka „Frانيا”. Jak oni o tej beczce usłyszeli, to w tył zwrot i biegiem na Wrzosową. Czasem się ten Marian przydaje. Wróciliśmy potem na nasze palety, obiecując sobie, że teraz to ich za płot nie wpuszczymy, bo na otwartym placu trudniej kogoś zatrzymać. A tę bliskość hali to każdy z nas odczuł, bo i Pająk, i Marian zaczęli coś mówić, że za bardzo do tych wojaków żeśmy podeszli i trzeba na przyszłość mocniej uważać. Boluś na to zaczął nam opowiadać, że tego typu myśli i opory to znak wypalenia zawodowego, znaczy, kiedy już nie robimy wszystkiego jak kiedyś, bo się boimy albo nudzimy. Dodał jeszcze, że najbardziej wypalone to są zawsze sprzedaż i marketing, i dlatego najlepiej się tam płaci, żeby to wypalenie jakoś wynagrodzić. I zaczął nam tak pierdolić o roli sprzedawcy w firmie każdego typu. W końcu nie wytrzymałem i mu powiedziałem, że wypalony to może on jest, ale od tej dykty, którą w siebie wlewał przez lata, a nam chodzi o to, że tu można życie stracić za marne szesnaście złotych. Dlatego niech sobie w dupę wsadzi wypalenie w sprzedaży i marketingu i niech lepiej pomyśli, jak zejść z linii strzału kolegi z hali. Tak nas wkurwił, że trochę żeśmy go za ostro potraktowali. Jak już wstał, to poszedł do swojej budy. Obrażony, jaśnie pan wypalony, ze sprzedaży i marketingu. Kadm w połowie dnia znowu podszedł i pochwalił za wywalenie Karczka. Skąd on to obserwuje wszystko? Powiedział, że jutro zaczyna się weekend i możemy się podzielić, tak żebyśmy nie musieli tu razem siedzieć. Bo wystarczy dwóch na raz. Wkurwił nas jak nie wiem tym weekendem. Każdy myślał, że będzie wolne. Przecie my Polacy i katolicy, i wolna sobota powinna być. Ale w końcu się zgodziliśmy, on dorzucił nam po złotówce do pensji za pracę w weekend i rozstaliśmy się w zgodzie. Obiecałem sobie, że po robocie wezmę ze sobą mundur i po osiedlu trochę w nim pochodzę. Wczoraj, jak ten

Wątroba moją czapkę zobaczył, to mu się tak oczy świeciły, że jak zobaczy mnie w całym mundurze, to pewnie padnie na zawal z zazdrości. Co jak co, ale Kalif nas pięknie wystroił.

Wiatr nasilał się z minuty na minutę. Księżyc co chwila znikał i pojawiał się zza zasłony rozczapierzonych chmur. Nie było mroźno ani nawet przenikliwie zimno. Pogoda jak na tę porę roku dopisała, ale wiatr i liście wirujące w mdłym świetle lamp nad wejściami do bram domów tworzyły przerażające tło dla nocnej wędrówki komisarza. Z oddali usłyszał dwanaście uderzeń kościelnego zegara, wiatr gwizdał mu w uszach. „Jak w tandetnym thrillerze” – pomyślał, dopinając szczelniej płaszcz.

Jak w tandetnym thrillerze po ulicy wałęsał się ogromny pies. Wątroba nie bał się zwierząt, ale rozmiary psa i sceneria robiły na nim w tej chwili wielkie wrażenie. Pies, jak tylko go zobaczył, czmychnął w zarośla. „Dobrze, że niczego ode mnie nie chce. Nie mam ochoty na jakieś walki. Każdy ma swoje sprawy” – pomyślał skryty w krzakach pies, odprowadzając czujnym wzrokiem zwałistego człowieka w szarym płaszczu.

Po kilku minutach marszu Wątroba zaszedł na Wrzosową. Coś pchało go w tę stronę. Nie mógłby powiedzieć, że ma jakiś plan, ale wiedział, że właśnie tu, przy ostatnim domu, może znaleźć to, czego szuka. Przez szum wiatru przebijały się odgłosy odległego szczekania psów, jednakże doświadczenie podpowiadało, że te szczekające zazwyczaj były przywiązane albo ograniczone płotem podwórka. Podchodził ostrożnie do swojego celu, patrzył w każde okno. Nie chciał być zauważony.

Nagle jego uwagę przykuły jakieś okrzyki i stuk; zza zarośli, zza płotu walcowni biła w niebo jasnosina luna światła. Przeszedł przez kupę gruzu wieńczącą uliczkę. Mimochodem zarejestrował fakt, że zardzewiała beczka z napisem DANGER zniknęła. Zaczął przedzierać się przez badyłowate krzaki w stronę ogrodu. Podszedł tak blisko,

że nawet w otaczającej go ciemności mógł odcyfrować ostrzeżenie Kalif Donut Corporation na tablicy. Odgłosy rozlegały się tu głośniejsz. Wsunął nogę w dziurę w ogrodzeniu i wspiał tak, aby zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie. Tam również rosły zarośla, ale na tyle rzadkie, że nie zasłaniały całkowicie pola widzenia. Bramy budynku walcowni były otwarte na oścież, pod nimi stał ogromny pojazd, rodzaj lawety do transportu ogromnych maszyn. I właśnie zjeżdżała taka maszyna. Wolno, na gąsienicach przemieszczała się ku bramie. Wokół stało kilku ludzi, jeden komenderował ruchem maszyny. Dawał znaki i pokrzykiwał, wyraźnie pokazując raz lewą, raz prawą stronę. Pozostali robili za asystę; niektórzy palili papierosy, inni rozmawiali i dowcipkowali, rozbrzmiewały głośne rozmowy i wybuchy śmiechu. Wątrobie wydawało się, że mają na ramionach karabiny, ale z tej odległości nie mógł rozpoznać szczegółów. Nagle, prawie tuż pod nim, coś zaszeleściło. Wzdłuż muru, od strony walcowni, szło dwóch ludzi. Znajdowali się jakieś trzy, cztery metry od głowy komisarza wystającej zza ogrodzenia. Wątroba zdał sobie sprawę, że każdy jego ruch zaalarmuje tych jegomościów. A ci, teraz widział to wyraźnie, byli uzbrojeni. Podchodzili coraz bliżej, jeden z nich palił papierosa. Gdyby tylko podnieśli wzrok, zobaczyliby wystającą zza płotu głębę w kapelusiku, ale szczęściem nie zrobili tego. Krzaki były tu dość gęste, dlatego częściej spoglądali pod nogi. Przechodząc koło Wątroby, jeden z nich coś powiedział i zatrzymali się. Język był dziwny, na pewno nie europejski, Wątroba sądził, że to arabski, ale może perski albo aborygeński. Nie znał się na tym. Palacz podszedł do ogrodzenia, rozpiął rozporek i zaczął sikać. Wątroba wisiał. Wiedział, że teraz nie może ani drgnąć, ani nawet głębiej odetchnąć. Każdy ruch to dekonspiracja. Głowa sikającego znajdowała się o jakieś pół metra poniżej jego głowy. Poczul wilgoć na stopie. Koniuszek buta, wystający przez dziurę w ogrodzeniu, był oblewany strumieniem moczu. Kłęby papierosowego dymu atakowały usta i nozdrza Wątroby. Wstrzymał oddech, bowiem jako niepalący wiedział, że za chwilę

wybuchnie kaszlem, alarmując nie tylko tych dwóch, ale całe miasto i przyległe gminy. Arab, czy innej nacji człowiek, sikał i sikał, a sikając, powiedział coś do tego drugiego. Być może skomentował dowcipnie swój stan hydrologiczny, bo zaczęli śmiać się i kaszleć wesoło. Wątroba miał wrażenie, że zaraz pęknie z wysiłku i braku tlenu, ale szczęśliwie strażnik wreszcie opróżnił pęcherz i odszedł, zabierając dym ze sobą. Wątroba zsunął się po płocie na ziemię, zaczerpnął powietrza. Uciekając przez krzaki, kaszlał tak, jakby płuca miały mu zaraz wyjść na wycieczkę krajoznawczą poza klatkę piersiową. Wiedział, że tamci mogą go usłyszeć, ale nie mógł przestać. Dopiero po dłuższej chwili uspokoił się. Nasłuchiwał, czy nikt go nie goni. Spokój.

„Wyścig trwa” – powiedział sobie w myślach. Był już pewien, że Kalif Donut Corporation to nie żadne pączki, ale ludzie zainteresowani wejściem do starej kopalni. Po co? To jasne. Po to, czego szukał Mariac, Kisiel, a teraz on. Dotknął prostokątnego kształtu na piersi. Trzeba działać.

Powrócił pod dom na Wrzosowej; ceglany budynek szarzał przed nim monumentalnie. Zwrócił szczególną uwagę na okna Krzysia, bo zdążył już zauważyć, że ten jest najbardziej czujny z całego towarzystwa. Na szczęście nikt tu nie miał psa, tylko kot się kręcił. Wątroba wzdrygnął się na wspomnienie obserwującego i krytykującego każdy jego ruch kota. Liczył, że futrzak gdzieś drzemie w opuszczonym mieszkaniu Mariaca. Miał też nadzieję, że Waldek gołębiarz dał mu coś do żarcia. Już zaczął sobie wyobrażać wychudzony zewłok przy zdrapanych do gołej dechy drzwiach. Po chwili skarcił się w duchu. Do rzeczy! Co go obchodził kot? Miał ważniejsze zadania na głowie. Po cichu obszedł dom. Mijając boczne okno należące do mieszkania na parterze, zobaczył bijącą przez firankę poświatę telewizora. „Nie śpią jeszcze” – pomyślał. Prostokątne okna mrugał i błyskał filmową akcją. Może to i dobrze. Waldek był zajęty czymś innym niż wsłuchiwanie się w nocne odgłosy otoczenia.

Wątroba zmierzał do komórek na podwórzu. Przeoczył je za pierwszym razem, a teraz po przemyśleniu faktów i poszlak nabrał pewności, że były one dla Mariaca ważne. Wszystko zbiegało się w czasie i przestrzeni. Lokalizacja przejścia A8, poszukiwania Mariaca, wykupienie przez niego starych szopek i długie nasiadówki wewnątrz w bliżej nieznanym celu. Wszedł na podwórko i nagle z boku usłyszał szum dziesiątek skrzydeł. Szlag by trafił! Gołębnik! Całkiem o nim zapomniał. Zaniepokojone ptactwo trzepotało się po zamkniętym pomieszczeniu, próżno szukając drogi ucieczki przed nieznanym napastnikiem. Gołębiarz na pewno miał czułe ucho na takie hałasy. Wątroba zamarł. Zmienił się na chwilę w nieruchomy słupek. Po kilkunastu sekundach gołębie się nieco uspokoiły. Nikt nie otworzył okna, nikt się nie zainteresował. Jedynie wiatr w dalszym ciągu podnosił w powietrze liście i przepychał pierze chmur pod księżycem. Wątroba znowu zaczął się skradać. Wolno, kroczył za kroczeniem. Tak aby nie denerwować gołębi. W końcu dotarł do szopek.

„Co ja wyprawiam? – kołatało się w jego głowie. – Przecież mogę tu przyjść jutro, legalnie, jako prowadzący śledztwo”.

Racja, mógł odejść i wrócić oficjalnie, za jasnego, każąc otworzyć komórki za pomocą specjalnych obcęgów, zlecając zrobienie zdjęć każdego kąta tej budy, a potem mógłby siedzieć w środku całymi godzinami.

„Tak, mógłbym, ale...”

Ale dalej macał w ciemnościach zamknięcia drzwi, jak złodziej, jak ktoś, kto wie, że ma szansę zdobyć skarb wspaniały, niezwykle. Byle samemu, byle nie dać się złapać...

Było czworo drzwi; domyślał się, że każde prowadziły kiedyś do osobnej szopki. Gołębiarz mówił o kluczach do komórki, jednej, więc prawdopodobnie tylko jedne drzwi były używane. Które? Gdy tylko księżyc odsłonił na chwilę srebrną twarz, komisarz uzyskał odpowiedź. Tylko przed jednym wejściem podłoże zostało wydeptane, resztę okalały trawa i rozrastające się coraz śmieiej krzaki. Wątroba

podszedł do używanych drzwi. Chmura znowu zasłoniła księżyc. Gołębie zatrzepotały nerwowo skrzydłami. Cholera, za szybko się poruszył. W pokoju mieszkania gołębiarza od strony podwórka coś jakby smuga światła liznęła okno, ale zaraz zgasła. Wątroba dyszał ciężko, zły i zdenerwowany. Kłął w duchu na całe ptactwo świata. Po chwili odwrócił się do drzwi. Jako znajomy kilku kryminalistów umiał otwierać swoim zestawem drucików większość prostych zamków. Nie podejrzewał, by w tej szopce zamontowano coś skomplikowanego. Próbował wymacać klamkę i dziurkę od klucza. Daremnie. Wisiał tylko skobel, ale bez kłódki. Naparł na drzwi. Stały jak wmurowane. Były zamknięte od środka. Naparł jeszcze raz, mocniej. Drzwi ani drgnęły, gołębie znowu się zdenerwowały. Wątroba zamarł. Przeszedł do innych drzwi, ale one również okazały się bardzo solidne i zamknięte na glucho od środka. Zaczął wędrować wokół komórek, ale niczego nie znalazł. Żadnych okien, żadnych otworów czy szczelin. Opadły mu ręce. Co teraz? Stał koło budynku, drżąc ze strachu, że ktoś go przyłapie, a jednocześnie zdeterminowany, by działać dalej. Nie mógł tak odejść. Wiatr wzmagał się, jakaś obłuzowana blacha zaczęła rytmicznie łopotać, gołębie znowu się spłoszyły, ale komisarz zaczął je ignorować. Prawdopodobnie ptaki wciąż się tak wzbudzały i ich zachowanie nikogo już nie alarmowało, nikt nie wyglądał przez okno. Wiatr nie tylko łopotał blachą – świstał wśród załamań murów, skrzypiał drzewami, szeleścił trawą i niósł ze sobą wiele innych dalekich odgłosów, dziwnych dźwięków. Wątroba zamarł; zdało mu się, że usłyszał śmiech. Nie, złudzenie, żaden śmiech. A jednak rozglądał się nerwowo.

„Jak w kiepskim thrillerze” – pomyślał, podobnie jak wtedy gdy rozległo się bicie zegara na kościelnej wieży. Wcześniej jakoś nigdy nie przyszło mu do głowy, że filmy grozy mogą być oparte na rzeczywistości.

Znowu wydawało mu się, że ktoś chichocze. Rozejrzał się niespokojnie. Ciemność. Gołębie szalały w klatce, blacha łopotała.

Dom przed nim szarzał ponurą bryłą, u Gołębiarza telewizor zgasł, nie dostrzegając żadnych refleksów. Pewnie poszli spać. Komisarz podniósł wzrok, lustrując resztę okien, i zamarł. Na piętrze, z okna mieszkania Mariaca biła delikatna jasnoszara luna. Na jej tle stał jakiś kształt. Prawdopodobnie ludzki. Nieruchomy, niezmienny, acz niewyraźny. Wątrobę zmroziło. Po chwili rzucił się biegiem w kierunku wejścia do domu, gołębie znowu zatrzepotały histerycznie w gołębniku. Wpadł jak bomba do sieni, po jęczących schodach wdrapał się na piętro. Słaba kilkunastowatowa żarówka rozświetliła odrapane wnętrze. Szarpał się z drzwiami Mariaca, klnąc na czym świat stoi. W końcu przypomniał sobie o pęku kluczy za belką. Był. Nerwowo dopasowywał klucz po kluczu. W końcu usłyszał chrobot ustępującego zamka. Drzwi otworzyły się z hukiem. Wpadł do mieszkania. Ciemność. Cisza. Przebiegł przez stołowy do kuchni. Wszędzie noc, martwy spokój. Kot miauknęła i zeskoczyła z kanapy. Wyglądał dobrze, odżywiony i zadowolony, w poświacie żarówki z korytarza mierzył komisarza zaciekawionym wzrokiem. Po chwili w drzwiach zjawił się zdyszany Waldek gołębiarz. Trzymał w ręku długi klucz francuski, minę miał zaciętą, nieodłączną maciejówkę na głowie. Włączył światło w przedpokoju.

– Stój, bo jak cię... – zaczął, ale nie dokończył, zobaczywszy, kto tu urzęduje. – To pan? Co pan tu robi?

Wątroba gorączkowo szukała odpowiedzi. Chwilowo świdrował sąsiada z parteru swoimi małymi oczkami i już chciał odpowiedzieć coś wymijająco, gdy inne słowa wypłynęły z jego ust.

– A pan w tej maciejówce nawet śpisz?

Gołębiarz dotknął ręką nakrycia głowy, jakby nie był świadomy, że wciąż je nosi. Chrząknął, nabrał oddechu, by zripostować, ale ostatecznie uznał, że tu żadna odpowiedź nie będzie dobrym wyjściem. Wolął powrócić do meritum.

– A pan co? Noc muzeów urządzasz? Co to za najścia po nocy? Ludzi pan budzisz.

- Przepraszam, ale wydawało mi się, że ktoś tu buszuje. - Wątroba sprowadził ich konwersację na poziom emocjonalnie neutralny. - Więc sprawdziłem.

Gołębiarz o nic więcej nie pytał. Skoro ktoś był w stanie usłyszeć lub zobaczyć jakiś ruch w mieszkaniu na piętrze, oznaczało to, że stał w środku nocy, w zapomnianym przez Boga i samorząd kątku ich miejscowości, tuż obok ich domu i to od strony podwórka. Waldek Gołębiarz był zbyt doświadczonym człowiekiem, żeby drażnić takie tematy w rozmowie z wyraźnie zdenerwowanym policjantem. Wątroba pomilczał chwilę ponuro, po czym zamknął drzwi, powiesił pęk kluczy na belce i dalej milcząc, zaczął schodzić po swoich ulubionych schodach. W pewnym momencie odwrócił i mruknął do Waldka:

- Dziękuję, że kota pan karmisz, wygląda dobrze.

Gołębiarz uświadomił sobie wtedy, że zupełnie zapomniał o tym koczurze. Nigdy go nie lubił, ale takie okrucieństwo się nie godzi. Zaczął otwierać drzwi, żeby sprawdzić, czy zwierzę dycha jeszcze.

Wątroba poszedł dalej. Na dole drzwi do mieszkania Krzysia stały otworem. Wejście czerniło się, jakiś jaśniejszy kształt majaczył w głębi. Przechodząc obok, komisarz rzucił okiem do środka, ale nauczony doświadczeniem nie wchodził. Po sekundzie stał już przy drzwiach wyjściowych i wtedy dobiegł go charakterystyczny głos:

- Czar-ny.

Wątroba bez słowa nacisnął klamkę, ale w duchu zgodził się z Krzysiem.

Komenda powoli budziła się do życia, a komisarz, jak nigdy, był jako pierwszy na posterunku. Siedział od świtu za swoim biurkiem, wlepiając mętny wzrok to w stary zeszyt, to w drogocenną sztabkę. Wyglądał kiepsko. Kataryniarz i Zawisza wymieniali znaczące spojrzenia i cmokali swymi zabawkowymi ustami nad jego kiepskim stanem. Rzeczywiście, wyglądał, jakby całą noc orał pole, robiąc

jednocześnie za wołu i poganiacza. Siedział nieprzytomny za biurkiem, patrząc jak sroka w kość w swoje precjoza. Kawa za kawą znikąca w jego czeluściach.

- Ho, ho, ho. Kiepsko z tobą, kolego! - Figurki nie okazywały współczucia. Same nieruchome, z odłóżkowym lakierem, za swój zasrany los gotowe winić każdego. A już zwłaszcza tego grubasa w płaszczyku.

Wątroba miał je gdzieś, nawet się z nimi nie przywitał. Stopień lekceważenia ich kukielkowatych wysokości był tak wielki, że te już myślały o przeprowadzce na biurko obok, do Miki. Byle ktoś je przeniósł.

Do pokoju wpadł inspektor Wróżka, ale jak tylko zobaczył pryncypała, mruknął coś o ważnej wizji lokalnej i poleciał w te pędy na drugi koniec komendy. Zresztą Wątroba nie chciał z nikim gadać. Miał dość własnych problemów. Wiedział, że musi tam dziś wrócić i dostać się do środka. Tylko jak? Jak wejść incognito, bez zwracania uwagi? To było niemożliwe. Waldek na pewno skojarzył różne fakty, dodatkowo cała kamienica znała go już aż za dobrze. Chodziło głównie o to, jak opóźnić przyjazd ludzi z komendy do mieszkania Mariaca, a konkretnie do komórek. Musiał tam wejść najpierw sam. A domyślał się, że cała machina informacyjna zdążyła ruszyć. Wcale się nie zdziwi, gdy Chwiejczak zaraz mu przyniesie dane denata z adresem zamieszkania.

Zza drzwi dobiegł go tubalny głos dyżurnego odganiającego od siebie pierwszych petentów. Jakies głosy damskie i męskie natarczywie domagały się swoich praw. Wątroba już chciał wyjść i opierdolić całe towarzystwo za hałasy, ale ostatecznie stwierdził, że nic nie wskóra, a tylko bardziej się zmęczy. Po jakimś czasie usłyszał zza ściany znajomy głos Chwiejczaka, który coś opowiadał, kimś komenderował.

Po czym wszedł do pokoju.

- Pan komisarz już w pracy? - zdziwił się wyraźnie.

- Tak - odparł sucho Wątroba, co jeszcze bardziej zdziwiło Chwiejczaka. Zazwyczaj na powitanie dostawał porcję uszczypliwości lub w eter szedł dowcip, równie złośliwy.

- To może pojedzie pan ze mną i całą ekipą na przeszukanie domu tego zamordowanego sprzed trzech dni? Wiemy, gdzie mieszka. Techniczni już siedzą w radiowozie. Mam pozwolenie. - Pokazał jakiś papier.

Tego było za wiele. Wątroba zerwał się na równe nogi. Spurpurowiał cały na twarzy i wrzasnął:

- Jak śmiecie wchodzić w moje kompetencje! Ja już od wczoraj wiem, gdzie on mieszka. A ekipy nie brałem specjalnie! Tam trzeba być ostrożnym, żeby nie spłoszyć morderców. A wy jak baran po szkoleniu wstępnym. Mamy adres, jedziemy z całą armią! - wypowiedział ostatnie zdanie, udając lekko nosowy głos Chwiejczaka. - A tam, ten, ci, no, tego, technicy, zepsują wszystko, spierdolą sprawę. Wszystko, co planowałem, spierdolą! Spierdolą, rozumiecie!

Zapadła ponura cisza, tylko zegar tykał. Chwiejczak patrzył przerażony na komisarza; nie spodziewał się takiego huraganu. Wątroba zawsze chwalił szybkie postępy. A tu? Taka awantura? Komisarz powoli się uspokajał. Zdał sobie sprawę, że zrobił z siebie kretyna i musi teraz jakoś to odkręcić.

- Chwiejczak, niech techniczni przyjadą później, teraz udamy się tam sami, na rekonesans. Kartę im przekazaliście?

Chwiejczak pokręcił głową. Czyli ekipa techniczna jeszcze nie wiedziała, gdzie ma jechać. Wątroba wyciągnął rękę z wyrazem oczekiwania na twarzy. Karta z wypełnionym adresem i numerem sprawy spoczęła po chwili w jego przepastnej kieszeni. Chwiejczak próbował nieśmiało walczyć.

- Ale jutro sobota, ciężko będzie ekipę skompletować.

„To ja wiem” - pomyślał Wątroba, ale głośno powiedział:

- Skompletujemy. Macie moje słowo.

Chwiejczak spojrział jeszcze raz z ukosa na szefa i wyszedł; wkrótce rozległ się jego komenderujący głos. Wątroba w głowie układał naprędce plan B. Sapał głośno przez zaciśnięte usta, które tworzyły krótką, wąską kreseczkę na nalanej bani głowy. W końcu zaklął i wkurzony zmiotł ze stołu kilka segregatorów oraz swoje niby ulubione figurki. Był wściekły, ale głównie na siebie. Mógł się przecież domyśleć, że sprawy pójdą takim torem. Oby Chwiejczak nie zdążył ustalić niczego więcej. Kataryniarz i Zawisza leżeli na zakurzonym PCW i obiecywali sobie, że z Wątrobą koniec. Nie chcieli go już więcej widzieć, niewdzięcznika.

Na podwórzu posterunkowy czekał obok samochodu. Wątroba uśmiechnął się do niego z przymusem. Musiał zatrzeć złe wrażenie sprzed kilku minut – Chwiejczak nie był idiotą, umiał kojarzyć fakty, posiadał dostęp do akt i też mieszkał w okolicy.

– Bez przesady, bez przesady, panie posterunkowy! Znowu tyłek wozić? Ruch! Ruch to zdrowie, zdrowie to życie, a życie to... – zastanawiał się chwilę nad puentą – ...życie to... ruch – zakończył dość beznadziejnie.

Chwiejczak westchnął głucho, czekając na ciąg dalszy.

– Idziemy pieszo, pogadamy, powiążemy fakty. W snopki. He, he, he.

Chwiejczak znowu westchnął i pobiegł za komisarzem. Na komendzie nikt nie wiedział, gdzie idą ani po co. Nawet dyżurny nie zauważył ich wyjścia, zajęty tłumaczeniem jakiejś kobiecie, że gonicie kota po podwórku przez dzieci z sąsiedztwa gównem obchodzi policję i gówno by obchodziło również dawną milicję. A jeżeli ona twierdzi, że za komuny było lepiej, to niech się przeprowadzi na Kubę i da mu wreszcie spokój.

Szli przez park po wyblakłych żółtych i brązowych liściach. Szli przez stare zaniedbane dzielnice, gdzie stały jeszcze kamieniczki z pięknie rzeźbionymi datami 1907 albo 1923, z których tynk się sypał, na które srały gołębie, a balkony podparte drewnianymi stęplami

wyraźnie dawały znak swoim komunalnym lokatorom, że pora na remont. Szli wreszcie przez dawną przemysłową dzielnicę, w kierunku Wrzosowej.

- Udało się wam ustalić coś jeszcze? - zagaił Wątroba.

Chwiejczak nie był rozmowny. Jeżeli tak został potraktowany za inicjatywę, to ograniczy się do wypełniania rozkazów.

- Nie, panie komisarzu. Tylko adres. No i był już kiedyś u nas notowany, wspólnie z tym Kryszko, do którego poszedł Kisiel Zenobiusz, którego kazał mi pan śledzić. Jakies pobicie, sprawę umorzono.

Wątroba milczał. Powiązania. Za dużo powiązań. Powszechnie znanych. Zapisanych. Ten Chwiejczak to jest jakiś pierdolony pracuś. Szefa nie ma całymi dniami, a on i tak pracuje. Za taką pensję!

- A ten smagły?

- Przesłałem zapytanie do rejestru, mieli odpowiedzieć za parę dni. Ale to było przedwczoraj, więc może już coś przysłali. Sprawdzę, gdy wrócimy.

- Tak, tak... - zadumał się Wątroba. - Gdy wrócimy... I nic poza tym, żadnych znajomych, rozpoznanych twarzy, zgłoszeń zaginięcia?

Chwiejczak pokręcił głową. Wątroba znowu się zadumał. Wchodzili już na nierówny bruk Wrzosowej. Komisarz odnosił wrażenie, że zna ten zakątek od wieków. Wcale by się nie dziwił, gdyby ktoś mu powiedział: „Dzień dobry”. Na końcu pyszniła się abstrakcja gruzowo-ceramiczno-plastikowej góry, zdobionej uschłymi krzaczkami, miejsce nocnego podduszania dymem. Budynek walcowni majaczył za ogrodzeniem. Szli w kierunku ostatniego domu. Wątroba gorączkowo zastanawiał się, jak ustawić rozmowę, żeby nie zeszła na jego nocne odwiedziny. Zdecydował się wyjawić co nieco Chwiejczakowi.

- Postanowiłem przeszukać dom jeszcze przed technicznymi, dlatego sąsiedzi mnie już znają. Ale dobrze, że znowu tu jesteśmy. Druga para oczu zawsze się przyda.

Chwiejczak nic nie odpowiedział. Ale komisarz doskonale wiedział, co sobie pomyślał; że nigdzie nie widział notatki z przeszukania domu, nigdzie nie widział numeru referencyjnego pozwolenia, a Wątroba stracił całe poczucie humoru i denerwuje się o byle pierdołę. Niestety, Chwiejczak nie był kretynem, umiał dodać dwa do dwóch. Wątroba łypał co rusz podejrzliwym wzrokiem na swojego podwładnego, który miał nieodgadnioną minę. Szli dalej w milczeniu. Wtem lekko poruszyła się firanka w mieszkaniu na parterze. Wątroba już wiedział, że to Krzyś na posterunku. Zerknął z niepokojem w okna Waldka gołębiarza, ale nie zarejestrował tam żadnego ruchu. Wkroczyli razem do ciemnej sieni, następnie wspięli się po jęczących schodach. Wątroba z zazdrością patrzył na szczupłego Chwiejczaka, który pokonał stopnie prawie bezgłośnie. Natomiast pod nim drewniana konstrukcja znowu rozpoczęła koncert kocięj muzyki. Podeszli pod drzwi z trójką, Chwiejczak ubrał gumowe rękawiczki. Wątroba mruknął pod nosem, że on swoje zgubił i za pierwszym razem też ich nie miał. Posterunkowy nie skomentował, ale widać było, że jest zdegustowany nieprzestrzeganiem procedur. Spróbował otworzyć drzwi. Bezskutecznie. Spojrzał pytająco na komisarza. Przecież on tu jakoś wszedł. Jak? Wątroba po chwili wahania wyciągnął rękę w stronę belki pod stropem i zaczął macać, ale haczyk był pusty. Chwiejczak patrzył wyczekująco.

- To było tutaj, pęk kluczy, ktoś musiał...

W tym momencie otworzyły się drzwi naprzeciwko i wychynął z nich Mietek. Jak zwykle marszczył czoło, próbując zidentyfikować ludzi przed mieszkaniem.

- A! Nie ma Mariaca! Wyszedł, niech przyjdą później!

Chwiejczak zwrócił się w jego stronę i już chciał coś powiedzieć, ale Wątroba ubiegł go i ryknął:

- Dziękujemy. Do widzenia!

Wprowadził jednookiego Mietka z powrotem do mieszkania, zatrzaskując za nim drzwi. Zdumionemu Chwiejczakowi wytłumaczył,

że to stary, głuchy jak pień dziadek i niczego się od niego nie dowiedzą. Ledwie to powiedział, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Wyglądało, jakby na siłę uspokajał Mietka i celowo odsyłał go do domu. Wyglądało, jakby nie chciał, żeby posterunkowy z nim rozmawiał. Wątroba, chcąc zatrzeć złe wrażenie, ponowił poszukiwania kluczy.

Pomogły mu schody, które zajęczały pod czyimś krokami. Waldek w swojej nieśmiertelnej maciejówce wychynął zza rogu. Przywitał się i przedstawił posterunkowemu, po czym wyciągnął klucze z kieszeni.

- Wziąłem, bo łażą tu różne takie. Tyle się mówi o złodziejstwie – tłumaczył, popatrując znacząco na Wątrobę. - Proszę, pan już wiesz, co i jak. - Wręczył pęk komisarzowi, któremu zdawało się, że słowa gołębiarza z każdą sylabą bardziej wskazują na niego, jako na kogoś podejrzanego.

Gdy znalazł odpowiedni klucz, szybko włożył go do zamka. Waldek stał na klatce schodowej i przyglądał się im krytycznie. W końcu westchnął i odszedł w swoją stronę, ale po chwili odwrócił się i powiedział:

- Kota nakarmiłem, ale nie chce, skubany, wyjść z domu. Nawet kijem nie wypędzisz.

Wnętrze przywitało ich tykaniem zegara i burczącą lodówką. Pogięta abstrakcja ze skóry miała się świetnie i wisiąca tam gdzie zwykle. Kryształowo-szklana meblościanka po swojemu zwielokrotniała i wykręcała wizerunki ich postaci. Chwiejczak delikatnie otwierał szuflady, wyciągał przedmioty – wszystko to było już znane Wątrobie – w końcu dotarł do sterty majtek i pidżam w szafie. Wątroba oczekiwał, że wkrótce natrafi na kopertę. Ale nic z tego. Policjant przekopał wszystko, lecz znalazł tylko stopy bawełnianej bielizny. Wątroba wychylił się ze stołowego, popatrzył w stronę schodów. Był tam. Stał. Nasłuchiwał. Znał świetnie to spłoszone spojrzenie, ten prawie niezauważalny ruch dłoni wokół ust. Wiedział

już, gdzie jest cenna koperta. I wiedział, że teraz ma wścibskiego Waldka w garści.

- A jest pan pewien, że nikt nie wchodził w środka? Coś tu chyba się zmieniło.

- Tylko ja. Nakarmić kota. Ale niczego nie ruszałem.

Komisarz powrócił do Chwiejczaka, który przechodził już do kuchni. Nagle kot smyrnął im między nogami do pokoju. Rzeczywiście, pomimo otwartych drzwi wejściowych ani myślał uciekać z mieszkania.

- Kici, kici. - Chwiejczak wyciągnął rękę w gumowej rękawiczce, żeby pogłaskać zwierzę. Kocur wydał przeraźliwy odgłos i wbił się pazurami w przyjacielską dłoń.

- Au! O, cholera, a to bestia! - zajęczał zawiedziony wielbiciel kotowatych, patrząc na krew znaczącą biel rękawiczki. Pobiegnął szybko do łazienki, ale zaraz wrócił z informacją, że nie ma wody. Gołębiarz potwierdził, że zakręcił, bojąc się zalania. Poszli razem na dół do kranu znajdującego się w mieszkaniu na parterze. Kot odprowadził ich czujnym wzrokiem. W tym czasie Wątroba rzucił się do znajomej szafki w kredensie, by sprawdzić, czy poprzednio niczego nie przeoczył. Szuflada po szufladzie, nerwowo otwierał i zamykał drzwiczki...

- Panie komisarzu, przecież ślady... Wszystko pan zapalcuje. - Chwiejczak patrzył na przełożonego z najwyższym potępieniem. Trochę za szybko wrócił. Takiego lekceważenia procedur Wątroba jeszcze nigdy nie pokazał. To że za pierwszym razem nie miał rękawiczek, nie znaczy, że teraz wolno mu tu urządzać festiwal macania. - Ja mam przecież zawsze przy sobie zapasowe pary. - Wręczył mu rękawiczki w foliowym woreczku, sam też już założył nowe, spod których przeświecał plaster na ranie. Również z własnych zapasów. Komisarz zaczął się siłować z lateksem.

Chwiejczak podszedł do wyrwanej szuflady, oglądał ją ostrożnie ze wszystkich stron, robił zdjęcia aparatem w telefonie komórkowym.

- Kiedy pan tu był, to też było wyrwane? - zapytał Wątrobę.

- Nie, raczej nie. Ale nie sprawdzałem tych szuflad - skłamał komisarz. Chwiejczak równie dobrze co Wątroba znał to spłoszone spojrzenie, ten prawie niezauważalny ruch dłoni wokół ust, ale nie powiązał tego z wyrwaną szufladą. Na razie nie powiązał.

- Nie mógłby pan tego przeoczyć, bo szuflada wypada przy byle dotyku. Na pewno by pan zauważył. Może ktoś tu wszedł i buszował. To trzeba szczególnie dobrze zabezpieczyć - oświadczył, wsadzając deskę szuflady do woreczka, również pochodzącego z jego osobistych zapasów.

Wątroba zaczął gorączkowo sobie przypominać, jak dokładnie stał swoje ślady. Deskę wycierał na pewno, ale czy na tyle, by nie pozostawić żadnego odcisku? W panice nie potrafił sobie przypomnieć.

- Nie pamiętam, Chwiejczak. Nie wiem, czy sprawdzałem te szuflady, czy nie. Czego się czepiacie? Co to, jakiś komputer jestem! - nerwowo tłumaczył sytuację, ale szybko spostrzegł, że brnie w ślepa uliczkę. W ten sposób tylko się pograżał.

Chwiejczak popatrzył na niego przeciągle, zamrugał powiekami. Po czym wzruszył ramionami i wziął się do roboty. Co rusz jednak rzucał ukradkowe spojrzenia na swego przełożonego. Wątrobie wydawało się, że również św. Antoni ze ściany przestał go lubić. No bo niby czemu się tak gapił, jakby wszystko wiedział? Uspokajał sam siebie, że to tylko obrazek.

Wątroba, zorientowawszy się, iż Chwiejczak nie uzyskał lepszych rezultatów niż on, uspokojony wyszedł z kuchni. Nieznacznie sprawdził, czy sztabka i notatnik siedzą pewnie w kieszeni na piersi; gdyby teraz wypadły, byłaby katastrofa. Chwiejczak spisywał na małych karteczkach numery przedmiotów zapakowanych w woreczki, do analizy przez techników. Cały czas głowił się, co takiego mogliby tu zepsuć technicy i niby jaki plan komisarz miał na myśli. Kilka szafek, żadna rewelacja. Ot, rutynowa kontrola. Wkrótce zaczęli się zbierać z

powrotem na komendę. Klucze oddali sąsiadowi w maciejówce, który zobowiązał się karmić kota, jednakże bez wchodzenia na teren mieszkania. Na odchodnym rzucił jeszcze:

- A te komórki sprawdzaliście, znalazł się klucz? Ja próbowałem tam wejść, ale zamknięte od środka. Bardzo dziwne. Mówiłem już panu, że ten Mariac coś tam całymi dniami kombinował.

Wątrobę zmroziło od stóp do głów. Co za debil! Chwiejczak zaczął się dopytywać. Komisarz z najwyższą chęcią wepchnąłby gołębiarza do tej jego nory, tak jak Mietka, ale akcja już się toczyła.

- ...bo wie pan, ja miałem tę komórkę od dziecka, on je kupił dopiero kilka miesięcy temu. Wiem, jak tam wejść bez drzwi, jeszcze jako chłopcy żeśmy się tam nieraz chowali. Sam nie będę, ale z policją to inna sprawa...

Stańło na tym, że poszli wszyscy razem na podwórze. Chwiejczak z góry dziękował sąsiadowi denata za bezinteresowną pomoc, Wątroba czuł pulsowanie żyły na skroni i nieopanowaną chęć mordy połączonego z kanibalizmem. Gołębie na ich widok zatańczyły w klątkach. Podeszli do małego szarego budynku.

- Tutaj jest wejście, zablokowane. - Gołębiarz szarpał za wiszącą skobel. - Tamte też. Ale na dachu, jak się podniesie tę płachtę papy... - ze swadą i znanstwem kontynuował pan Waldek - można oblużować te dwie dechy. Uff! - Napierał, stojąc na starej skrzynce po ziemniakach.

- Jest, udało się! - Wspiął się na palce i próbował zajrzeć do środka. - Trochę światła jest, trzeba by wejść i spróbować otworzyć drzwi.

Chwiejczak odsunął go na bok, wdrapał się zwinnie na dach i po chwili zniknął, chudzina, w szarej wąskiej dziurze. Gołębiarz komentował jego postępy z góry. Chwiejczak odkrzyknął, że spróbuje zrobić coś z zamkiem. Wątroba pociągnął dzielnego pana Waldka za poję jego ortalionowej kamizeli i zakomenderował:

- Złaz tu do mnie!

Jak tylko znaleźli się na jednym poziomie, syknął mu prosto w twarz:

- Cokolwiek by się nie zdarzyło, masz teraz iść do domu i zapomnieć o naszej wizycie. Nas tu nie było. Aż nie powiem, że można rozpowiadać. Jak nie, to jutro się widzimy na przesłuchaniu w sprawie szarej koperty z mieszkania pod trójką. Zrozumiano? Spadaj!

Gołębiarz przełknął nerwowo ślinę i po chwili ociągania ruszył przez podwórko do siebie. W tym samym momencie drzwi drgnęły i wychylił się Chwiejczak, tłumacząc, że zamek jest z pokrętłem, tylko coś się przez moment zacięło. Wątroba uśmiechnął się blado i wyjaśnił, że pomocny sąsiad musiał już iść. Przekręcił zabytkowy przełącznik w ścianie, uruchamiając mętną piętnastowatową żarówkę bez oprawki, wiszącą pod sufitem. Wątroba starannie zamknął za sobą drzwi, tłumacząc, że tu czasami taki wielki pies z sąsiedztwa biega i wszędzie włazi. Chwiejczak wyduł wargi, nieco zdziwiony, ale kontynuował poszukiwania.

VIII. 13.01.1945

Georg von Schwansteinkohenbohlenwor siedział przy wielkim biurku w swoim gabinecie i studiował bez końca ten sam zapisany kawałek papieru. Znalazł go wczoraj podczas pakowania wyposażenia pałacyku. Podczas gdy służba pałacowa zajmowała się kołdrami, dywanami i futrami, pod dyktando jego małżonki wypełniając zapamiętałe kilometry skrzyń i opakowań, on z kilkoma pomocnikami z fabryki zajmował się sprawami pieniędzy i dokumentów. Przygotowania do transferu środków i precjozów były w warunkach wojennych mocno utrudnione. System bankowy oraz transport praktycznie nie działały, jednakże nazwisko znanego przemysłowca otwierało niejedną zamkniętą na glucho bramę i kruszyło niejedno zatwardziałe serce, oczywiście pod warunkiem właściwego zasilenia pustawych urzędniczych kieszeni. W starym archiwum, przykryta warstwą kurzu, leżała mała, archaicznie wyglądająca skrzynka. Na skobelku dyndała szcerniała kłódka. Chłopak wynoszący wszystko z kantorka chciał kuferek wrzucić na górę staroci przeznaczonych do spalenia, ale starszy pomocnik zainteresował się nietypowym kształtem. Po starciu szarej warstwy kurzu ich oczom ukazał się monogram HHSvS. Pamięć o dawnym panu wciąż była żywa wśród starszej służby i pracowników. Nie zawsze jasna, ale żywa. Posłano po Georga, a ten wziął znalezisko do siebie. Spodziewając się nieznanych dotychczas pamiątek rodzinnych, z ciekawością zabrał się za forsowanie kłódki. Kilkudziesięcioletni mechanizm nie poddawał się łatwo, ale nie bez kozery koncern Georga nazywano mistrzem stali narzędziowej. Kłódka po kilku ostrzejszych akcjach puściła. W środku było prawie pusto, szarawe

deseczki ścianek obejmowały zaledwie jedną kopertę, elegancko zalakowaną w niespotykany od dawna sposób. Georg bez trudu rozpoznał pełne zawijasów pismo ojca; ostatnio musiał przeczytać sporo dokumentów dotyczących praw własności i struktury firmy wypełnionych pismem szanownego protoplasty. Na kopercie widniało tylko jedno lakoniczne słowo: „Umowa”. Georg złamał pieczęć i wyciągnął dokument.

Berlin, 09.II.1871

Ja, Heinrich Hans Sigfrid von Schwansteinkohenboh-lenwor zobowiązuję się przekazać panu Nowakowi całe swoje ciało i duszę do dyspozycji po mojej śmierci na zawsze. W zamian pan Nowak zobowiązuje się do wypracowania majątku w wysokości trzech miliardów reichstalarów lub odpowiednika tej kwoty w innej walucie w sposób niebudzący podejrzeń o czyny zbrodnicze i karalne. Dodatkowo pan Nowak pozostanie na moje usługi przez całe moje życie, nie pobierając żadnego wynagrodzenia poza powyżej opisanym. Pan Nowak nie rości sobie żadnych praw do małżonki, dzieci ani dzieci tych dzieci i innej dalszej Rodziny, nawet jeżeli korzystają one z wypracowanego przez pana Nowaka majątku. Każda dodatkowa usługa wobec wymienionej powyżej Rodziny pana Heinricha Hansa Sigfrida von Schwansteinkohenboh-lenwor jest jednakże dodatkowo płatna i wyceniona w procentach duszy i ciała przekazanych w momencie zamawiania tranzakcji. Pan Nowak zobowiązuje się do rzetelnej informacji o kosztach swoich usług, jak również do pełnego opisu swojej działalności, tak aby tranzakcja była w pełni jawna. Dodatkowo pan Nowak nie może pozbawić ani dopuścić do straty przez wyżej wymienioną Rodzinę wypracowanego majątku. W przeciwnym razie wszelkie tranzakcje i oferty mają charakter niebyłych i wymagają ponownego zatwierdzenia przez strony.

Dwa zamaszyste podpisy wieńczyły umowę. Georg nie wierzył własnym oczom. Co to znaczy? Czytał to chyba po raz setny i ciągle nie mógł pojąć, o co chodzi. Ale w pewnym momencie zerwał się, wybiegł na pokoje do pracującej służby i wezwał do siebie starego Grohe. Po kilkunastu minutach usłyszał na korytarzu rytmiczny stukot laski o posadzkę. Do gabinetu stary służący został wpuszczony przez uniżonego w swym zachowaniu lokaja. Georg odniósł wrażenie, że lokaj bardziej uszanował skłonem staruszka niż swojego chlebobawcę, ale w końcu przez pół wieku Grohe rządził całą służbą. Dopiero ostatnio przeszedł w stan spoczynku. Liczył sobie ponad dziewięćdziesiąt lat, miał siwe włosy i bardzo pomarszczoną twarz, jednak jak na swój wiek był w dobrej formie. Ruchliwe, bystre oczy zdradzały również jasność umysłu. Georg znał go od dziecka i od dziecka się go bał. Jeżeli by go spytali, kto zastępuje mu ojca podczas podróży, to od razu pomyślałby właśnie o Grohe.

– Pan wzywał, paniczu. – Grohe zawsze zwracał się do niego per „paniczu”, co tylko pogłębiało wrażenie, że jest jakby przedstawicielem ojca na tym terenie, a Georg to wciąż wyrostek, na którego trzeba uważać, bo pan Heinrich kazał.

– Tak, panie Grohe. – Popatrzył badawczo na staruszka, w jego spokojne sino-niebieskie oczy. – Mam pytanie... – Zawiesił na chwilę głos, szukając słów. – Pan był z moim ojcem od początku, od kiedy tu przyjechał i założył kopalnię, prawda?

Grohe skinął twierdząco głową.

– Jak to się odbywało, sam wszystkim kierował czy może z kimś tu przyjechał?

Grohe nic nie odpowiedział. Georg nie wiedział, czy się zastanawia, czy milczy celowo. W końcu doszedł do wniosku, że starzec nie zamierza się odezwać.

- A nazwisko Nowak mówi panu coś, był tutaj z wami?

Grohe wyraźnie się ożywił po usłyszeniu tego pytania.

- Ależ paniczu, ja byłem tu tylko służącym. Gdzie mnie tam wiedzieć, czy Nowak... jakiś tam Nowak był, czy go nie było. Pan Heinrich kazał obsłużyć, to służyłem, kazał kogo poszczuć psami, puszczałem psy. Co mi tam do państwa znajomych.

Georg pokiwał głową ze zrozumieniem; odpowiedź, oczywiście lojalna wobec pierwszego i dla Grohe jedyne prawdziwego chlebodawcy, sugerowała jednak, że Nowak, lub raczej jakiś Nowak, istniał. Georg wyciągnął w stronę starca rękę, w której trzymał zapisaną kartkę. Grohe wziął ją i przeczytał. Wzrok miał również świetny jak na swoje lata. Potem przeczytał jeszcze raz. Następnie oddał umowę Georgowi.

- Państwa sprawy, co mnie do tego.

Georg mierzył go chwilę spojrzeniem, po czym nagle wstał i zakomenderował:

- Idziemy do kaplicy.

Kaplica von Schwansteinkohenbohlenworów, neogotycki budyneczek umiejscowiony w rogu parku, przez lata utrzymywana była w doskonałym stanie, ale obecnie kilka elementów świadczyło o rosnącym zaniedbaniu. Biele i złocenia wewnątrz mocno spłowiwały, wiatr kręcił liśćmi od jesieni leżącymi w wykuszach okien, wejścia nie odśnieżano od początku opadów. Czas wojny nie sprzyjał porządkom i zadumie. Georg, Grohe i jeszcze jeden pomocnik oderwany od pakowania weszli do lodowatego wnętrza, pachnącego wilgocią i zatrzymanym czasem. Nad grobowcem modliły się wypalone znicze i ususzony wieniec. Georg i wystraszony pomocnik zaczęli siłować się z marmurową pokrywą. Żeby ją przesunąć, trzeba było płytę lekko unieść i dopiero wtedy przemieścić. Trzymała się mocno. Chłopak został posłany po lewarki; Grohe stał tymczasem nad grobem i niepewnym wzrokiem patrzył to na panicza, to na marmurową płytę z nazwiskiem i datami. Gdy pomocnik wrócił, obaj z Georgiem wsadzili

drągi w szparę i napaarli; pokrywa drgnęła, a następnie przesunęła się z chrzęstem.

W prostokątnej jamie nie było nic. Kamień zionął wilgocią, po kątach grało echo.

Całą drogę do pałacyku panowało głuche milczenie. Pomocnik zachodził w głowę, po co go odrywali od pilnej roboty. Przecież nie po to, żeby jakiś pusty grobowiec zwiedzać. Po minie Grohe i jego nagle usztywnionych ruchach widać było, jak silne wrażenie to na nim wywarło. Georg myślał o przeszłości, o wszystkich wydarzeniach i opowieściach innych ludzi o jego ojcu. Historia układała się w logiczną całość. Nim weszli do gabinetu, chłopak został odesłany.

- Panie Grohe, zacznie pan mówić? Czy potrzebuje pan jeszcze jakichś wstrząsających dowodów?

Grohe milczał, wzrok wbiwszy w dywan. Po chwili zaczął cicho opowiadać:

- To było w lutym tysiąc osiemset siedemdziesiątego pierwszego roku. Miałem piętnaście lat...

W swej opowieści, suchej i lakonicznej, Grohe rzeczowo przedstawił fakty dotyczące wspólnej działalności pana Heinricha i Nowaka, założenia kopalni przy pomocy jakiejś zorganizowanej, pochodzącej z dalekich krajów grupy. Grohe nie wiedział, co to za ludzie. Nosili na ubraniach taki sam znak, jaki został potem herbem kopalni oraz huty: miecz i kilof w wieńcu. Kopalnia von Schwansteinkohenbohlenwora była najszybciej założonym zakładem tego typu na świecie. Najmowali ludzi jak leci, przyjeżdżały pociągi pełne emigrantów, których brano do roboty wprost z peronu. Roboty było huk. Pracami pod ziemią rządzili ci ciemni. Nowak zarządzał górą. Po kilku latach sprawy szły już ustalonym torem, kopalnia wydobywała węgiel, huta przetapiała rudy na stal. Aż nadszedł pewien zimowy dzień. Pan von Schwansteinkohenbohlenwor wezwał go do siebie i rozkazał zapomnieć o jakichkolwiek obcokrajowcach w ich okolicy. Stwierdził, że zostali opłaceni i wyjechali, a on nie życzy

sobie, żeby o nich plotkować i rozpowiadać byle co. A potem dodał, że również pan Nowak nie ma prawa wstępu do pałacyku, a jakby się awanturował, to mają mu mówić, że pan von Schwansteinkohenbohlenwor działa według umowy.

– I co, przychodził? – Georg przerwał staremu.

Grohe pokiwał głową. Nowak dobijał się do pana Heinricha nie raz, ale służba zawsze odsyłała go z kwitkiem. Donosił potem o tych odwiedzinach panu von Schwansteinkohenbohlenwor, który śmiał się i pokpiwał z frajera z różkami. Tak go nazywał. Natomiast obcokrajowcy rzeczywiście zniknęli. Plotek rzecz jasna nie dało się uniknąć, tym bardziej że dokładnie w tym samym czasie zamknięto dla eksploatacji poziom 650, podobno był tam zawał, który uniemożliwił dostęp do węgla. Ale zabroniono tam wchodzić, nawet szyb przebudowano, żeby wejście zablokować. Więc kojarzono oba te fakty; jedni rozpowiadali o masowym mordzie w podziemiach, inni o wielkiej bitwie w okolicznych lasach, w wyniku której stopy trupów musiały zniknąć bez śladu. Jednak żadna z tych opowieści nie potwierdziła się w faktach i znaleziskach.

– Poziom 650? – zdziwił się Georg. – Nie ma takiego! Nigdy nie było, nawet na planach szczegółowych nie ma!

Grohe wzruszył ramionami i powtórzył, że poziom 650 był na pewno i został zamknięty. Dodał jeszcze, że Nowak potem odpuścił, ale wielokrotnie widywano go w okolicy. Podobno nawet pracował w ich zakładach. Ale Grohe się już tym nie interesował.

Po zakończeniu relacji stary szybko wstał, oznajmiając, że źle się czuje i jeżeli panicz nie ma nic przeciwko, to on sobie pójdzie. Georg skinął tylko głową. Miarowy stuk laski długo odbijał się od ścian korytarzy pałacyku.

IX. Dzień zero – historia podziemna

Siedzieli w zamkniętym budynku, w dawnej komórce na węgiel. Ściany, zapaskudzone wapnem i szarymi smugami zaprawy, oświetlała licha żarówka. Należało przeszukać każdy kąt, co nie było zresztą trudne, bo pomieszczenie okazało się raczej pustawe – w narożniku stary stół warsztatowy i stółek, obok szafa. W środku znajdowały się buty gumowe, kombinezony, kaski i lampy. Obaj policjanci patrzyli z zaciekawieniem. Wreszcie Chwiejczak podsumował:

– To żeśmy coś znaleźli. Chyba czas zabezpieczyć ślady i wezwać technicznych. – Spojrzał na zegarek. – O, już druga! – Przypomnił sobie o dwóch czekających na skończenie protokołów w sprawie włamań. Miały być gotowe właśnie do drugiej.

Wątroba milczał. Gdyby w komórce było jaśniej, Chwiejczak zobaczyłby zaciętą twarz o ponurym wejrzeniu, dobitnie komunikującym, że o wyjściu stąd nie ma mowy. Komisarz chodził dookoła, pukał i stukał we wszystkie ściany, zaglądał w każdą szczelinę. Po chwili odkrył, że dechę w rogu można odsunąć i w ten sposób przedostać się do pomieszczenia obok.

– Z powrotem to się jeszcze wstrzymamy, nie wszystko tu jest jasne – stękał, przeciskając się przez wąskie przejście do drugiej komórki. Chwiejczak westchnął i ruszył śladem przełożonego; przy czym jemu poszło dużo łatwiej.

Tu brakowało górnego oświetlenia, czerń mąciło jedynie pasmo młdego światła, wydobywające się ze szczeliny łączącej oba pomieszczenia. Kręcący się policjanci na zmianę wchodzili i wychodzili z tej smugi, tworząc fantastyczny teatr cieni na wąskim skrawku oświetlonej ściany. Odkryli stare drzwi, jednakże bez

wyczuwalnego zamka; musiały zostać zablokowane w inny sposób. Obaj mężczyźni macali w ciemności ściany i podłogę, tropiąc dalsze znaleziska.

W pewnym momencie Chwiejczak utknął nogą w jakiejś dziurze.

– O cholera, ale wpadłem. Tam chyba jest pusto – sapał, wrywając stopę z pułapki.

Namacali dużą stalową płytę, przy brzegu której znajdowała się dziura w podłodze. Płytę przesunęli do ściany. Pas światła przechodził akurat przez miejsce, gdzie dotychczas leżała. Teraz ujrzeli w całej okazałości ziejącą czernią i chłodem jamę.

– Tam są latarki – zakomenderował Wątroba, wskazując drugą komórkę.

Po chwili świecili w głąb podziemia. Widzieli drabinę i domyślili się, że to dopiero początek podziemnej krainy.

– Idziemy – zarządził Wątroba.

– Ale... – zaczął Chwiejczak, który podpisując umowę na pracę w policji, nie został uprzedzony o możliwości pracy pod ziemią.

– Ale co? Przeszukanie to przeszukanie. Trzeba wszystko sprawdzić. To pewnie jakaś większa piwnica. Zaraz wrócimy. Na obiadek będziecie w domu.

Nutka fałszu dźwięcząca w głosie Wątroby podlana została sztuczną życzliwością w stylu Wujka Dobrarada. Mały test wystarczyłby Chwiejczakowi – gdyby się tylko sprzeciwił albo spróbował wyjść na zewnątrz, zaraz by się przekonał, w jak miłym wylądował towarzystwie. Ale on nie zamierzał protestować. Nawet przyniósł kombinezony i buty.

Wątroba za nic nie chciał się pozbyć płaszczka na czas wędrówki. Chodziło oczywiście o drogocenne przedmioty na piersi. Z nimi czuł się szczęśliwszy i bardziej pewny siebie. Były jak amulety wskazujące mu właściwą drogę i chroniące przed niebezpieczeństwem. W efekcie po kilkuminutowej szamotaninie wcisnął całe swoje odzienie i ogromny brzuch do kombinezonu o rozmiarze co najwyżej L. Każdy

szew naprężył się do granic wytrzymałości, zapinanie każdego zamka to była walka na śmierć i życie, a zaciągnięty z trudem metalowy mechanizm suwaka wydawał się być trzeszczącą nitką opinającą tłusty baleron. Po tych tytanicznych wysiłkach dwójka postaci zesłała po drabinie i zagłębiła się w czerni. Jeszcze w komórce poczuli się jakby w innym świecie – przytłumione odgłosy świata, odległy szelest gołębich skrzydeł, głosy nawołujące kogoś za siódmą górą. Jednak tu nawet marne echa świata nie docierały, zostały daleko, za dziurą. Tu otulił ich niski i wążutki korytarzyk ciągnący się w dół przez gliniaste warstwy. Tu słyhać było jedynie cichutki szmer, coś jakby kapanie z omszałego kamienia. A może to tylko wyobraźnia zaczynała budować nowy, inny świat, kiedy stopniowo znikwały znajome codzienne bodźce. Szli niżej i niżej, zgięci w pół. Chwiejczak przodem, Wątroba za nim. Światło latarki chwiała się i drgało; komisarz widział przed sobą jaśniejącą postać pochylonego kompana, której świetlne harce i gliniane refleksy odbierały jakiegokolwiek podobieństwo do istoty człekokształtnej. W głowie tworzyły się fantastyczne wizje stwora żyjącego w tej pokiereszowanej cieniami i refleksami półciemności, który ciągnie ludzi na dół pod byle pretekstem, żeby później rozkoszować się ich strachem i nieszczęściem.

– Mógłby was tu ktoś wziąć od dupała i ani byście pisnęli! – Komisarz dodawał sobie animuszu chamskimi tekstami.

Stwór nie zareagował. Wątroba w dalszym ciągu widział to kroczące coś i wirujące wokół niego światło. Strach z początku malutki, niewinnie kielkujący na dnie duszy, teraz zaczął rosnąć, rozkwitać coraz bujniej. Idąc tak w dół i w dół, czuł coraz mocniej, że jego skarb, jego życie zakłute w małym klejnocie na piersi znalazło się w niebezpieczeństwie. Wokół, we wszystkich porach ziemi, w próchniejących obelkowaniach chodnika, w wysuszonych, wyszczerzonych twarzach umarłaków pochowanych żywcem przy budowie kopalni, budziły się alarmowane jego obecnością demony. Wątroba widział to ruchome, migające światło przed stworem, w

świetlnych refleksach dostrzegał również wszystko to, co było dalej. To, co chciało się teraz wyrwać ze swojego wiecznego więzienia, uwolnić i polecieć w daleki świat. Czuł, że pełzające paskudztwo osacza go, że zaraz wejdzie na niego i będzie żarło jego ciało i duszę.

- Widzę, że już tu trafiłeś. - Głos nie należał do Chwiejczaka. Wątroba rozejrzał się, na ile pozwalała ciasnota. Miał wrażenie, że zdanie dobiegło z góry, od strony dziury w podłodze.

- Nie wiem, gdzie trafiłem - burknął w odpowiedzi. Głos zachichotał.

- No, to jak się tu znalazłeś? Tu się nie wchodzi przypadkowo. Czemu łazisz wszędzie z tą błyskotką?

- Moja sprawa - mruknął.

- Oczywiście. - Znowu chichot. - Nie martw się, możesz na mnie liczyć. Tu jestem prawie u siebie. Po co ci ten cherlak z przodu?

Wątroba sam nie wiedział, po co mu Chwiejczak, więc nic nie odpowiedział.

- Ale wiesz, że będziesz się musiał podzielić? Każda tajemnica ma swoją cenę. Pomyśl, bo za chwilę będziesz się musiał zdecydować.

Korytarzyk nie był zbyt długi, ale wędrówka się przeciągała ze względu na zły stan techniczny tunelu. Pogięte i zmurszałe obelkowanie dowodziło, że konstrukcja miała przynajmniej sto lat. W kilku miejscach drewniane ściany wyglądały, jakby zostały zgniecione, tak że musieli się przeciskać bokiem. Dla komisarza były to chwile klaustrofobicznych napadów - gdy nie wiedząc, czy jest szerszy w przekroju bocznym czy wzdłużnym, przeciskał cielsko przez wąziutkie klepsydry zwężeń, bojąc się, że zaraz ugrzęźnie w pułapce na wieki. W takich momentach wyobraźnia podsuwała mu straszne wizje, w których uwięziony pomiędzy ścianami człowiek zaczyna być zjadany przez stwory wypelzające ze szpar pomiędzy belkami.

W korytarzu było bardzo duszno, pot zaczął perlić się na nalanej twarzy, opięty kombinezon stał się istną torturą dla zgiętego ciała. Prostokątny kształt płytki wbijał się to w brzuch, to w pierś przy

każdym ruchu. Nie dawał o sobie zapomnieć. Po kolejnych kilku metrach komisarz miał już dość, był gotów zrezygnować i rozpocząć powrotną wędrówkę w górę. Jednakże migający refleksami i półcieniami stwór przed nim nieubłagane parł w dół; przeznaczenie chwyciło go za nogawkę i nie puszczało. Wreszcie dotarli do jakichś wrót. Chwiejczak powiedział tylko: „drzwi”, pchnął je i poszedł dalej. Wątroba oświetlił je swoją latarką – były to żeliwne, bardzo solidne wrota, zamykane za pomocą korby. Posiadały również trzy dziurki na klucze, ale teraz były półotwarte. Czekały półuchylone, jakby ktoś tam wszedł, ale już nie wyszedł. W głowie komisarza zakołatała się myśl, że to właśnie takie miejsce, takie okoliczności, że tu się wchodzi, ale nie wychodzi. Na drzwiach widniał odlany imponujących rozmiarów herb kopalni: skrzyżowane młot i miecz w otoczeniu liści. Czerni wrót w połączeniu z ich wielkością dodawała temu symbolowi budzącego respekt majestatu. Człowiek czuł, że chroni on jakieś królestwo, obszar, do którego niepowołanym wstęp był surowo wzbroniony. Na drzwiach przykręcono jeszcze blaszaną tabliczkę. Na pierwszy rzut oka wydawała się tak samo czarna jak całe wrota, ale po bliższych oględzinach Wątroba odkrył jakiś napis. Pod światło udało mu się odcyfrować wypukłe znaki: A8.

– A osiem – wyszeptał. – Wejście A osiem. A więc to prawda! Wejście do kopalni.

Przed oczyma stanęły mu przewertowane już kilkanaście razy notatki znalezione u Mariaca. W głowie ponownie zadźwięczały słowa, które towarzyszyły mu w wędrówce w dół: „Musisz się zdecydować. Chcesz się dzielić? Musisz się zdecydować”. Za drzwiami nie było już tak ciasno. Mogli się wreszcie wyprostować, większa przestronność pomieszczenia pozwalała na swobodniejsze ruchy. Również powietrze było tu dużo lepsze. Kroczący stwór zmienił się znowu w Chwiejczaka, który z zaciekawieniem rozglądał się dookoła.

– Podziemna komnata, starożytne drzwi. Jak wrócimy na górę, to będziemy mieli co opowiadać na komisariacie. Czegoś takiego się nie

spodziewałem. Ciekawe dokąd prowadzi to przejście? – Ruszył w stronę zwięzającego się końca podziemnej komory, u wylotu którego czernił się dalszy ciąg korytarza.

Wątroba stał nieruchomo, bijąc się z myślami. Przeszedł już granicę, przed którą można było działać miękko. Teraz już wiedział, co tu znajdzie, co tu na niego czekało. Skarby. Tak sądził, choć nigdzie nie natknął się na jasną, pisemną informację. Ale zbyt dużo ludzi się wokół tego kręciło, żeby mogło być inaczej. Teraz albo nigdy. Inaczej może na skarbie postawić krzyżyk, a tajemne przejście stanie się atrakcją turystyczną regionu. Z nim w roli przewodnika-gawędziarza.

– Komisarzu, komisarzu! To się ciągnie dalej. Zobaczmy, co tam jest. Może jakieś skarby! Zapomniane przez wszystkich skrzynie pełne złota. To by było! Łał! – gorączkował się po amerykańsku Chwiejczak.

Wątroba był napięty jak struna. Każde kolejne słowo Chwiejczaka drażniło go mocniej. Przeszkadzał mu tu coraz bardziej. Poniewczasie pożałował, że go ze sobą wziął. Nie umiał wyjaśnić, dlaczego nie odesłał go pod jakimś pretekstem, ale teraz... właściwie nie miał już wyboru. Chwiejczak cały czas gadał, wyraźnie ciągnęła go ta przygoda. Rwał się do dalszej wędrówki.

Wątroba rozejrzał się i uniósł kamień wielkości połowy cegłówki. Słuchał Chwiejczaka i ważył coś w myślach, słuchał i ważył. Podrzucił kamień w rękę i rozważał. „Musisz się zdecydować, musisz się zdecydować”. Zamarł...

...a potem zaczął się zbliżać powoli do swojego kompana. Posterunkowy właśnie oświetlał odległy kąt pomieszczenia, szukając przejścia pomiędzy zwałami skalnymi. Nie spodziewał się, że ktoś go tu zaatakuje, a na pewno nie podejrzewał podstępnego ataku ze strony własnego przełożonego. Uderzenie kamieniem w potylicę spowodowało, że Chwiejczak zastygł na chwilę w bezruchu, następnie okręcił się, próbując zidentyfikować napastnika. W tym momencie otrzymał drugi cios. Zwalił się na ziemię. Światło upuszczonej latarki zatańczyło chaotycznie. Następnie znieruchomiło. Zapadła cisza.

Przecięta ukośnym, nieruchomym światłem latarki, otulająca leżące bezwładnie ciało. Ta cisza zaskoczyła Wątrobę. Nie wiedział, jak to będzie wyglądać, nie znał wcześniej tego świdrującego mózgu uczucia, paraliżującej świadomości, że jest sprawcą śmierci. Pot wystąpił mu na czoło. Dyszał ciężko, stojąc ciągle z narzędziem zbrodni w ręku. Po chwili odrzucił je. Klekot toczącego się kamienia przywrócił zamarły głos temu zakątkowi. Powoli docierało do niego, że oto się na coś zdecydował. Nie wiedział jeszcze na co, ale przeczuwał już, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić. Oslupiały patrzył na swojego kolegę. Byłego kolegę.

- No! Umarlaka za burtę i płyniemy dalej! - do otępiełego mózgu przedarł się przyjacielski ton głosu Nowaka. - Teraz pójdzie jak z płatka!

- Mówisz? - Wątroba ocknął się. - Nie jestem pewien, czy dobrze robię. Masz takie przeczucie? - Szukał oparcia w nowej sytuacji.

- Ba! - prychnął głos. - Ja to wiem! Dawaj, dawaj! Nie ma czasu! Wrzuć go za ten kamień.

Wątroba uniósł ciało, dość ciężkie jak na wątłą posturę Chwiejczaka. Wepchnął go w zaułek za dużym kamieniem. I poprawił ułożenie ciała na bardziej naturalne, wygodne... Gdy tylko uświadomił sobie bezsens tych działań, odskoczył jak oparzony. Po co to robił? Przecież Chwiejczakowi było już wszystko jedno. Szczupła postać w kombinezonie i gumowcach leżała nieruchomo. Wątroba stanął nad nią w pozie „rodzina przy grobie wujka” i zadumał się. Prawa ręka, wręcz odruchowo, wiedziona katolicką tradycją i wpajany od dziecka szacunkiem dla zmarłych, zaczęła kreślić znak krzyża.

- W imię Ojca...

- Pośpiesz się, na wypominki dasz w listopadzie. A w ogóle to szczyt hipokryzji modlić się za własną ofiarę. Ty się już zdecydowałeś, więc przestań wymiękać!

Wątroba odszedł, oglądając się za siebie. Zza kamienia wystawały czubki Chwiejczakowych butów. W końcu machnął ręką, podniósł

upuszczoną przez posterunkowego latarkę i ruszył w drogę. Za zwałami skalnymi korytarz ciągnął się dalej. Był dość obszerny i dało się iść w wyprostowanej pozycji, powietrze też zdawało się świeższe, gdzieś musiał przetrwać czynny szyb wentylacyjny. Niemniej Wątroba wciąż napotykał na jakieś przeszkody; musiał przepychać się przez załamania tunelu i omijać kamienne zatory. W pewnym momencie wyczuł, że ściany wokół są inne w dotyku. Poświecił na nie; w gliniasto-skalnej oprawie mieniły się czarne pasma. Węgiel. Po kilkunastu metrach dotarł do rozszerzenia chodnika, które było zawałone rumowiskiem. W szparze pod sufitem coś zabłyszczało. Narzędzia.

- No, Wątroba. Do roboty! Brakuje kilku uderzeń kilofa. Mariac prawie zakończył sprawę. Trzeba się śpieszyć, bo Mustafy są już blisko. Właściwie, to oni już tu byli, ale niczego nie zauważyli. Drugi raz mogą być bardziej spostrzegawczy.

- Ale... - Wątroba nie rozumiał.

- Tam za tymi kamieniami jest to, czego szukasz. Skarb von Schwansteinkohenbohlenwora.

- Z nim samym? Słyszałem, że dał się zasypać razem ze swoim złotem.

- Do roboty, do roboty! Pogawędzisz na emeryturze. - Nowak trochę zbyt pośpiesznie zbył jego pytanie.

Wątroba zaczął brnąć po rumowisku w górę. Wkrótce dotarł na miejsce. Zgasił jedną z latarek, oszczędzał światło. Dotknął przelotnie swojego skarbu schowanego na piersi. Pomyślał, że jeżeli Nowak nie skłamał, to jednak się opłacało. Zaczął kuć ciężkim kilofem. Stuk pracy niósł się po pajęczynie korytarzy, zwielokrotniony echem. Robota była ciężka. Komisarz, przyzwyczajony do siedzenia za biurkiem i gadania, szybko zdyszał się i zlał potem. Czuł, jak pył skalno-węglowy włazi mu wszędzie, do oczu, ust i uszu, jak osadza się na ramionach. Kuł zapamiętane. Tego mu było trzeba, ciężkiej harówki, żeby zapamiętać o nieruchomym ciele za kamieniem, o tym

niby-przyjacielu w głowie, o całym swoim plugawym życiu. Kamień ustępował opornie, Wątrobie wydawało się, że wieki mijały, nim odpadał następny maleńki fragment. Kuł i walił, skupiając się na kolejnych małych kroczkach do wielkiego celu. Jednakże po kilkudziesięciu minutach znalazł się na skraju wyczerpania. Ciężkie narzędzie stało się obciążeniem ponad miarę, postęp dotychczas mizerny zrobił się wręcz niezauważalny. Dwie czy trzy dziury, wykute kilofem, które powstały po jego uderzeniach, były jedynie malutkimi wnękami wykutymi w masie rumowiska. Nadzieja na sukces osłabła. Wątroba odrzucił kilof i opadł na skałę. Dyszał ciężko, ocierał czoło, rozmazując brejowatą maź pyłu węglowego zmieszanego z potem. Poświecił na kamienie obok, zobaczył, że oprócz kilofa znajdują się tam również młot i butelka z wodą. Złapał naczynie i pił łapczywie. Niestety resztką po Mariacu szybko się skończyła. Normalnie nigdy by się nie napił po nieboszczyku, ale teraz było mu to obojętne. Zobojętniał również na wiele innych spraw. Miał wrażenie, że uderzając kamieniem w głowę Chwiejczaka, jednocześnie amputował część siebie. Część, która mówiła mu, nieraz zbyt nachalnie, kiedy był podły, i tłumaczyła, często w prostych żołnierskich słowach, co powinien zrobić. Teraz milczało wszystko. Był sam. Zupełnie sam. Nawet ze sobą. Podniósł się ze stękiem i kontynuował pracę. Decyzja już zapadła i byłby idiotą, gdyby teraz zrezygnował. A może nie? Może to jedyna droga, żeby stąd wyjść cało, żeby być wolnym i nie nieszczęśliwym. Wyjść, wyciągnąć ciało biednego Chwiejczaka. Zalać się łzami, przeprosić, spojrzeć w oczy jego rodzinie, ale żyć, zamiast siedzieć w czarnej dziurze, którą sam sobie stworzył. Wyprostował się, przestał kuć. Tak, to jest jego szansa. Zgrzeszył, trudno, będzie kara, ale wyrwie się z tej męki bycia tylko ze sobą.

- Dzień dobry, witamy w naszym zakładzie karnym byłego pana policjanta. Dziś polecamy szczególnie celę sześciuosobową z Krzywym Gienkiem w roli głównej. Dla koneserów zaś przygotowaliśmy celę dwójkę z Mocnym Bolem i jego programem

sado-maso. Życzymy mocnych wrażeń i owocnej współpracy – zabuczał mu w głowie głos udający megafon w supermarkecie.

No tak, kara to więzienie, a więzienie dla byłego gliny to... Nasłuchał się sporo na ten temat. Wtedy uważał, że należy się odszczepieńcom taki los. Schylił się po kilof, wzdychając. Lepiej zostać przy swoim. Po korytarzach znowu poniosło się miarowe stukanie stali o skałę, znowu z trudem odłupane kawałeczki sypały się na gruzowisko. Wreszcie ukazała się przed Wątrobą większa dziura w ścianie. Kamienie, które wpadły do środka, potoczyły się z wyraźnym echem. Gdzieś się dokuł. Pochylił się i zakukał. Jeszcze jako chłopak nauczył się naśladować głosy różnych ptaków, a kukulka była jego popisowym numerem. Czerń przed nim odpowiedziała z różnych kątów, a cichnące z wolna echo kukania potwierdzało istnienie dużej przestrzeni za rumowiskiem. Wątroba z entuzjazmem chwycił kilof i ponowił pracę. Zaraz przekuje się do skarbcza.

Nagle usłyszał głośny okrzyk. W ferworze pracy nie zauważył, że pod rumowisko ktoś podszedł. A blask jego latarki, choć już słabszy niż na początku wędrówki, pozostał na tyle silny, że przytłumił zbliżające się refleksy obcej lampy. Obrócił się zaskoczony, mrużąc oczy oślepione snopem światła reflektora.

- Dzień dobry. - Jakkolwiek idiotycznie to zabrzmiało, nie miał lepszej koncepcji nawiązania kontaktu.

Postacie pod rumowiskiem krzyknęły coś chrapliwie, Wątroba nic nie rozumiał. Po intonacji rozpoznał pytanie. Powtórzone, ze słyszalnie rosnącym zniecierpliwieniem, również nie doczekało się lepszej reakcji niż to pierwsze „dzień dobry”. Postacie stały chwilę na dole, wymieniając krótkie uwagi. Następnie wykonały serię gwałtownych ruchów i Wątroba po sekundzie usłyszał strzał. Kula uderzyła w skałę jakiś metr od niego. Padł na kamienie jak długi. Napastnicy zaczęli strzelać ogniem ciągłym. Znajdowali się jakieś dwadzieścia metrów od niego; gdyby nie ciemności i mylące oko refleksy latarek pewnie by już leżał i parował. Strzały umilkły.

Wątroba, usłyszawszy chrzęst kroków na rumowisku, postanowił przeczłgać się za jakąś większą osłonę. Metr dalej sterczał występ skalny nadający się na kryjówkę. Jeżeli tam dotrze, będą musieli podejść bardzo blisko, a wtedy zyska szansę na starcie bezpośrednie. Na razie był wystawiony jak kaczka na polowaniu. Zrobił krok. Znowu strzał. Blisko.

- Dziękuję, kurwa, za ochronę - zamruczał bezgłośnie.

- Ocalejesz - padła lakoniczna odpowiedź.

- Mhm... - Nie dowierzał już nikomu.

Znowu krok. Teraz trzeba będzie się podnieść, żeby wejść za tę skałę. Uniósł się trochę, jeszcze trochę. Seria donośnych strzałów przejechała centralnie po nim. Wątroba padł za upragnioną skałę. Zaczął się macać, szukając ran. Czuł przecież, że kule śmignęły prosto w niego. Ale nie, żadnej krwi, żadnego bólu. Dotknął prostokątnego kształtu; okrywający go kombinezon był postrzępiony, a sztabka wydawała się jakaś zdeformowana. I naraz uświadomił sobie, że trafili go w jedyny osłonięty metalem punkt. Usłyszał hałas toczących się kamieni. Ktoś się zbliżał.

- Ratuj, kurwa, ratuj - błagał w myślach.

Seria z karabinu tuż nad nim. Musiał wystawać kawałkiem głowy zza skały.

- Ja pierdołę, co teraz? Obiecywałeś złote góry! Ratuj choć dupę! - myśli gnały przez mózgownicę jak spłoszone konie.

- Jak cię uratuję, dasz wszystko, o co poproszę? - Te słowa zagłuszyła kanonada, która wyrywała ze skały rząd kamyków.

- Tak, tak, kurwa, nie daj mi zrobić krzywdy! - Kule świstały już wszędzie. Wątroba czuł, że tylko cudem nie drasnął go dotychczas żaden pocisk.

- Oddasz ciało, duszę?! Oddasz siebie?! - Głos syczał mu do ucha, podczas gdy Arabowie strzelali. Wątroba skulił się za kamieniem, starał się schować, zniknąć, wtopić w węgiel i kamień, ale nie miał szans.

- Tak, tak, oddam! Ratuj!

Strzały cięży czerní starej sztolni jeszcze przez kilka sekund. Ale chyba tylko dla pewności, że cel został osiągnięty. Ogromne ciało Wątroby leżało za występem skalnym. Strużka krwi sączyła się kropla po kropli. Oddech zamarł w ostatnim westchnięciu przed ciszą tamtego świata. Wycieczka dobiegła końca.

X. 13.02.1945

Cały majątek został skatalogowany i przygotowany do ewakuacji. Nieruchomości i zakładu, rzecz jasna, nie dało się przenieść, ale Georg liczył, że dogada się z tym, kto przejmie te ziemie, w celu kontynuowania działalności. Węgiel i stal były potrzebne każdemu, a żołnierze przecież nie uruchomią produkcji. Plan przewidywał, że żona, dzieci i bagaż podręczny pojedą dziś pociągiem do Berlina. Von Schwansteinkohen-bohlenwor wynajął transport wraz z drugim potentatem przemysłowym, właścicielem miejscowej przędzalni. Umówili się, że Georg dojedzie następnym transportem razem z majątkiem. Jutro, najdalej pojutrze. Co prawda wszędzie wisiały plakaty z żołnierzem na tle stacji kolejowej, wraz z maksymą: „Alle Räder rollen für den Sieg” (Wszystkie koła toczą się dla zwycięstwa) i ruch cywilny zamarł zupełnie; jedynie transporty wojskowe były obecnie dozwolone. Ale uznanie dwóch przemysłowców wraz z rodzinami za żołnierzy jadących na front wymagało jedynie kilku dokumentów z budzącymi szacunek pieczęciami. No i oczywiście kilku sztab złota, bo marki, podobnie jak wszystkie inne papiery gwarantowane przez państwo, przestały budzić pożądanie. Po szybkim pożegnaniu na ośnieżonym peronie lokomotywa zagwizdała i krótki, dwuwagonowy pociąg, hucząc, zaczął toczyć się na zachód. Georg stał przez kilka minut na opustoszałej stacji, towarzysząc wzrokiem oddalającym się kłębowi pary. Potem otoczyła go zimowa cisza, a oszronione semafony i zwrotnice marzły w nieruchomości lutowego krajobrazu. Ceglany budynek stacji również wyglądał jak wymarły. Georg wiedział jednakże, gdzie szukać zawiadowcy. Wspiął się po schodach do pokoju, z którego roztaczał się widok na pajęczynę

bocznic po drugiej stronie stacji. Zawiadowca i naczelnik w jednej osobie siedział przy piecyku-kozie, w którym buzował ogień, i tępo patrzył przez okno w szarą biel krajobrazu.

- Pojechali, panie Wudtke. Mam prośbę. Pan jako jedyny masz tu łączność. Proszę o informację, kiedy dojadą na miejsce.

- Teraz telefonów wolno używać tylko w sprawach obrony kolei. I żartów z tym nie ma. Te psy z SS wszędzie wietrzą zdradę i sabotaż. Ja chcę przeżyć tych kilka tygodni, a potem... A potem się zobaczy.

Georg zamyślił się na moment. Po czym wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza prostokątny przedmiot.

- Panie Wudtke, sam pan mówisz, kilka tygodni. Ja panu proponuję taki układ: pan dostajesz dziesięć takich sztab złota – popukał w metal – i jutro jedziesz pan z rodziną moim transportem do Berlina, ale informację chcę mieć na bieżąco.

Kolejarz poruszył się niespokojnie. Westchnął ciężko.

- Panie, za takie coś, to pod mur i czapa. Ja na wierność Führerowi i Rzeszy przysięgałem...

- A teraz Führer i Rzesza zostawili pana na tym zadupiu z zaszczytną misją typu „daj sobie odstrzelić jaja”. Tylko po to, żeby opóźnić marsz Rosjan o kilka cennych sekund. Panie Wudtke, idź pan po rozum do głowy! Piętnaście sztabek! Zasymulujemy strzelaninę i pojedziesz pan ze mną. Za dwa dni Rusczy tu będą, ale do tego czasu chcę wiedzieć, co z moimi.

Urzędnik milczał, jednak było to już inne milczenie, dużo bardziej przychylnie złotu i ucieczce, a dużo mniej idei śmierci lub niewoli w imię ojczyzny i wodza. Von Schwansteinkohenbohlenwor położył zawiniątko na stole.

- Reszta jutro – rzucił i wyszedł w zimowy świat.

Przygotowania wkrótce się zaczęły. Pod stację jeździły ciężarówki, robotnicy przenosili dywany, meble, obrazy, wszystko przygotowane do podróży i nowej lokalizacji. Gdzie? Tego nikt nie wiedział. Łącznie z Georgiem. Prace koordynowało dwóch inżynierów z jego fabryki,

Schlagmann i Closing. Von Schwansteinkohenbohlenwor nie miał zaufania do służby pałacowej. Uważał, że ludzie pracujący w przemyśle są jak części maszyny: solidni, przewidywalni i możliwi do opisani w kilku prostych słowach. A służący, pomocnicy z pałacu kojarzyli mu się z pianą – niby ją widać, ale nie wiadomo, czy jeszcze jest, czy już spłynęła. Można pisać piękne wiersze o pianie, ale polegać na niej się nie da. Schlagmann i Closing pokrzykiwali na ludzi, sprawdzali każdy szczegół, więc Georg mógł zadbać o papiery i złoto. Robota wrzała, na bocznicę pojawiły się wynajęte przez niego wagony i buchająca parą lokomotywa – wszystko jako transport ściśle wojskowy. Po kilku godzinach pracy jasnym stało się, że jutrzejszy termin jest możliwy do dotrzymania. Georg postanowił się przespać.

Wrócił do opustoszałego pałacu. Łóżko ustawiono w jego gabinecie. Centralne ogrzewanie nie działało, dlatego rozpalono w dawno nieużywanym piecu. Georg siedział przed otwartym na oścież paleniskiem i patrzył w ogień. Węgla to płonęły, to przygasaly, rozżarzone okruchy unosiły się wokół rusztu. Nie mógł oderwać wzroku od tego ognistego tańca. W głowie plątały mu się ścinki zdarzeń, emocji i rozmów, przygotowania z ostatnich tygodni, upadek Niemiec, żal, uczucie niepewności. To wszystko było tłem dla jego tajemnicy, o ojcu, o ich losie, sukcesie, który został osiągnięty przy pomocy sił nieczystych. Sen nie nadchodził, w oddali słychać było wystrzały, walki podobno szybko zbliżały się do miasta. Noc uparcie stała na straży, do świtu zostało jeszcze kilka godzin.

W pewnym momencie usłyszał jakiś rwetes na dole, podniesiony głos pokojówki i drugi, męski, również wzburzony. Po chwili kroki zadudniły w tej części korytarza, ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, gwałtownie je otworzył. Wudtke.

– Panie von Schwansteinkohenbohlenwor, nieszczęście! Nalot, bombardowanie! Pociąg z pana rodziną nie dojechał do Liegnitz.

Georg pośpiesznie narzucił płaszcz i wybiegł w czerni nocy. Czarny Mercedes wściekle zabuksował kołami na zaśnieżonym pałacowym

dziedzińcu. Mknęli przez śnieżną pustkę przedmieścia jak szaleni. Na stację. Pędem na górę, do pokoju zawiadowcy. Ten pokręcił korbką telefonu, rzucił kilka krótkich pytań, głos w słuchawce opowiadał coś długo. Po chwili oblicze kolejarza pojaśniało. Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się do napiętego w oczekiwaniu Georga.

– Mieli szczęście. Mieli niewyobrażalne szczęście. Pociąg został rzeczywiście zbombardowany, ale przeżyli. Tylko pana rodzina, niestety ci z drugiego... Ale pana rodzina jedzie dalej. Ten maszynista okazał się niezłym gościem, wyciągnął ich z przewróconego płonącego wagonu, pobiegł do najbliższej stacyjki. A tam, wyobraź pan sobie, lokomotywa czekała na jakiś transport. I nasz maszynista pokazał im te papiery, że są transportem wojskowym i... – zawiesił głos jak magik przed wyciągnięciem królika z kapelusza – i zarekwirował ją na cele wojenne. Niesamowity facet.

Georg oddychał głęboko. Przeżyty stres trzymał go jeszcze za gardło. Poczul, że ręce i nogi drżą mu nienaturalnie. Słowa Wudtke częściowo docierały do niego, a częściowo ginęły w mroku nocy. Rozumiał tylko ich ogólny sens. Żyją. Strach o najbliższych, dotychczas tłumiony, blokowany pracą i natłokiem spraw, teraz eksplodował z pełną mocą.

– ...złamanego szeląga bym za niego nie dał, jakiś Polak czy Czech z pochodzenia. Nowak, głupie nazwisko. A tu proszę, bohater wręcz. Odpal mu pan potem taką sztabkę, albo dwie, zasłużył chłop...

Georg zmierzył zawiadowcę nieprzytomnym wzrokiem.

– Jak pan mówisz? Nowak? Jesteś pan pewien?

Wudtke potwierdził entuzjastycznie.

– A, oczywiście! Mam tu jego podpis pod odbiorem pociągu. Taka nasza kolejowa procedura – entuzjazmował się Wudtke, grzebiąc w papierach. – O! Nowak! Stoi jak byk!

Georg popatrzył na podany dokument; podpis obok wystukanego na maszynie nazwiska był znajomy. Georg złożył dokument i wsadził do kieszeni płaszcza.

– Zabieram to.

– Ale to oficjalny dokument, ja nie mogę...

– Panie Wudtke, jutro będziesz mógł pan każdym z pańskich oficjalnych dokumentów dupę sobie podetrzeć. Ten jest mi potrzebny już dziś. A pan jesteś mój człowiek. Zrozumiano?

Wudtke zrozumiał. Po chwili czarny Mercedes pognał w kierunku śpiącego w szarym lutowym świetle pałacyku. Georg wpadł jak burza do swojego gabinetu, ogień w piecu już dogasał, ale jemu i tak było gorąco. Szybкими, nerwowymi ruchami wyciągnął umowę ojca z Nowakiem. Porównał. Oba podpisy wykonała ta sama ręka. Nie ulegało wątpliwości, że Nowak wszedł właśnie do jego życia i chciał, żeby Georg o tym wiedział. Zdawał sobie sprawę, że to dopiero jego pierwszy ruch i że tamten przewidział już kilka następnych. Niespokojnie chodził po gabinecie. Ogarniała go panika; on tu, rodzina gdzieś tam, daleko, na łasce... No, właśnie, kogo? Georg znał odpowiedź, ale nie chciał jej wymówić na głos. Nie chciał nazwać intruza po imieniu. Takie sprawy zawsze były mu obce. Dusza, raj, piekło, śmiertelność, nieśmiertelność, grzech. To wszystko bajki czarnego pastora z ambony, on zaś miał konkretną robotę, kopalnię, hutę. Ale teraz, po tej historii z umową ojca, po nocnym wypadku, wiedział już, że to najważniejsza sprawa w jego, i nie tylko jego, życiu. Stał w oknie, wpatrzony w szary poranek. W duchu układał plan, jak ująć z życiem. Ująć z życiem, choćby miał zginać.

Na wagony ładowano już ostatki dóbr z pałacu i trochę maszyn z zakładów; reszta została na łasce najeźdźców. Skrzynie ze złotem i dokumentami zostaną przewiezione ostatnim samochodem, tak aby nikogo nie kusily długim postojem w miejscu strzeżonym. Georg przed udaniem się na stację odwiedził swój parafialny kościół, zupełnie wyludniony, wypełniony jedynie mrozem i echem kroków, a następnie zahaczył o przykopalniany magazyn. Chociaż był on pilnowany przez oddelegowany do ochrony kopalni oddział SS, udało mu się za pomocą znajomego magazyniera zaopatrzyć w potrzebne

materiały. Pod stację zajechał z piskiem opon. Zaparkował, trzasnął drzwiczkami i pośpieszył do Wudtke. Ten był już na posterunku; w pokoju czekała również jego żona z dzieckiem. Georg wywołał go na korytarz. Wyglądał jak w gorączce, nerwowo się rozglądał, mówił pośpiesznie i cicho, jakby bojąc się, że ktoś mu przerwie albo go podsłucha.

– Panie Wudtke, dobrze panu z oczu patrzy. Mam prośbę... W zaufaniu... Weź pan nie piętnaście, ale trzydzieści... a choćby i pięćdziesiąt tych sztabek, więcej może być dla pana szkodliwe. W zamian dopilnuj pan, żeby transport dojechał jak najdalej. Nie do Berlina, jak planowaliśmy, ale jak najdalej w innym kierunku. Choćby do Monachium. Tam może dotrą Amerykanie i nie będziesz się pan musiał cyrylicy uczyć. Kiedy już tam dojedziecie, to przekaż pan wszystko jakimś biednym, albo zrób pan, co zechcesz. Rozumie pan? Mogę na pana liczyć?

Wudtke patrzył osłupiały na fabrykanta. W końcu wydukał:

– Do...dobrze. A pan? Nie jedzie?

– Ja zostaję, muszę tu coś załatwić. Złoto jest tam. – Wskazał przez okno na budę ciężarówki. – Aha, robotnikom też pan coś daj. Niech im będzie na zdrowie.

Zszedł na dół, odprowadzany zdziwionym spojrzeniem. Szukał na stacji swoich zaufanych inżynierów; na bocznicę uwijali się ludzie komenderowani przez Schlagmanna i Closinga. Odciągnął ich na bok. Cekało go trudne zadanie przekonania tej dwójki do swojego pomysłu. Normalnie nie miały z tym problemu, ale teraz, kiedy kanonady z frontu bez trudu przedzierały się przez odgłosy codziennego życia, każdy myślał wyłącznie o ucieczce. Chwilę rozmawiali, jego nerwowe, urywane wyjaśnienia, nuta strachu w głosie, to wszystko dziwiło jego współpracowników. Znali go z wyniosłej, dyrektorskiej postawy i nie wiedzieli, jak zareagować.

– I co, panowie, pomożecie? Uszczkniecie niezły kąsek dla siebie. – Wskazał na stojącą przed peronem ciężarówkę.

- A pociąg, a ucieczka? Rosjanie są o krok. - Schlagmann nie był przekonany.

- Dostaniecie ciężarówkę i jak dobrze pójdzie, to dogonicie ten transport za kilkadziesiąt kilometrów.

- A nasi? Tu się tyłu teraz kręci maruderów. Posterunki, kontrole. Wpadniemy zaraz za rogatkami miasta.

Georg pokazał im dokumenty, z których jasno wynikało, że okaziciel ma prawo przejeżdżać przez wszystkie strefy bezpieczeństwa bez kontroli. Miejsce na okaziciela było puste. Podpisano Obergruppenführer Frost.

- Co to za Frost? - zainteresował się Closing.

- To szycha z okręgowego SS. Pewnie już siedzi pod Berlinem i zagrzewa dzieciaki i staruszków do walki za ojczyznę.

Closing zgodził się pomóc, Schlagmann zagryzł nerwowo wargi, rozpatrując coś w milczeniu. Po chwili również mruknął przyzwalająco. Georg kiwnął ręką na idącego peronem Wudtke.

- Chodź pan po swoją dolę. - Georg wyciągnął ciężki pakunek z Mercedesa, wskoczył na pakę i wrzucił tobół pod szoferkę. Zepchnął natomiast na skraj skrzynię. Wudtke przejął wraz z pomocnikami zapłatę. Georg popatrzył na niego przeciągle.

- Ale obiecujesz pan, jak najdalej od Berlina?

Kolejarz kiwnął głową. Jak obiecał, tak się stanie. To był już teraz człowiek wierny von Schwansteinkohenbohlenworom.

- Aha, i jeżeli by pan kiedyś przypadkiem spotkał moją żonę. Powiedz pan, że... że... - Zastanawiał się chwilę, jak wyjaśnić swoje postępowanie. - Że ją bardzo kocham - dokończył pośpiesznie i, nie czekając na reakcję Wudtke, zeskoczył z wozu, wsiadł do szoferki i odpalił silnik. Kiwnął na Schlagmanna i Closinga ponaglającym ruchem. W tym momencie usłyszeli huk, który zagłuszył na moment odległe odgłosy walki. Georg domyślił się, że SS wysadziło kopalnię przez swoim odwrotem. Zdziwił się, jak mało go to obeszło. Całe swoje dawne życie zostawił tak, jak wąż zostawia starą skórę. Teraz liczyło

się coś zupełnie innego. Pomocnicy wskoczyli do auta i ruszyli. W lusterku widział jeszcze, jak Wudtke tłumaczy ludziom sytuację i ci całą grupą spoglądają w kierunku oddalającego się samochodu, zapewne zastanawiając się, co mu odbiło. Schlagmann i Closing siedzieli w milczeniu, a miny mieli nietęgę.

Georg pędził przez miasto jak szalony; czuł, że ma niewiele czasu. Oddziały wycofujące się z obszaru kopalni mogły w każdej chwili stanąć im na drodze. Przy wjeździe na teren przykopalnianego osiedla SS-man zatrzymał ich ruchem ręki.

- Dokąd? Dokumenty! - zakomenderował.

- Z transportem na teren kopalni, z polecenia Obergruppenführera Frosta. - Podał dokument przez okno.

Żołnierzowi nazwisko i stopień wyraźnie zaimponowały, bo dużo grzeczniejszym tonem poprosił ich o chwilę cierpliwości. Poszedł do budki, gdzie miał zainstalowany telefon, chwilę rozmawiał. Czekali w ciężarówce terkoczącej na wolnych obrotach. W międzyczasie drugi SS-man nadszedł zza węgła, manipulując przy rozporku; pewnie był za potrzebą. Widząc zatrzymany samochód zrobił srogą minę, machnął przyzywająco w kierunku kogoś skrytego za rogiem i ustawił karabin w pozycji gotowości. Wartownik wyszedł uśmiechnięty z budki, pochylił się do okienka.

- Jeszcze chwileczkę, proszę o cierpliwość. I proszę zgasić silnik.

Jego twarz była rozciągnięta w unizonym uśmiechu, ale Georg za długo zarządzał ludźmi, żeby nie poznać fałszu w jego głosie. Drugi strażnik również wyczuł, że coś jest nie w porządku, bo podniósł wyżej lufę karabinu. Uśmiechnięty wartownik był już troszkę bardziej stanowczy.

- Czy mógłby pan zgasić silnik, to chwilę potrwa.

Georg uśmiechnął się przyjacielsko.

- Jasne! Tylko że rozrusznik się spalił i trzeba gasić dźwignią za szoferką.

Już miał otworzyć drzwi, żeby wyskoczyć, ale żołnierz powstrzymał go ruchem ręki. Zjrzał zaabinę. Najwidoczniej w cywilu nie był mechanikiem samochodowym.

- Która to dźwignia?

W tym momencie Georg nacisnął pedał gazu i samochód skoczył do przodu. Żołnierze zaczęli strzelać, nie trafili jednak ani w jadących, ani w opony. Wkrótce byli już za daleko, by kule strażników mogły ich zatrzymać.

- No, to ładnie nas pan, kurwa, załatwiłeś! - Schlagmann darł się przez szum silnika i huki cichnących strzałów. - Obergruppenführera Frosta i jego pozwolenie można teraz o kant dupy potłuc! Nie mogłeś pan poczekać, aż im tam oddzwonią? Teraz mamy przechlapane. Przecież te papiery nie są chyba kradzione, co?

- Nie mogłem! - wycedził Georg, wciąż widząc fałszywy uśmiech i ponure, badawcze spojrzenie SS-mana. - I dziękuj mi pan, że nie czekałem. To nie byli ludzie.

- SS to skurwysyny, ale w końcu nasi. Może by się obyło bez kłopotów.

- To nie byli ludzie, tylko emisariusze szatana. Uwierzcie mi, teraz musimy dokończyć dzieła, żeby nas nie dopadli. Możemy uchronić niejedno istnienie ludzkie.

Schlagmann i Closing wymienili zdumione spojrzenia; z ich szefem naprawdę było coś mocno nie w porządku. Znowu zapadło ciężkie milczenie. Ciężarówka zwolniła, podskakując toczyła się po bruku w kierunku zabudowań walcowni. Samochód nie podjechał jednakże pod główną bramę, tylko skręcił w wąską uliczkę otoczoną przyzakładowym osiedlem dla robotników.

Osiedle zaczęto budować jeszcze za czasów Heinricha, a skończono już pod rządami Georga. Ludziom, wcześniej gnieźdzącym się w różnego rodzaju chatach, domkach i budach ustawionych wokół kopalni, zagwarantowano mieszkania, o ile ich staż pracy był odpowiedni. Heinrich von Schwansteinkohenbohlenwor pod koniec

życia diametralnie zmienił swój sposób postępowania. Angażował się w akcje filantropijne, fundował osiedla, sierocińce. Wspomagał finansowo liczne projekty badawcze, zresztą z wielu z nich odzyskał pieniądze z nawiązką. Pod koniec swego życia silnym strumieniem funduszy wspierał różne rodzaje działalności. Nawet sam Kaiser przysłał mu list gratulacyjny. Budził podziw swoją wizjonerską postawą i różnorodnością tematów, którymi się zajmował. Podziw tym większy, im więcej zarabiał na tych teoretycznie ryzykownych przedsięwzięciach. On zaś stawał się coraz bardziej zgorzkniały i sprawiał wrażenie przybitego ciężkim losem. Teraz Georg rozumiał dlaczego.

Dojechali do ostatniego budynku; dalej było już tylko kilka wyschniętych krzaczków, a za nimi mur otaczający walcownię. Georg skręcił na podwórze za domem, gdzie stał pusty gołębnik i komórki na węgiel. Osiedle wyglądało jak wymarłe; mieszkańcy zdążyli się już ewakuować. Po podwórku biegła samotna kura, ale ujrawszy dziwnych intruzów, natychmiast zwiłała w krzaki. W szarej oddali ujadał pies, słyszeli również pokrzykiwania zza muru walcowni. Prawdopodobnie żołnierze się ewakuowali. Wskoczyli z szoferki. Georg szybko przebiegł przez budynek, sprawdzając, czy nie został tu jeszcze jakiś maruder; sprawdził też, czy nie ma nikogo na ulicy. Schlagmann i Closing stali przed samochodem, rozglądając się bezradnie. Schlagmann zapalił papierosa. Georg uspokojony wrócił; zatargał na skraj platformy ciężarówki pakunek, który skompletował dziś rano w magazynie i w kościele. Otworzył go i wyciągnął ciężki młot. Inżynierowie znowu wymienili zdumione spojrzenia. Georg podszedł do komórek z węglem, zamachnął się i uderzył z całej siły w jeden ze skobli. Powtórzył uderzenie i kłódka odpadła. Wbiegł do środka, a po chwili rozległ się odgłos szurania łopatą po węglu. Ruchy pryncypała były tak nerwowe, a działania tak niezrozumiałe, że mężczyźni nie wiedzieli, jak się mają zachować. Schlagmann wciąż

palili papierosa. W końcu George pojawił się w drzwiach szopy z sercówką w dłoniach i zaordynował:

– Odgarnijcie węgiel z płyty na podłodze. Tam jest druga łopata. Ja muszę nas zabezpieczyć.

Zaczął chodzić dookoła budynku i ciężarówki, kropiąc śnieg wodą oraz mruczając coś pod nosem. Schlagmann i Closing pracowali, rzucając na szefa podejrzliwe spojrzenia, on zaś chodził i mruczał, czyniąc swoje dziwne rytuały. Następnie wyjął z torby Biblię i podszedł do nich. Wyciągnął ją przed siebie.

– Mówcie za mną. Wyrzekam się szatana!

Mężczyźni zastygli z łopatami w ręku. Następnie spojrzeli po sobie znacząco, a Closing powiedział cicho, ale słyszalnie dla wszystkich:

– Aleśmy się wpierdolili.

– Co jest? Pomoc w noszeniu skrzyń czy msza?! Pan oszalał, panie von Schwansteinkohenbohlenwor! – wrzasnął dziwnie piskliwym głosem Schlagmann.

– Wyrzeknijcie się, to was zabezpieczy, pomoże przy naszym zadaniu.

Znowu popatrzyli na siebie. Closing nieśmiało położył dłoń na księdze i szepnął:

– Wyrzekam się.

Wzburzony Schlagmann wyrwał Biblię z rąk von Schwansteinkohenbohlenwora i rzucił w ką.

– Pan nas zgubisz! Mało, że tu zostaliśmy nie wiadomo po co, to jeszcze mamy się teraz zajmować szatanem? Dość! Robimy swoje i się żegnamy. – Odwrócił się na pięcie. Chwycił łopatę i zaczął wściekle przerzucać węgiel. Georg podniósł Biblię, popatrzył dłużej na Schlagmanna; wychodząc, umieścił Księgę na framudze.

Gdy węgiel został przesypany, wspólnymi siłami podważyli płytę. Pod spodem czernił się otwór. Georg popędził do swojej torby i zaraz wrócił z lampami. Korytarz był stary, ale w dobrym stanie, belkowanie

nie zmurszało, linia ścian trzymała pion, bez śladu załamania. Pierwsza niewielka skrzynia zmieściła się bez trudu. Jednakże w niewysokim korytarzu musieli poruszać się pochyleni, w nieergonomicznej pozycji, toteż transport do wrót A8 z ozdobnym herbem trwał bardzo długo.

Georg wyciągnął z kieszeni pęk kluczy, czarnych od patyny czasu. Zamki zachrobotały, drzwi ze zgrzytem ustąpiły. Dalej poszło dużo łatwiej. Korytarz w pewnym momencie się rozwidłał; skrzynię ustawili w niższej, zwężającej się po kilkunastu metrach odnodze. Potem wrócili na górę, a Closing rzucił myśl, że warto wyłożyć podłogę chodnika deskami i przesuwac po nich kolejne skrzynie aż do drzwi, zamiast nieść je w niewygodnej pozycji. Po kilku minutach znaleźli stare szalunkowe deski, jeszcze z budowy komórek na węgiel. Ich ułożenie trwało dość długo, bo podłoże było nierówne i w kilku miejscach musieli je wyrównać łopata. Jednakże trud się opłacił – transport przebiegał dużo szybciej. Kłopot wyniknął jedynie przy największym gabarytowo pakunku. Musieli go rozdzielić na mniejsze części. Georg cały czas starał się mieć podwładnych na oku; obawiał się, że chwila nieuwagi zakończy się ucieczką któregoś z nich, albo nawet obu. Schlagmann i Closing wyczuwali to nastawienie i milczeli ponuro nawet podczas krótkich odpoczynków na powierzchni. Atmosfera była ciężka i nerwowa. Po ostatniej porcji, gdy wychynęli z dziury, Schlagmann stwierdził, że idzie zapalić, a Closing bąknął, że musi iść za potrzebą w krzaki. Georg wskoczył na niemal pustą ciężarówkę; jedynie w kącie stała skrzynia z zapłatą dla pomocników, a obok pakunek z resztą ekwipunku – w tym dynamit kopalniany z zapalnikiem. Zaniósł go ostrożnie do komórki. Mur budynekczku był gruby, ale dach lichey, dlatego wyraźnie słyszał rozmowę po drugiej stronie. Inżynierowie mówili przyciszonymi, ale wyraźnie wzburzonymi głosami.

– Zwariowałeś? Biorę co moje i znikam.

- To on zwariował! Nosi to pod ziemię. Pewnie myśli, że ukryje, a potem wróci, gdy sytuacja się uspokoi. Zastanów się, co zrobi z nami. Niewygodni świadkowie, Closing i Schlagmann. Ja bym takich nie puścił!

- O co ci chodzi? Von Schwansteinkohenbohlenwor był zawsze w porządku. A umowa też była jasna. To, że mu odbiło, już mnie nie interesuje. A ty szukasz dziury w całym! Rzykujemy, ale bierzemy złoto i już nas nie ma!

- Toś ty taki?! A może ty z nim w zмовie jesteś? Wykończycie mnie i dacie nogę. Chodź no tu, kolego! - wrzeszczał jeden z głosów po drugiej stronie muru.

- Daj spokój, Closing, no coś ty... Closing!

Rozmowa urwała się. Zastąpiły ją odgłosy szamotaniny, jakieś nieartykułowane dźwięki, stęki. Georg wybiegł na podwórko i popędził za tylną ścianę komórki. Ujrzał przerażającą scenę: Closing zacisnął sznur na szyi Schlagmanna i walił jego głową o mur. Tamten się już nie bronił, zwisał jak bezwładny manekin. Głowa stukiała miarowo, z ust wydobywał się charkot. Closing spojrzał na Georga i uśmiechnął się. Rysy jego twarzy zniekształcała zwierzęca wściekłość, wyglądał, jakby stracił rozum, dyszał strasznie. Widok pryncypała przyspieszył jego działania, wzmocnił też zacisk sznura. Georg z wrzaskiem rzucił mu się na plecy. Chciał go odciągnąć od Schlagmanna. Daremnie. Closing stał się nadnaturalnie silny i coraz szybciej walił głową kolegi o mur. Georg zaczął go okładać podniesioną z ziemi cegłówką: po głowie, po plecach, gdzie popadło. Szalencie wreszcie puścił nieruchome ciało i odwrócił się, ciągle z uśmiechem na ustach. Krew lała się z poranionej cegłą głowy, na szyję i tors.

- A co! - wycharczał. - Myślałeś, że łatwo pójdzie, że powiesz Biblię i po krzyku. Ty gnoju! Nie tak łatwo nam uciec, nie tak łatwo! Zaraz się policzymy! Jeszcze z tobą i twoją pierdoloną rodziną nie skończyłem! - wył, cały czas zbliżając się krok po kroku. Schyłony,

nieobliczalny, nieludzki. Atak mógł nastąpić w każdej chwili. Georg patrzył mu w oczy, napięty jak struna, przerażenie tłumilo wszelką rozsądną myśl. Naraz opętaniec rzucił się na niego, usiłując chwycić za gardło. Był niezwykle silny, Georg ledwie po kilku sekundach walki poczuł, że przegrywa. Closing dyszał mu wściekłością prosto w twarz. Georg próbował zadawać ciosy wciąż trzymaną w rękę cegłówką, ale nie robiły one na napastniku żadnego wrażenia. Mocowali się, zataczając się w nierównej walce po placyku. W pewnym momencie Georg zauważył kątem oka wystający ze ściany komórki pręt zbrojeniowy i ostatkiem sił pchnął przeciwnika w tamtą stronę. Closing znieruchomiał, rozluźnił uścisk. Siła desperackiego pchnięcia okazała się tak duża, że pręt przebił go na wylot. Georg patrzył, zastygły w przerażeniu, jak Closing wyje i wyrывa się z nietypowej, makabrycznej pułapki. W dalszym ciągu sprawiał wrażenie odpornego na wszelki ból i rany. Wył i szarpał się, krew płynęła z rozbitej głowy i przebitego brzucha. Nie było wątpliwości, że wkrótce się uwolni. Georg pognął do komórki, chwycił łopatę, którą wcześniej odgarniali węgiel. Wypadł na podwórze; Closing wciąż się miotał. Georg wziął potężny zamach i przyłożył mu kantem łopaty w głowę, zamachnął się powtórnie i poprawił. Rana wydawała się zabójcza. Lewy policzek, oko, ucho i podbródek zamieniły się w krwawą miazgę. Georg walnął jeszcze raz, tym razem z prawej strony. Closing ryknął, cios jakby dodał mu sił, zerwał się z pręta i zaczął kroczyć w kierunku Georga na rozstawionych szeroko nogach. Najwyraźniej jednak stracił wszelką orientację. Koszmarnie zmasakrowana twarz łypała białkami oczu na wszystkie strony. W końcu podszedł do pręta wystającego ze ściany, wymacał go, a potem wylał wściekłym ruchem. Zaczął wymachiwać nim na boki, szukając Georga, który zdał sobie sprawę, że Closing nadal jest diabelnie niebezpieczny. Charcząc, kroczył wolno, lecz nieubłaganie w jego stronę; Georg o włos uniknął uderzenia prętem. W rewanżu znów zamachnął się łopatą, trafiając napastnika w głowę. Cios był niezwykle silny. Georg cały buzował od

przepelniającej go adrenaliny, ogarnęły go strach i furia, przestał racjonalnie myśleć, chciał tylko unicestwić atakującego go potwora. Bo to już nie był człowiek.

Po potężnym uderzeniu głowa Closinga niespodziewanie oderwała się od tułowia i spadła na ziemię. Bezgłowy stwór jeszcze przez chwilę stał w miejscu, przebierając nogami i wymachując prętem. Wreszcie padł na wydeptany śnieg, czerwony od krwi. Georg wlepił zszokowany wzrok w swoją ofiarę, oddychał ciężko. Po kilkunastu sekundach, gdy ochłonął, kopnął jeszcze zewłok Closinga – nie poruszyły się. Podszedł do ciała Schlagmanna; on również nie dawał oznak życia. Georg popędził do komórki.

Chwycił za torbę z dynamitem, zabrał dwie latarki i zniknął w otworze w podłodze. Doszedł do korytarza z ustawionymi skrzyniami. Miejsce składowania znał jeszcze z czasów młodości. Jako chłopak łązikował wszędzie razem ze swoim ówczesnym kumplem Hansem, synem stajennego. O ile przyjaźni z rodziną stajennego stary von Schwansteinkohenbohlenwor nie akceptował, o tyle wycieczki po okolicy pochwalał, uważając, że następca powinien wiedzieć o kopalni i pobliskich terenach wszystko. Na hałdach pracowała biedota, wykorzystując zasoby węgla, które dla koncernu von Schwansteinkohenbohlenworów były już bezużyteczne. Tak poznał biedaszyby i świat, który się wokół nich wytworzył. Poznał ludzi, którzy niczym krety siedzieli całymi dniami w dziurach i chodnikach tej najstarszej i najpłytszej części kopalni. Poznał drogi i przejścia, którymi posuwali się pod ziemią. Przygoda skończyła się, kiedy wyjechał na studia. Po powrocie w rodzinne strony zajął się pracą w administracji zakładu, ustatkował się i świat obok kopalni przestał być dla niego interesujący. Tolerował go jako zarządzający, ale najchętniej by się go pozbył ze względu na zagrożenia, jakie dla normalnego funkcjonowania zakładu stwarzało dzikie wydobycie. Kiedy ojciec powierzył mu funkcję prezesa, dostał od niego również skrzynkę z kompletem kluczy i notatnik z opisem różnych starych przejść,

szybów i włazów do nieeksploatowanych od dziesięcioleci części kopalni. Okazało się, że Heinrich był świadom zarówno istnienia tych zamkniętych rewirów, jak i odbywającego się tam nielegalnego wydobywania. Georg zapytał, czemu więc nie zrobił z tym porządku, i dobrze zapamiętał odpowiedź ojca. Mężczyzna uśmiechnął się i mruknął enigmatycznie: „To się jeszcze przyda”. Georg pomyślał wtedy, że jego stary zrobił się z wiekiem sentymentalny. Wziął jednakże notes, klucze i zachował jak rodzaj pamiątki rodzinnej. Dziś wiedział, że to się przyda na pewno.

Wyciągnął z torby osprzęt. Nie miał czasu wiercić w ścianie otworów na dynamit, zamierzał go zamocować na wkręconych w skałę hakach, podobnych do tych, których używają alpinści. Robota nie szła dobrze, brakowało mu wprawy, porządnego oświetlenia, a ręce trzęsły się od nadmiaru emocji i wrażeń. Konstrukcja kilka razy spadła, choć dałby sobie głowę uciąć, że zamocował ją solidnie. Myśl o odcinaniu głowy prześladowała go zresztą cały czas. Wciąż miał przed oczami ten ohydny obraz: chwiejący się bezgłowy korpus Closinga. Zdawał sobie sprawę, że sam Closing był tu niewinny, posłużył wyłącznie jako narzędzie w ręku siły wyższej. Nie potrafił się otrząsnąć z koszmaru ostatnich godzin. Co chwilę zerkał za siebie i nasłuchiwał, czy coś lub ktoś się nie zbliża. Innymi słowy, Georg był strzępkiem nerwów. Montując materiał wybuchowy, zaczął nabierać wątpliwości, czy podjął dobrą decyzję. Czy miał prawo ratować siebie i swoją rodzinę kosztem życia dwóch innych ludzi? Powtarzał sobie cały czas, że widać tak musiało być, że on się tylko bronił. Ale wątpliwości drażyły w jego duszy długie kanały i nic nie mógł na to poradzić. Dynamit w końcu udało się porządnie umocować. Rozwinął przewód detonatora. Wycofał się aż za żeliwne drzwi wejścia A8, które przymknął, pozostawiając jedynie szparę na kabel. Nacisnął dźwignię. Rozległ się huk i łoskot spadających kamieni. Miał nadzieję, że płytko położony chodnik nie zawalił się, ale to sprawdzi później. Hałas ucichł. Pomieszczenie za drzwiami wypełniał wielki tuman pyłu,

który bardzo wolno opadał. Georg wiedział, że minie co najmniej kwadrans, zanim powietrze znowu będzie przejrzyste. Wtem przestrzeń wokół niego przeszył ryk, nieludzkie wycie paraliżujące strachem. Czuł, jak wszystko, co go otacza, nagle obraca się przeciwko niemu. Wrzask świdrował mu mózg, lampa trzymana w rękę to zapalała się, to gasła. Czuł nacisk tysięcy istot, dziwnych, wrogich istot, gotowych go unicestwić, byle tylko nie stracić nad nim kontroli, byle nie stał się na powrót wolnym człowiekiem. W migoczącym, mylącym oko świetle lampy wydawało mu się, że ściana faluje, próbując go zamknąć w skalnym grobie. Georg rzucił się w kierunku wyjścia, pędził najszybciej jak potrafił, przewracał się, ale wstawał i biegł dalej. Widział, jak obelkowanie korytarza ugina się i trzeszczy groźnie. Skały i ziemia sypały mu się na głowę. Droga do wyjścia trwała wieki, ale w końcu uciekł od tego straszego trzeszczenia, naporu, wrogości – zostały tam na dole.

Doszedł do otworu, ale ten był zamknięty. Zaskoczony Georg stał z zadartą głową i patrzył na zasuniętą płytę. Słyszał szum osypującego się węgla i szuranie łopaty. Zaczął wrzeszczeć i walić w płytę. Próbował ją odsunąć, ale nie miał żadnego punktu zaczepienia dla palców. Gładka stal zamykała mu drogę. Nie pomogło ani pchanie, ani paniczne walenie pięścią. W końcu poddał się i usiadł, łkając. Był wykończony, wyczerpany strasznymi przeżyciami i brakiem snu. Ile trwał ten letarg? Nie wiedział. Otaczała go nieprzenikniona czern, jedynie słabnące światło latarki dawało oparcie dla wzroku. Nagle poczuł, że musi wstać. Natychmiast. Jeżeli tego nie zrobi, teraz, zaraz, to zostanie na wieki pod tą płytą i tonami węgla. Wrócił do żeliwnych drzwi; wszystkie podziemne stwory uspokoiły się. Pył po wybuchu już opadł. Georg modlił się w duchu, żeby osypisko zablokowało tylko jeden z dwóch korytarzy. Wówczas, korzystając z wiedzy lat młodzieńczych, wiedziałby, którądy pójść. Dotarł do miejsca eksplozji. Do niedawna szerokie i wysokie rozwidlenie korytarzy zamieniło się w gruzowisko. O ile zasypanie małego korytarza z

kosztownościami było zgodne z planem, o tyle zablokowanie większej odnogi przeraziło Georga. Podszedł pod samo rumowisko i zaczął się wspinać po ostrych odłamkach. Gdy dotarł do szczeliny pomiędzy powałą chodnika a kamieniami, stwierdził, że przejście ocalało. Było bardzo wąskie, jednak powinien dać radę.

Czołgał się i przeciskał; w pewnej chwili zdało mu się, że utknął pomiędzy skałami, ale w końcu przeszedł. Po drugiej stronie chodnik prowadził w głąb kopalni; pokonawszy kilkanaście metrów, Gerog zaczął świecić w górę i wypatrywać starego przewodu wentylacyjnego. Pamiętał, że czasami schodził tędy z Hansem i pracującymi tu ludźmi, którzy wykuli stopnie w kamieniu. Miał nadzieję, że po czterdziestu latach nadal tu będą. Po kwadransie je znalazł. Wędrówka pod górę okazała się mozolna, ale po dotarciu do wąskiego, stromego przesmyku poczuł wiew powietrza. A więc był na dobrej drodze. Wylot przewodu wentylacyjnego na stałe przywalono wielkim kamieniem. W założeniach budowniczych kopalni, którzy również zamykali tę pierwszą, najstarszą część, miał on zasłaniać otwór całkowicie, ale ludzka przedsiębiorczość nie takie przeszkody pokonuje. Szczególnie gdy w grę wchodzi dylemat: żyć czy zdychać z głodu. Pod kamieniem został wydrążony tunel, w którym mieścił się człowiek na czworakach. Zdyszany Georg, tracąc już niemal nadzieję na zakończenie zabójczej wspinaczki, poczuł wreszcie zimno i ujrzał światło przezierające przez szpary. Jeszcze wycięcie kilku krzaków – i na ostatek wyczerpany, ale szczęśliwy wypęzł na zewnątrz. Próbował objąć się ramionami i twarzą wpadł w śnieg. Nie szkodzi. Wtulił się w niego. Chciał ukochać ten najlepszy ze znanych mu światów. Pogrzebano go żywcem, skazano na okrutną śmierć, a jednak wyrwał się, uratował na przekór diabelski mocom.

Nadciągał lutowy wieczór, odległa kanonada wojenna nie ustawała. Padał śnieg. Georg powłókł się w kierunku zabudowań; musiał sprawdzić, co się wydarzyło na powierzchni i zatrzeć ślady działań przy komórkach. Z grzbietu hałdy zauważył budynki osiedla,

znaną mu szopkę, za którą szarżała buda ciężarówki. Widział również leżące ciało Schlagmanna, nie było natomiast śladu po Closingu. Pobiegł w dół, jednakże oględziny z bliska niczego nie zmieniły. Closing znikł, razem z głową. Krwawe ślady ciągnęły się do komórki. Georg otworzył kopniakiem drzwi, przygotowany na atak i wszystko co najgorsze. Ale nikogo w środku nie spotkał. Płyta była opuszczona i przysypana węglem – to już widział, tyle że od spodu. Wypadł z komórki, zaczął się rozglądać; ślady prowadziły dalej, więc ruszył ich tropem, ale z każdą chwilą stawały się mniej widoczne z powodu padającego śniegu. Przebiegł kilka kroków, lecz nagle zatrzymał się. Po co za nim gonić? Tu trzeba raczej uciekać. Wyrzucić z głowy i z serca to wspomnienie, choćby pyłek wspomnienia o tym zdarzeniu. Georg mimowolnie zaczął odtwarzać scenę sprzed kilkudziesięciu minut. Zakrwawiony zombie Closing chodzi po okolicy, zamyka przejście, szufluje węgiel. Ciekawe, czy z głową pod pachą. Wyobrażona scena była tak absurdalnie realistyczna, że wybuchnął śmiechem. Wył, ryczał, klepiąc się po kolanach, łzy ciekły mu po policzkach. Ze śmiechu płynnie przeszedł do płaczu. Niesamowita sytuacja, którą przeżył, strach, niepewność – to wszystko przerosło jego zdolność rozumienia i musiał teraz histerycznie odreagować. Uspokoiwszy się, wstał, otrząpiał się z ziemi i śniegu.

Postanowił pochować Schlagmanna.

Potem wrócił pod dom. Zapadał zmrok. Samochód dalej stał tam, gdzie go zostawił, śnieg padał, krusząc na świat biały, zimny chleb. Szary pojazd przykrywała biała warstwa. Georg zajrzał pod plandekę. Pusto. Jedyne w kącie stała skrzynia przeznaczona na zapłatę dla Schlagmanna i Closinga. Odruchowo ucieszył się, że coś zostało, ale zaraz skarcił się w duchu. Po bogactwie nie może zostać ani śladu. Rozumiał to głową, ale serce było innego zdania. Łamał się i zastanawiał, stojąc nad skrzynką, jak wytłumaczyć samemu sobie, że naprawdę lepiej jej nie brać...

Pomocne okazało się wspomnienie okrwawionego Closinga. Tak. To bogactwo przynosi nieszczęście. Nie może sobie nic zostawić. Zeskoczył pospiesznie na ziemię. Odpalił wóz i odjechał kilkaset metrów, zaparkował w bocznej dróżce pomiędzy krzakami. Stojąc tam, nie zdradzi jego obecności. A złoto... A złoto przypadnie jakiemuś szczęśliwcowi albo... nieszczęśliwcowi. Powlókł się z powrotem pod komórki, śnieg zdążył zasypać wszystkie ślady. Nawet ślady kół stały się niewyraźne. Pozostało tylko czekać i pilnować. Najtrudniejsze zadanie było już za nim. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Na swoje lokum wybrał mieszkanie na piętrze, tak usytuowane, że doskonale widział z niego podwórze i komórki. Liche drzwi dały się łatwo wyważyć kopniakiem. Dwa puste pokoje, kuchnia z białym kredensem i piecem węglowym, toaleta z bieżącą wodą; w założeniu, bo obecnie nie działała. Nadzieja, że ma wszystko za sobą, okazała się płonna. Wlokące się godziny przynosiły wizje i koszmary. Zmęczony zapadał w sen, z którego budził się z krzykiem. Każdy ruch gałęzi za oknem, każdy szelest – były jak alarm. Georg dobiegał do okna i sprawdzał, co się dzieje na dole. A na dole nie działo się nic. To była jedynie gra jego myśli, wspomnień, echa wczorajszych wydarzeń.

Po mroźnej nocy nie mógł się rozgrzać samym ruchem i chuchaniem w dłonie, dlatego rozpalił w piecu, a potem ugotował kilka starych ziemniaków znalezionych w kuchni. Zagryzł to wszystko spleśniałym chlebem, również znalezionym w kuchennym kredensie. Co rusz podchodził do okna, sprawdzając, czy ktoś się nie kręci koło komórek. Założył, że wytrzyma do wkroczenia Rosjan. Do tego czasu zamierzał stać na straży zasypanych skarbów i walczyć z każdym napastnikiem, choćby z diabłem, w czym nabrał nieco wprawy. Odrobina snu i pożywienia uspokoiły wizje i wspomnienia z wczoraj. Rozbudziły się natomiast głębsze refleksje dotyczące podjętych decyzji. Cały czas wyobrażnia podsuwała mu obraz jego rodziny umierającej z głodu,

zebrzącej u obcych o odrobinę łaski. Jakiś wewnętrzny głos szeptał dyskretnie, acz nieprzerwanie, że tylko głupiec pozbywa się pieniędzy i władzy, że to samolubne w imię dziwnych idei skazywać tylu ludzi na cierpienie lub śmierć. Georg męczył się tak godzinami; próbował zagłuszać głosy modlitwą, wyszedł też na kilka przechadzek wokół domu, ale nie ośmielił się bardziej oddalić. Natrętne myśli powracały, a on cierpiał, nie umiając się od nich uwolnić. Raz pobiegł nawet do porzuconego samochodu, aby uratować przynajmniej tę jedną jedyną skrzynkę. Przewrócił się, biegnąc po brukowanej uliczce, i ból upadku otrzeźwiły go. Łkając, począł na powrót na swój posterunek.

W jego wyglądzie zewnętrznym również nastąpiły niepokojące zmiany. Georg z godziny na godzinę się starzał. Z przerażeniem oglądał w lustrze łazienkowym swoją pomarszczoną twarz i przeredzone, siwe włosy. Mając pięćdziesiąt osiem lat, dotychczas wyglądał na trzydzieści. Sportowa sylwetka, sprężysty chód, dźwięczny głos i pewne, szybkie ruchy w żadnym razie nie sugerowały, że jest już w wieku przedemerytalnym. Georg zawsze był ozdobą przyjęć i salonowych spotkań. Przypisywał ten stan ćwiczeniom i higienicznemu stylowi życia; teraz zdał sobie sprawę, komu naprawdę zawdzięczał swój młody wygląd i tężyznę fizyczną.

Rosjanie weszli dwa dni później. Najpierw usłyszał w oddali dziwny szum, a gdy wychylił się mocno z okna, zauważył, że przez główną uliczkę osiedla sunie kawalkada pojazdów z czerwonymi gwiazdami na boku. Wkrótce pojawili się radzieccy żołnierze. Przeszukiwali każdy dom. Wpadli także do niego. Jakichś dwóch, krzycząc, groziło mu karabinami. Georg umiał trochę po rosyjsku z czasów szkolnych, ale szybkiej mowy prostych żołnierzy nie rozumiał ni w ząb.

- Ruki w wierch, dawaj, dawaj! - wrzeszczeli. To pojął, nie znając słów; wystarczył widok czarnego wylotu pepeszy. Jeden przeszukiwał mieszkanie, drugi celował mu prosto w pierś, patrząc ponuro.

- Ty kto, dieduszka? Giermaniec?

Georg kiwnął głową. Słowo „Giermaniec” było jasne. Drugi się włączył do rozmowy. Najwyraźniej nie znalazł niczego cennego.

– Ubij chuja i idjom.

Pierwszy przymierzył się, ale zaraz opuścił lufę. Twarz miał zafrasowaną.

– Biez wadki nie magu. On torze cieławiek.

– Giermaniec nie cieławiek, ani churze sabaki. Strielaj! Ili nie? Żdu! Ćasy u was jest? Załoto? – zwrócił się do Georga.

Georg nie rozumiał. Rosjanin zaczął udawać zegarek, mówił „tik-tak”, pokazywał przy tym na przegub ręki. Georg zdjął swój szwajcarski zegarek i podał przybyszom ze wschodu.

– Ćasy i załoto w odnom. Charaszo, Giermaniec! – Żołnierz ucieszył się na widok zdobyczy i poklepał Georga po ramieniu. Przyłożył zegarek do ucha, sprawdzając, czy chodzi. – Nie strielaj, Giermaniec torze cieławiek, dawaj, idiom – zmienił zdanie, po czym wyszli, pozostawiając Georga w spokoju.

Na podwórku kręcili się jeszcze inni żołnierze, wszędzie szukając zdobyczy wojennych. Żywy inwentarz też nie mógł czuć się przy nich bezpieczny. Rosjanie łapali wszystko, co się ruszało. Jeden trzymał pod pachą szamoczącą się kurę. Może tę samą, która uciekła w krzaki na widok ciężarówka załadowanej skrzyniami ze skarbem. Potem wszystko ucichło. Dwa domy dalej armia zrobiła sobie kwaterę, co poznawał po okrzykach i odgłosach jeżdżących samochodów. Kilka godzin później usłyszał śmiechy, dźwięk harmonii i śpiewy.

Rascwietali jabłoni i gruszy,

Popłynęli tumany nad rieką;

Wychodziła na bierieg Katiusza,

Na wysokij, bierieg na krutoj.

Georg ostrożnie wyszedł na zewnątrz. Każda chwila spędzona w tym mieszkaniu przybliżała go do szaleństwa, a przecież musiał

dokończyć swoje zadanie. Kroczył przez lutową noc w kierunku pałacyku. Spodziewał się, że został zajęty przez Armię Czerwoną, ale cel jego wędrówki znajdował się w parku, przy samym ogrodzeniu. Podszedł ostrożnie od strony łąki; przed budynkiem kręcili się wartownicy, lecz tu na końcu pałacowego parku było pusto. Wykorzystując zabrany pręt jako łom, naparł na drzwi kaplicy. Puściły. Stał chwilę, nasłuchując, czy trzask kogoś nie zwabił, ale wokół dalej było pusto, cicho i zimno. Wszedł do środka. Nic się tu nie zmieniło od jego ostatniej wizyty miesiąc temu. Wypalone znicze, stare wyschłe wieńce, ziab i wilgoć. Włożył pręt w szparę grobowca i pchnął – kamień ani drgnął. Naparł ponownie, usłyszał, czy raczej poczuł lekkie tarcie kamienia o kamień. Natężył się i podniósłszy dostatecznie płytę, przesunął ją o kilka milimetrów.

Pot płynął mu po czole, gdy pchał z całej siły, kamień tarł o kamień, płyta sunęła opornie milimetr za milimetrem. W końcu zaprzestał i pochylił się nad jamą. Na dnie betonowego prostopadłościanu spoczywała znumifikowana postać. Georg nigdy nie poznałby ojca, tak zmieniła się jego twarz w stosunku do synowskich wspomnień sprzed ponad trzydziestu lat. Opadł twarzą na brzeg krypty i zaczął płakać. Wielki kamień spadł mu z serca, łzy ulgi i wzruszenia płynęły potokami.

- Ojcze, wróciłeś, dzięki Bogu – szeptał, patrząc na postać przed nim.

Wzruszający moment potrwałby może dłużej, ale nagle usłyszał zbliżające się głosy i zobaczył migające światła latarek. Zerwał się i w panice umknął do parku, kierując się w stronę łąki. Przesadził ogrodzenie i gnał dalej goniony okrzykami i strzałami z broni palnej. Dwóch żołnierzy również przeskoczyło ogrodzenie; biegli za uciekinierem, strzelali i nawoływali, żeby się zatrzymał. Gdy Georg rozpląnął się gdzieś w czerni nocy, wrócili. Zaciekawieni zajrzeli do kaplicy, chcąc sprawdzić czego ta postać, szpieg nie szpieg, tu szukała.

Widząc otwarty grobowiec i z mumifikowaną postacią wewnątrz, stanęli osłupiali. Po chwili podeszli bliżej.

- Może być u niewo załotyje zuby - stwierdził niższy, próbując rozewrzeć mumii szczękę. Wyższy przyglądał się tym wysiłkom z zainteresowaniem, być może żałując, że nie wpadł na ten pomysł pierwszy. Nagle hiena cmentarna odskoczyła z wrzaskiem od sarkofagu.

- Aaa, ukusił! Kurwa! On żywot! - Zaczął strzelać z pepeszy po całym grobowcu. Postać w środku ułożyła usta w złośliwy uśmiech, choć może była to tylko gra nocnych cieni i światła latarek.

Gdy nic więcej się nie wydarzyło, uspokojenie żołnierze zasunęli płytę grobowca i pospiesznie udali się w kierunku pałacyku. Za dziesięć minut miała nadejść zmiana warty.

XI. Dzień zero – historia nadziemna

(zwana również niezieską)

Wątroba otworzył oczy. Wokół piętrzyły się skalne zbocza, wiatr wył wśród granitowych wierzchołków. A może wapiennych albo z piaskowca? Było mu to obojętne, wiatr gwizdał i tylko to się liczyło. Podniósł głowę, ale zaraz ją opuścił i z jękiem położył na ziemi. Nie bolała, w każdym razie nie bardzo, ale uczucie było z gatunku przygniatających. Postanowił poczekać z jakimkolwiek ruchem do poważniejszej okazji. Na razie niech tak zostanie. Kopalnia wokół piętrzyła się skalnymi załomami, zdającymi się nie mieć końca graniami uwieńczonymi plamą szarego nieba.

- Co jest? Niebo? W kopalni? – przypaętała się wątpliwość. Ale ponieważ jego stan w ogóle był dziwny, więc stwierdził, że dziwne otoczenie również tu pasuje. „Stwierdził” to słowo nieco na wyrost, lepiej określić, iż „przyjął” lub „przyjął obojętnie”, albo jeszcze lepiej: „miał to głęboko gdzieś”.

Usłyszał odgłos osypujących się kamieni. Ktoś szedł. Wątroba, mając świeżo w pamięci śmigające wokół siebie kule z karabinów maszynowych, musiał uznać, że to jest właśnie ta poważniejsza okazja, aby unieść głowę. Kroki stawała się coraz głośniejsze, kroki wielu nóg. Poczował się w kierunku najbliższego gęzau, aby choć w minimalnym stopniu zapewnić sobie ochronę. Nie zdążył. Zza skał zaczęły wychodzić postacie; skulił się przerażony, zerkając jednak czujnie. Odkrył, że to nie tamci, smagli grotolazi. Wpatrywał się uważnie w nadchodzących, a gdy wreszcie ich rozpoznał, dech mu zaparło z wrażenia.

- Mama? Tata? – szepnął.

Rodzice podeszli do niego. Kobieta przytuliła jego obolałą głowę do piersi. Ojciec poklepał go po ramieniu, jakby mówiąc: „Wszystko dobrze, byku”. Zastygli na chwilę w milczeniu, ciesząc się sobą. Wątrobie świeczki stanęły w oczach, bo za nimi sunęło więcej ludzi. Naraz komisarz uświadomił sobie, że przecież rodzice nie żyją od kilku lat. Chciał spytać, jaki cudem są razem i gdzie w ogóle teraz przebywają-są-trwają. Ale oni już odeszli; stanęli pod skalną ścianą i obserwowali rozgrywające się wokół niego przedstawienie. Korowodem szły postacie, a każdą z nich Wątroba znał lub przynajmniej kiedyś widział. Przybił grabę z Mietkiem i Władkiem, kumplami z podstawówki. Ukłonił się swojej wychowawczyni, która skłoniła delikatnie głowę i szepnęła coś o zmarnowanych talentach. Następnie pojawiła się dziewczyna w warkoczykach, Jadwisia. Wątroba nie mógł oderwać od niej oczu. Jakże mógł ją tak zostawić? I zarazem skazać samego siebie na długoletnią samotność, bo nigdy nie znalazł drugiej Jadwisi, choć z początku wydawało się to takie proste. Stała przed nim, a on miał wrażenie, że jej twarz wyraża podobne uczucie: żal za straconą szansą, za wspólnotą, której nie doświadczyli. Chciał jej coś powiedzieć, ale... wykrztusił jedynie: „Jadwisia”. Ona popatrzyła jeszcze chwilę, następnie odwróciła się i odeszła, komentując pod nosem, ale dość głośno: „Ależ się spaś”. Wątroba długo odprowadzał ją wzrokiem. Różne postacie przechodziły obok, jedni podawali mu dłoń, inni machali, ale było też kilka osób wyraźnie negatywnie nastawionych. Odgrążali się, przeklinali go i wyrażali zadowolenie, że spotka go wreszcie kara. Wątroba rozglądał się po tym ludzkim kole. Otaczało go już ze wszystkich stron, ciasno, nie było mowy o ucieczce. Z kręgu ludzi wyszedł nagle Stalowy Kazek, za nim Pająk i Marian. Byli ubrani w czarne surduty zdobione złotą nicią, na głowach mieli ozdobne czarne czapki z jakimś znakiem nad czołem. Wyglądali jak jacyś, nie przymierzając, mistrzowie ceremonii. Podnieśli ręce, gwar głosów ucichł, znowu słyszeć było tylko wiatr jęczący wśród skał. Stalowy zaczął zawodzić:

Nad czarną krainą czarny kruk śpiewa...

Tłum odparł chórem:

Czego mu trzeba? Czego mu trzeba?

Wątrobę zatkało, rozglądał się, szukając jakiegoś znaku, sygnału, że ktoś go robi w konia. Krag twarzy był jednak śmiertelnie poważny, podobnie jak trzech mistrzów w kole.

– E, Stalowy, co to za hocki-klocki? Git mundurek. Taki wam dały Arabcy?

Stalowy spojrział na niego, ale nie odpowiedział, kontynuował jedynie swe dziwne rytuały.

Gdy czarnym płaszczem przykryte dziecię,

Świata tego, świata tamtego.

Gdy wchodzisz na skałę przeznaczenia, człeczce,

Żegnamy cię, na wieki wieków.

Tłum zaczął mruzczyć: „Na wieki wieków”. Pająk i Marian chodzili w kole, machając rękami tak, jakby chcieli pobudzić zebranych do większej aktywności. Wyglądali jak dyrygenci, ich zamaszyste ruchy podkreślały dodatkowo falujące poły surdutów. Po chwili „Na wieki wieków” grzmiało potężnie, zwielokrotniane skalnym pogłosem. Wątroba siedział przerażony na ziemi. Stalowy wykonał nagle kategoriyczny ruch i wszelki głos zamarł. Znowu jedynie wiatr świstał. Potem gdzieś daleko zakrakał ptak. Stalowy odwrócił się do siedzącego na ziemi.

W czarnym otmęcie, mhm, sorry...

Odmęcie,

Wiedzie cię, człeczce, los marny, szary.

Widzisz nas, człeczce, po raz ostatni,

Ostatnim słowem cię już żegnamy.

Pająk również stanął nad Wątrobą i rozpoczął swoją kwestię:

Papugą narodów, Winkelriedem świata...

Ale Stalowy dał mu kuksańca w bok i wzrokiem pokazał, gdzie jego miejsce. Pająk powrócił na drugi plan.

*Wstań, przyjacielu, w drogę postany,
Idź, niech ci skała i czerni lekkimi będą.
Idź stąd i nie błądź.
Prosimy. Błagamy.
Byś nas nie winił za to, co będzie.*

Krąg się rozstał, jakby wskazując Wątrobie drogą. Ten zrozumiał wreszcie, że nie znajduje się już w żadnej kopalni. W ogóle nie był na ziemi, przynajmniej takiej, jaką znał. Nieżyjący rodzice, dawne miłości, poważne słowa. To wyglądało, jakby trafił tam, gdzie... Sam nie wiedział. Widział przed sobą szpaler ludzi czekających, aż wyjdzie. A gdy ktoś cię wyprasza, to trzeba iść. Niegrzecznie jest się narzucać. Powiodł jeszcze wzrokiem po wszystkich. Matka ukradkiem ocierała łzy, ojciec patrzył ponuro w ziemię, Mietek i Włodek stali z zaciśniętymi ustami. Nawet Jadwisia wydawała się zatroskana jego losem. Pokiwał głową i powędrował ścieżką pod górę, pomiędzy skałami. Szło mu się dużo lepiej, niż tam na dole siedziało, przygniatające uczucie minęło. Dróżka wiodła przez nieżyciliwe florze urwiska, stoki i rozpadliny. Widoki były zaiste przepiękne, niekończące się łańcuchy szczytów, chmury kłębiące się nad nimi. Ale musiał uważać i ściśle trzymać się wytyczonej ścieżki; każde zboczenie w lewo bądź w prawo groziło upadkiem lub zsunieniem się z urwiska. Zastanawiał się właśnie, co on będzie tu jeść i gdzie położyć się spać po zapadnięciu zmroku, gdy naraz ze zdziwieniem skonstatował, że wcale nie jest głodny, choć nie miał niczego w ustach od blisko doby. Podobna wstrzemięźliwość nie zdarzyła mu się od

dobrych kilkunastu lat. Ruch, świeże powietrze, zdrowa dieta, a raczej brak jedzenia – może uda się zrzucić trochę ciała. Znowu spodoba się Jadwisi. Myśl o dawnej dziewczynie przypomniła mu od razu dziwne zgromadzenie i zasępił się. Niech no tylko dorwie tego skurwysyna Stalowego. Już on mu pokaże człeka na czarnej skale i inne tego typu androny. Ubierze taki czarny mundurek i od razu waźniaka struga, gada jak ten dziad Słowacki albo pan Tadeusz na suchego przestworu oceanie. Rozglądając się wokół, rozumiał coraz wyraźniej, o co chodziło z tym suchym przestworem. Co prawda, droga była, kurhanów aż za dużo, ale gdzie szukać gwiazd przewodniczek łodzi. Gdzie szukać samej łodzi?

– My kibice Łodzi, wódka nam nie szkodzi! – zanucił dla dodania sobie animuszu. Ścieżka wiodła cały czas pod górę.

Nieoczekiwanie dotarł na szczyt, który wyglądał jak miniaturowy płaskowyż albo ścięty kopczyk. W dół opadały strome ściany, on zaś stał na płaskim wierzchołku o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Zaskoczony nagle zakończoną wędrówką chciał cofnąć się kawałek, żeby sprawdzić, czy nie przeoczył jakiegoś rozwidlenia. Obszedł jednakże całą górę i nie znalazł drogi, którą tu przywędrował. Plac kończył się z każdej strony stromizną. Wychylił się mocniej za jedną z krawędzi, ale widok przepaści i jeżących się w dole grani oraz nieprzyjemny ucisk w żołądku wywołany tymże widokiem kazały mu wrócić na środek. Zdziwiony zamrugał oczami. I w tym momencie zauważył, że nie jest sam w tej krainie. We wszystkie strony ciągnęły się identyczne góry, tworząc bardzo uporządkowany, wręcz pedantycznie symetryczny pejzaż. Niektóre z płaskich wierzchołków były zajęte, tak jak jego; inne świeciły pustką. Ale sytuacja ciągle się zmieniała, niewielkie płaskowyże zaludniały się, a potem pustoszały. Na górze obok siedział Murzyn. Wątroba, jako wzorcowy Polak i nie bardzo wzorcowy, ale jednak katolik, nie gadał z Murzynami. Niemniej sytuacja wydała mu się na tyle absurdalna, że postanowił nawiązać kontakt.

- Eeee, kolego! Ha! du ju du?! - wykrzesał z siebie.

Murzyn odwrócił się do niego, ale nic nie odpowiedział. Machnął tylko ręką, jakby odganiał muchę. Komisarz się nie poddawał.

- Gut or noł gut? - Elokwencją zadziwił sam siebie.

Murzyn się wyraźnie zdenerwował. Do komisarza doleciały życzliwe słowa.

- Spierdalaj, frajerze! Nie zawracaj mi dupy! - Nawet akcent miał poprawny.

„O, ty koloruchu! - pomyślał ze złością komisarz. - To ja przyjaźnie, a ty...” Schylił się wściekły, podniósł kawałek skały z ziemi, wziął szeroki zamach i cisnął nim w kierunku sąsiedniego wzgórza. Znajdowało się jednak za daleko i kamień spadł w ziejącą między nimi przepaść. Czarnoskóry pokazał mu środkowy palec i rozjaśnił twarz białą zębów. Komisarz odpowiedział gestem Kozakiewicza. Ze współpracy międzynarodowej nici. W pewnym momencie na wzgórzu Murzyna zrobił się ruch, w niebo wzbija się kurzawa, a gdy opadła, odsłoniła pusty plac. Wątroba stracił kontakt z jakąkolwiek żywą istotą w okolicy. Usiadł na płaskim kamieniu i zadumał się nad swoim losem. Wiatr gwizdał wśród skalnych wierchów. On dalej nie czuł głodu ani zmęczenia. Po chwili obrócił się, żeby sprawdzić, czy na miejsce czarnoskórego pojawił się ktoś nowy.

Sąsiedni szczyt pozostawał pusty, za to na swojej górze ujrzał jakąś postać. Siedziała, jak on, na kamieniu i wertowała plik papierów. Wątroba zerwał się na równe nogi i podszedł zaciekawiony. Postać była odziana w biały kombinezon zasuwany na zamek błyskawiczny, na głowie miała berecik, również biały. Nieodparcie nasuwało się komisarzowi porównanie z obsługą dzieży w piekarni. Białe nie odrywał wzroku od dokumentów; Wątroba odniósł wrażenie, że nawet nie zauważył jego obecności.

- Dzień dobry - przywitał się zatem.

- Dzień dobry - padła grzeczna, acz lakoniczna odpowiedź.

Biały nawet głowy nie uniósł. Czytał dalej, zakreślał coś ołówkiem, wzdychał zmartwiony, a może zdegustowany. Po dłużących się w nieskończoność sekundach podniósł wreszcie głowę i spojrzał na Wątrobę.

- Wątroba? - spytał.

Komisarz skinął głową.

- A kto cię tak załatwił, wietrzysz czaszkę od środka, czy jak?

- Nie rozumiem? - nie rozumiał Wątroba.

Biały wyjął ramkę, coś jakby lustro, i wyciągnął w kierunku komisarza. Ten wziął ramkę i spojrzał w swoje odbicie.

- O, Boże! - wrzasnął, upuszczając lustro, które ani się nie stukło, ani nawet nie uderzyło o ziemię. Zamachało rogami jak ptaszek skrzydłami i pofrunęło wprost do kieszeni Białego. Komisarz przeraził się, zobaczywszy swoją twarz całą we krwi, a w czole dziurę wielkości dwuzłotówki. Nie dowierzając własnym oczom, dotknął czoła i wyczuł dziwne nierówności, postrzępione brzegi rany. W popłochu zaczął macać całą głowę. W potylicy również ziała dziura, wymacał strzaskaną kość, zaschniętą krew na włosach i kołnierzu.

- Ej! Bez paniki, wetknie się korek i będziesz jak nowy - zażartował rubasznie Biały. Potem rozglądnął się nerwowo. - Znowu się spóźniają, co za skurwiele! Kwadrans akademicki i do domu, prawda, kolego?

Komisarz nie wiedział, co odpowiedzieć, był zbyt przerażony swoim stanem, a kretyńskie uwagi o korku dodatkowo pogłębiały jego dezorientację.

- Kim pan jest? - spytał niepewnie, cały czas sprawdzając czoło i potylicę. No bo jakim cudem poruszał się i porozumiewał z przedziurawioną na wylot głową? Może tej dziury jednak tam nie było?

- Edward. - Biały wyciągnął rękę. - Ale możesz mi mówić Edek. Choć tyle mogę dla ciebie zrobić w twojej sytuacji.

Wątroba zmarł, słysząc, że Biały jest tu z jego powodu.

– W jakiej sytuacji? Co tu się dzieje? Czego ode mnie chcesz?

Edek zaczął wertować papiery, w końcu znalazł szukany świstek i przeczytał głośno:

– Wezwanie: obiekt Wątroba, plac przepustowy osiemdziesiąt tysięcy sześćset piętnaście, o milion pięćset tysięcy czterysta pięćdziesiątej czasu uniwersalnego wszechświatowego, przekazanie typu C jeden. Wymagania: podpisany formularz C1, Wątroba. Strona przekazująca: niebo. To ja – dorzucił z dumą. – Oraz strona odbierająca: piekło. Spóźnieni, kutasy, jak zwykle – skomentował drugą stronę Edek. – Chcą cię w piekle, podobno się zgodziłeś.

– Ja... – Wątrobie głos uwiązł w krtani. – Kiedy?

– Na C jeden będzie napisane. W wezwaniu muszą być tylko sygnatury dokumentów, choć tutaj nawet tego nie ma. Zaraz uzupełnimy. No, gdzież ten, jak mu tam... – zaczął szperać w papierach – ten Nowak!

– Jestem! – Nowak wychynął jak spod ziemi.

Podszedł do nich i każdemu podał dłoń. Panowie grzecznie się przywitani. Edek stwierdził, że ładna dziś pogoda, w sam raz na udane przekazanie typu C jeden. Nowak wyraził nadzieję, że nie są źli z powodu jego niewielkiego spóźnienia. Uśmiechnęli się do siebie, Edek wyciągnął dokumenty, Nowak pstryknął palcami i pojawił się stół. Zapraszającym gestem wskazał Białemu blat, by rozłożył papiery, Edek podziękował. Obaj cały czas szczerzyli się przyjaźnie. Wątroba ze swoją przedziurawioną głową, rozbieganym wzrokiem i paniką malującą się na twarzy zdecydowanie nie pasował do tutejszych salonowych układów.

– Tak sobie z panem Wątrobą przeglądamy akta przekazania i brakuje nam wypełnionego C1. Ma pan może ten dokument? Bez tego nie pójdziemy do przodu.

Nowak wyciągnął zza pazuchy formularz i podał z uśmiechem Edkowi. Ten podziękował i już miał wpiąć go do teczki, ale spojrzał jeszcze na wyszczerzonego Nowaka. Wykrzywił się do niego równie

promiennie i zaczął wertować podany dokument. Uśmiech Nowaka zniknął jak zdmuchnięty.

– O? – zdziwił się Edek. – Niepodpisany przez pana Wątrobę. Ja tego przyjąć nie mogę. Coś mi pan tu przyniósł?

– Już się robi! Małe przeoczenie, mam tysiące spraw i czasem drobnostki umykają. Podpisz, proszę. – Nowak podał Wątrobie pióro i wlepił w niego swój martwy wzrok. Komisarz poczuł, jak jakaś magiczna siła ciągnie jego rękę w kierunku papieru. Usta Nowaka rozciągnięte w uśmiechu miały lekko opuszczone kąciaki, oczy były jak dwa białe w jego mózg gwoździe. Nie wyciągnie ich, dopóki Wątroba nie podpisze papieru, o nie. Nadludzkim wręcz wysiłkiem udało mu się odwrócić wzrok od tej twarzy, spojrzął na Edka, ten czekał z uniesionymi brwiami.

– Coś nie tak? – zapytał w końcu. – Panie Wątroba, ustalał pan ten dokument z panem Nowakiem czy nie? – zapytał.

Usta Wątroby ciągnione jakąś magiczną mocą już, już ułożyły się w słowa: „Tak, ustalałem. Wszystko się zgadza”, ale nie wypowiedział ich, opanował się resztką woli. Opuścił rękę, niczego nie podpisał. Nowak wyraźnie wyprowadzony z równowagi szarpnął go za ramię. Odeszli na bok.

– Podpisz, kurwa, i będzie spokój. Nie widzisz, że gość się czepia jakichś durnych formalności? Wystarczy machnąć tu i tam znaczek i mamy go z głowy.

Wątroba słuchał, próbując ogarnąć chaos w myślach. Kto się czepia, kogo ma mieć z głowy? Czego ten Nowak chce? Zdawało mu się, że po dziurawej czaszce hula wiatr, uniemożliwiając jakikolwiek sensowny osąd. Może rzeczywiście ten korek to niegłupi pomysł?

– Halo, co jest?! – Edek krzyknął w ich kierunku. – Nie wolno teraz robić żadnych ustaleń! Nie znacie zasady „post mortem animae neutralis”? Panie Wątroba, proszę do mnie! Widział pan już kiedyś ten formularz?

Wątroba pokręcił przecząco głową. Nie kłamał. Edek przeniósł wzrok na Nowaka.

- Co ma pan do powiedzenia, panie Nowak? Dlaczego rozpoczęliśmy procedurę C jeden bez podstaw?

- A nie, nie, podstawy są. Zawarliśmy ustne porozumienie. Pan Wątroba wyraził chęć przystąpienia do układu typu „OvD”, czyli ochrona w zamian za duszę. Było to o milion pięćset tysięcy czterysta czterdziestej siódmej czasu uniwersalnego wszechświatowego na pięćdziesiątym pierwszym równoleżniku ziemskim z dwudziestoma minutami i południku szesnastym koma trzydzieści pięć. Pan Wątroba na pewno potwierdzi.

- Świadkowie są? Sama dusza nie wystarczy. - Edek przygotowywał się chyba do nowej procedury, bo zaczął wyciągać dodatkowe formularze.

- Oczywiście - potwierdził Nowak. Wątroba zamienił się w słuch. Jacy świadkowie? Świadkowie czego?

- Certyfikowani przez nasze komórki RO?

Nowak uśmiechnął się kordialnie.

- No, prawie. Przez naszą.

Edek zabębnił palcami o stół wyczarowany wcześniej przez Nowaka.

- Odpada. Certyfikacja trwa wieki, a bez tego znowu mi przyślecie jakiegoś zapijaczonego skrzata, który nie odróżnia duszy od dupy.

Stół zniknął jak zdmuchnięty, Edek stracił punkt oparcia, tym samym równowagę, i runął na ziemię w otoczeniu fruwających papierów. Nowak był wyraźnie wzburzony.

- Świadkowie są rzetelni! Zapominacie o dobrych zwyczajach, o ideałach wzajemnego zaufania! Mutuae fiduciam, mój drogi panie. Nie tylko biurokratyczne zabawy się liczą.

Edek wstał, otrząpał śnieżnobiały kombinezon, którego nie ubrudziła ani jedna plamka. Atmosfera wzajemnych uprzejmości była

już historią. Edek mierzył Nowaka wrogim spojrzeniem.

– Wzajemne zaufanie pan powiadasz. Zachęcam do lektury kronik i ksiąg, tam pan znajdziesz całą naszą historię wzajemnego zaufania. Premium proditor – Satan, każdy to wie. A teraz, proszę, przestań pan bajdurzyć i dawaj świadka, albo zamawiam Repetitio. Na wasz koszt!

Nowak skoczył jak oparzony.

– Repetitio, Repetitio! Zwariował! Mamma mia! Chce mnie do grobu wpędzić! Widzieliście, co za pomysł? Przecież to zwykła dusza. Mała, durna duszyczka! Cegiełka wszechświata, proch marny. On wam ani brat, ani swat! Gruby, niezdarny! – Nowak szarpał Wątrobę na wszystkie strony, jakby prezentował wady materiału nierzetelnemu sprzedawcy. – Łeb dziurawy, do niczego już niezdatny, chyba że jako piłka! – Walnął Wątrobie blachę w kark, aż go zgięło. – A głupi jak but! Wątroba, sprechen Sie deutsch? – darł się Nowak. – Ile jest pierwiastek z osiemdziesięciu trzech? No, ile? Widzisz, nic nie wie, nic nie kapuje! Żadna strata.

Wątroba milczał, uderzenie pogłębiło jeszcze zamęt w jego głowie, Nowak szalał wokół, Edek czekał na przejście tej burzy.

– Mnie to jedno, umie coś czy nie umie. Sztuka jest sztuka i formularz albo świadek mają być. Jak nie Repetitio, to kończymy zabawę i idziemy każdy w swoją stronę. – Zaczął zbierać porozrzucane papiery do teczki. Skinął na Wątrobę, że można już iść. Ten jednak nie miał pojęcia, co się dzieje. Gdzie iść? Jak? Którędy? Przecież sprawdzał, że tu nie ma zejścia. Nowak chwycił Edka za rękę.

– Kolego, przyjacielu! Bądź aniołem, przecież ja mam plan roczny, już jestem pod kreską. Repetitio to dla mnie śmierć, utonę w kosztach. Zlituj się. Przecież jesteśmy kumplami. No, prawie. Moglibyśmy być. Nie daj zginąć marnie! – Nowak szlochał i jęczał. Zaczął całować rękę Edka. Ten wyrwał dłoń, westchnął ciężko, spojrzał jeszcze raz na Wątrobę. Wyglądało, jakby oceniał, jak bardzo jest marny i głupowaty, i czy opłaca się na niego tracić czas oraz nerwy. Nagle Wątrobę zmroziła myśl, że Edek machnie ręką, szybko

skończy przekazanie C jeden i poleci w swoją stronę. Ale po chwili usłyszał pokrzepiające słowa:

- No, dobra. Niech będzie Repetitio na nasz koszt. Ale jeśli kłamałeś, to... - zawiesił głos, jakby zastanawiając się, co można zrobić złego diabłu. - To pójdiesz do piekła. Sam. Bez zrobienia planu - zakończył dość niegroźnym stwierdzeniem. Nowak się uspokoił. Mrugnął porozumiewawczo do Wątroby i uśmiechnął się złośliwie. Po szlochach i jękach nie zostało śladu. Zaraz pstryknął palcami i na ziemi pojawiła się rozłożysta skórzana kanapa. Nowak szerokim gestem zachęcił do zajęcia miejsc. Edek opadł na siedzisko i założył nogę na nogę, a widząc, że Wątroba dalej stoi, w rzeczy samej marny i głupowaty, poklepał wolne miejsce obok, zachęcając go, żeby usiadł.

- No, komisarzu, Repetitio to Repetitio, swoje kosztuje, ale jest co poogłądać, powspominać. Nie ma sensu na stojaka. Klapnijcie sobie.

Usiedli. Przestrzeń wokół nich stawała się coraz ciemniejsza, gdzie rozległ się gong, pierwszy, drugi. Nowak zachichotał, znowu pstryknął palcami i u wszystkich pojawiły się w rękach monstrialnych rozmiarów torby z popcornem oraz wielkie kubki z colą. Diabeł siorbał i mlaskał niemiłosiernie, Edek również pałaszował prażoną kukurydzę z entuzjazmem. Wątroba nadal nie był głodny ani spragniony. Ale nie myślał już o diecie i odchudzaniu, dziurawą głowie też się nie przejmował. Z trwogą oczekiwał na to, co się miało wydarzyć, na tajemnicze Repetitio, tym straszniejsze, że znał już swoje położenie i wiedział, co rzucono na szalę.

Zaczęło się. Ujrzał doskonałej jakości obraz swych ostatnich chwil w kopalni, widział nadchodzących Arabów, usłyszał pierwsze strzały - były numerowane, licznik kręcił się w górnym rogu ekranu. Każda kwestia pojawiała się w okienku czatowym w dolnym rogu wraz z czasem wypowiedzi. Edek nachylił się do Wątroby i szeptem wytłumaczył mu, że zapis czasowy jest tu decydujący, bo nierzadko zobowiązanie i egzekucję dzieli ułamki sekund. Po ekranie rozlała się

w nienaturalnym powiększeniu przerażona twarz i Wątroba przyznał w duchu rację Nowakowi – faktycznie głupowato wyglądał. W okienku pojawiały się kwestia za kwestią. Edek robił notatki. Od czasu do czasu zatrzymywali film, żeby obejrzeć jakiś szczegół ponownie. Z dialogów wynikało jasno, że Wątroba zaprzedał duszę diabłu. Edek kilka razy oglądnął decydującą scenę. Twarz mu spochmurniała.

– Wygląda na to, że rzeczywiście się zaprzedałeś. Panie Nowak, zobaczmy jeszcze raz te ostatnie strzały od: „Tak, tak, oddam! Ratuj!”.

Film został przewinięty i puszczonej powtórnie. Nowak komentował:

– O! Tu się zgodził. A teraz liczcie strzały. Jeden, dwa, trzy, cztery i dopiero piąty trafia. O! Ale weszło! W sam środek. Symetrycznie! Przedłużyłem mu życie o dwie sekundy i trzydzieści setnych.

Wątroba ukrył twarz w dłoniach. Podwójny szok, wywołany widokiem własnej śmierci oraz informacją, że idzie do piekła, dobił go. Nie chciał już z nikim rozmawiać ani niczego oglądać. Chciał umrzeć, ale jakoś tak mocniej, ostatecznie. Zapaść się w nicłość, bez Nowaków, Edków i dziwnych krajobrazów. Nie istnieć. To, co wydawało się takie proste na Ziemi, tu było problemem nie do przezwyciężenia. Istniał, czuł, myślał i nie mógł już niczego zmienić; gdzie go wysła, tam będzie. Wypuszczona z ręki cola wylała się, torba z popcornem spadła na ziemię. Nowak zaczął z niej podjadać. Edek robił notatki.

– Daj no pan jeszcze bardzo spowolnione przybliżenie ucha po tej ostatniej kwestii.

Nowak westchnął i przybrał zniecierpliwiony wyraz twarzy. Z tego Edka był straszny szczegółarz. Ekran przedstawiał monstrialną małżowinę. Edek zamruczał coś o brudasach w policji. W pewnym momencie w obszar obrazu wjechał dziwny rekinowaty kształt. Pocisk. Dla wzroku śmiertelnika niewidzialny, rejestrowany jedynie słuchem, jako głośny huk. W zwolnionym tempie rekin płynął majestatycznie, by niespiesznie zniknąć po drugiej stronie ekranu. Na

powierzchni małżowiny została ledwie zauważalna różowawa smuga. Edek uśmiechnął się tryumfalnie.

- Coś pan słabo broniłeś i ratowałeś. Pierwszy pocisk i trafia. Umowa niedotrzymana.

- Co za bzdury! Zabił piąty! Pozostałe były nieszkodliwe, takie małe zarysowanie to żadna szkoda!

- Nie byłoby przy normalnym sformułowaniu używanym w procedurze do C jeden. Ale tu pan Wątroba, muszę przyznać dość sprytnie, zaostriął formułę cyrografu. Cytuję: pan Nowak: „Jak cię uratuję, oddasz wszystko, o co poproszę?”, pan Wątroba: „Tak, tak, kurwa, nie daj mi zrobić krzywdy!”, pan Nowak: „Oddasz ciało, duszę?! Oddasz siebie?!”, pan Wątroba: „Tak, tak, oddam! Ratuj!”. Sformułowanie „krzywda” jest jednoznacznie każdym naruszeniem stanu w chwili zobowiązania. A pan nie dotrzymałeś obietnicy, powstała szrama. Krzywda. A być może pan Wątroba dalej by żył na ziemi i cieszył się dobrym zdrowiem, gdyby nie zmiana położenia głowy po pierwszym trafionym strzale. Po krzywdzie. Jeżeli pan się nie zgadzasz, to możemy poprosić o ekspertyzę nasze działy DU. Ale ostrzegam, koszt ponosi przegrany, a ja tu nie widzę żadnych szans dla pana roszczeń.

Nowak z impetem wypluł popcorn. Spurpurowiał cały na twarzy, wstał z kanapy i stanął przed nimi. Dyszał wściekle.

- Ty, ty, ty... - Nie mógł wydusić z siebie odpowiednio straszego do sytuacji przekleństwa. - Ty chuju! - wrzasnął w końcu. I rzucił się na Wątrobę. Chwytał go za gardło, przewrócił na ziemię i zaczął walić jego głową o podłogę. Dyszał w furii. - Zabiję, zabiję!

Edek odciągnął go na bok, szamoczącego się i klnącego, i spoliczkował dla uspokojenia emocji. Następnie podszedł do Wątroby i podniósł go z ziemi. Komisarz ledwo zapał, nie mógł złapać tchu. Bolała go bania jak wszyscy diabli.

- Spokojnie, drugi raz nie umrzesz.

Wątroba pokiwał głową, łapiąc powietrze i kaszłąc. Edek popatrzył na niego podejrzliwie, podrapał się w berecik. Po czym powiedział:

– Mniejsza o to. Idziemy. A ty... – wrzasnął do Nowaka – ty licz się z poważnymi konsekwencjami. Naruszyłeś paragrafy „maiestatis iudicio” i „pax animae”. Ja tego tak nie zostawię. Spierdoliłeś sprawę, to pokutuj, a nie burdy na neutralnym placu przepustowym wszczynaj. Żegnam! Lecimy, Wątroba!

Sformułowanie „lecimy” było dość mylące, bo poszli. Droga z placu przepustowego stała otworem, ale nie na dół, tylko do góry. Jak do nieba, to do nieba. Edek pędził, Wątroba próbował nadażyć, ale dostał strasznej zadyszki, głowa pulsowała coraz mocniejszym bólem. Edek zatrzymywał się co rusz i odwracał do marudzącego Wątroby, pokrzykując: „Ruchy, ruchy!” albo „Więcej pary w tłoki!”. W końcu komisarz zwałił się przy drodze i rozkaszłał okropnie, mało płuc nie wypuł, czaszkę rozsadzał mu okrutny ból. Edek stanął nad nim, oglądając go z zaciekawieniem, by nie rzec, ze zdumieniem.

– Nie daję rady, Edek, kurwa, nie daję rady...

Edek pociągnął nosem, potem zbliżył go do Wątroby i... skrzywił się z obrzydzeniem.

– Ależ coś tu śmierdzi. Jakby... – zaczął, ale nie dokończył. Wlepił zszokowany wzrok w Wątrobę. – Słuchaj, to się prawie nie zdarza, ale podobno się zdarzyło już kilka razy, może ty... – znowu zawiesił głos.

Wątroba podniósł umęczone spojrzenie, oczekując kolejnej, zbijającej z nóg rewelacji.

– Może ty wniebowstąpiłeś, co? Ale byłby numer! U mnie jeszcze żaden nie przyszedł żywy, ale ten Nowak tak się spieszył, że może... Ja pierdołę, ja pierdołę! – Zaczął się zwijać ze śmiechu.

Wątroba patrzył na niego półprzytomny. Wniebowstąpienie? To takie coś, co się czasem w kościele obchodzi. Co on ma z tym wspólnego? Nieważne. Był łeb przestał tak napierdalać, a zgodzi się nawet na wniebowstąpienie.

– Ja pierdole, ja pierdole! – Edek dalej ryczał ze śmiechu. – Jeżeli to prawda, a sędzę, że tak, to Nowak poniesie wszelkie koszty. A Repetio przy tym to pikus. Pikusiek! – Pokazał palcami, jak mały jest koszt Repetio. – Aleś go załatwił! Jest skończony. Zarąbiście, Wątroba. Masz u mnie szacun, jak stąd do Hadesu!

Wątroba słuchał tych entuzjastycznych okrzyków z twarzą ukrytą w dłoniach. Czuł się coraz gorzej, do bólu doszły nudności i dreszcze.

– A swoją drogą, taki żywy człowiek strasznie śmierdzi. Na obrazkach ładnie wyglądacie, po śmierci gorzej, ale smród zawsze zostaje na dole. Ty zaś przywlokłeś tutaj ten... – patrzył na Wątrobę, zastanawiając się, jak najlepiej określić jego ciało – ten kałdun – dokończył. – I co teraz? Muszę pogadać z centralą. – Odszedł na bok na tyle daleko, że Wątroba nie mógł rozróżnić słów. Zresztą z anielskiego był słaby, więc pewnie i tak niczego by nie zrozumiał. Edek wrócił zafrasowany.

– No, to masz przechlapane. Nie mamy na to procedury. Na skan cię nie wezmą, bo nic nie odczyta¹. Musiałbyś się jakoś pozbyć kałduna. Albo wracać, ale nie bardzo wiadomo jakim kanałem. Może C jeden to nie było takie złe rozwiązanie? – Edek głośno myślał. Wyraźnie czuł się bezradny wobec nieznannej, zagmatwanej prawnie sytuacji. Pewnie żałował teraz, że nie wpiął jednak formularza do teczki i nie rozstał się z Nowakiem oraz Wątrobą, tonąc w grzecznych uśmiechach.

Obolały komisarz rozumiał z całej sytuacji tyle, że jest teraz jak piąte koło u wozu i najchętniej by się go jakoś pozbyli. Właściwie było mu to obojętne. Gdyby Nowak go zabił, jak się odgrażał, i baniak przestałby wreszcie boleć, to mógł iść nawet na C jeden. Zapanowało ponure milczenie. W końcu Edek zachnął się.

– Nie może tak być, że masz się teraz gorzej niż u Nowaka! Idziemy! – Wziął go na ręce i polecieeli, tym razem naprawdę, przez przestworza.

Po chwili stali już w nieskończenie długim pomieszczeniu. Po obu stronach znajdowały się urządzenia przypominające szafy sterownicze. Migwały światełka, szumiały serwery. Edek rozmawiał z jakimś stworem. O ile Edek, oddelegowany do kontaktów ze światami, duszami, a nawet ciałami, wyglądał ładnie, o tyle obsługa zaplecza nie została ukształtowana na wzór ludzki. Wątroba miał spore kłopoty, żeby uchwycić kształt, kolor albo choć ruchy zjawiska, z którym Edek najwyraźniej coś omawiał. Słyszał głosy, ale rozmowa toczyła się w całkowicie niezrozumiałym języku. W pewnym momencie temperatura dyskusji osiągnęła poziom awantury. Edek wymachiwał rękami, co chwilę pokazywał na Wątrobę. Następnie podszedł do niego.

– Dobre wiadomości. Ciężko było, ale ma chłop mały dług wdzięczności... W każdym razie wpuści nas tam. Jednakże w razie problemów... – Zawiesił na chwilę głos. – Nie chciałbym być w mojej skórze, jeżeli nas tu złapią. Idziemy! Pamiętaj, niczego nie dotykaj. Jesteś wyjątkowo niezdarzy i brudny, jak na nasze standardy.

Rozpoczęli wędrowkę. Maszyneria ciągnęła się bez końca.

– Co tu jest? – Wątroba pokonał swoją zbolałą obojętność.

– Mierniki życia. Idziemy do twojego. Będziesz się mógł legalnie załatwić, żeby iść na skan bez kłopotów. Mały przyczek elektryczek i po sprawie.

Wątroba zaniepokoił się.

– Na skan? Będę jeszcze oceniany?

– A pewnie! C jeden nie poszło, ale duszy jeszcze nie znamy. Trza się przyjrzyć, co tam siedzi.

– Czyli, jakby coś, mhm, nie tak było, to...

– Tak. Nowak będzie znowu na topie. Ale przecież to niemożliwe. Mordercy, zatwardziali heretycy, komuniści – ci idą na odsiew, a i tak się bada, czy nie żałują. Reszta – drobne winy. Winki. Delejtujemy masowo.

- A gdyby... - Wątrobie stanął przed oczyma Chwiejczak, leżący za kamieniem w tej dziwnej pozycji, w tych nieruchomo sterczących zza kamienia gumowcach. Nagle zatrzymał się, patrząc ze strachem na Edka, który badawczo mu się przyglądał.

- Boisz się? Masz coś na sumieniu?

Wątroba spuścił głowę zawstydzony. Edek westchnął i pomyślał, że Nowak raczej nie bierze się za dziewice w wianuszkach z rumianku i może zamiast szukać kruczków prawnych w cyrografie, należało pozwolić sprawom iść swoim torem. Miały teraz spokój i siedziały przy kufelku „Pod Rajską Jabłonią”. A tak... Poszli dalej. Po kilkuset krokach stanęli naprzeciwko maszyny. Podzielona była na małe moduły, każdy moduł posiadał regulator, w formie gałeczki ustawianej w jednej z trzech pozycji, i wskaźnik.

- To jest miernik ilości lat do końca życia. O, u ciebie to jeszcze trochę! Do emerytury się dokulasz. Przynajmniej według tej maszynki. A tu stan: ON, OFF i STAND BY. Jesteś na STAND BY. Jakiś baran musiał się bawić gałkami. No, dobra, jesteś teraz panem swojego życia. ON czy OFF?

Wątroba stał długo, patrząc jak zaczarowany na swoje życie zakłęte w jedno małe pokrętko. Perlisty pot wystąpił mu na czoło. Co wyciągnął rękę, to zaraz ją gwałtownie cofał, jakby maszyna parzyła. Oddychał szybciej. Prawdopodobnie poziom smrodu człowieka stał się dla Edka nie do zniesienia, bo odsunął się na pewną odległość i kręcił kciukami, czekając, aż jego podopieczny podejmie wreszcie decyzję. Ten jednak się wahał i walczył sam ze sobą. W końcu uchwycił gałkę, zamknął oczy i przekręcił.

XII. Dzień szósty

W sobotni poranek do pracy przyszli Kazek i Boluś. Kadm czekał już na nich przy bramie. Widać miał spore wątpliwości, czy się zjawią, pomimo wcześniejszych ustaleń, więc wolał sprawdzić ich postępek dokładnie o siódmej. Po stwierdzeniu, że są trzeźwi i punktualni, uspokojony poszedł do walcowni. Ci zaś szukali sobie zajęcia w zimny, jesienny poranek. O ile sprzedaż pączków w dni robocze była mało prawdopodobna, o tyle dziś Stalowy ogłosiłby frajerem wszech czasów każdego, kto by się do nich zgłosił. Siedzieli w budzie, pilnując blachy z kilkoma ciastkami, których po kilku dniach czerstwienia nawet wygłodniały pies by nie ruszył. Dyskutowali o bieżących sprawach. A raczej Bolek monologował.

- Mówię ci, Kazek, sprzedaż i marketing to najlepsze, co mnie mogło spotkać. Odkryłem w sobie talenty, o których nie miałem pojęcia. Ta praca i odmiana w życiu dały mi poczucie siły, stałem się innym człowiekiem.

Kazek nic nie mówił, tylko wznosił oczy ku niebu. Chętnie by wyszedł z budynku, żeby więcej nie słuchać nawiedzonego, ale szkoda mu było porzucać ciepłe pomieszczenie i wygodne krzesło na rzecz marszów po wietrznym placu. Mruknął tylko ni to potwierdzając, ni zaprzeczając. Boluś niezrażony ciągnął dalej.

- Ale siła to nie tylko chęci, to również wiedza. Postanowiłem się zatem doksztalcać. W sprzedaży i marketingu, oczywiście. Powiedziałem o tym Kadmowi, równy gość, nie ma co. Pochwalił, pożyczył nawet książkę. Mówi, że tam są opisane wszystkie arkana sprzedaży pączków zebrane przez Kalifa w formie podręcznika.

Bardzo fajne i rozwijające. Szkoda, że po arabsku. Ale kilka rysunków zrozumiałem... Tak sądzę.

Boluś przerwał, sprawdzając, jak wielkie wrażenie wywarła na Kazku informacja o studiowaniu arabskich technik sprzedaży pączków. Kazek milczał. Po chwili ziewnął, ukazując szarość szóstek i siódemek. Potem mruknął niezbyt uprzejmie, chcąc jakoś zniechęcić Bolka do zwierzeń. Jednak ten nawijał jak nakręcony.

- Kadm powiedział jeszcze, że on bardzo ceni taką postawę i że mam szansę awansować w naszej korporacji. Zostać liderem. Bo ja jestem innym gatunkiem ludzi niż... - tu zawiesił głos, patrząc na Kazka i szukając takiego słowa na określenie tych innych, żeby nie dostać po twarzy - niż inni w moim departamencie - dokończył z dość wyzywającą miną. Znowu przerwał, sondując Kazka, jak to stwierdzenie zadziała. Szykował się na mordobicie, ale senny kolega tylko spojrzał na niego z drwiną.

- Inny gatunek? Jaki? Moim zdaniem jesteś normalny menelis vulgaris, ubrany w fartuszek od Kalifa. I żadna arabska księga tego nie zmieni, chyba że taka z zaklęciami. Jak zamienić pijaka w księcia? Hokus pokus, bim sala bim. Buch! - Zakręcił rękami przed sobą. - Uczyć się trzeba, jasne. Dzięki wytrwałej nauce masz szansę sprzedać drugiego w swojej karierze pączka. A to nie będzie łatwe, bo są już jak z kamienia.

Zapadło milczenie. Boluś patrzył na Kazka z wyrzutem. „Ten zawsze dogryza, zamiast pomóc. Zarabia dwa złote mniej i już by zabił z zazdrości. Nie ma za grosz osobowości lidera, lider kreuje rozwiązania, a nie dokucza i sieje zwątpienie”. Już się zabierał, żeby Kazkowi to wytłumaczyć, ale gdy Stalowy zmiarkował, że Boluś uodpornił się całkiem na drwiny, aby uniknąć dalszego prania mózgu, salwował się ucieczką na zewnątrz.

- Kurwa, sprzedał przypadkiem pączka i już lider - skomentował słowa Bolka, chodząc wściekły po placu wokół walcowni i paląc papierosa. Nie chciał się przyznać sam przed sobą, że zazdrości

Bolkowi nie tylko tych dwóch złotych dziennie więcej, ale tego, że Kadm widzi w tamtym przyszłość, a w nim nie. Głupawy Arab. Myśli, że jak zarządza jakimś szemranym biznesem, to może sobie oceniać i dzielić ludzi na lepszych i gorszych. Krwiopijca kapitalistyczny i terrorysta, bo każdy Arab to terrorysta. Dobry Polak i katolik powinien... Tego właśnie nie wiedział, co powinien zrobić dobry Polak i katolik. Wyobraźnia podsuwała mu sceny jak z filmu: ścina śniadą głowę szablą, na plecach łopoczą husarskie skrzydła, ogłasza krucjatę przeciw niewiernym, tłumy wiwatują, skandując jego imię: Ka-zi-mierz, Ka-zi-mierz! Każdy naród, który nie zna ogórka kiszzonego i wódki z ziemniaków, jest wrogiem, no chyba że da podwyżkę do osiemnastu złotych. Kazek wściekle zadeptał kolejnego peta. Jakże osiemnaście złotych? Przecież to kpiny nie pieniądze! Ma być dwie dychy i ani grosza mniej. Jak tylko ten Kadm tu przyjdzie, zaraz mu to powie. Niech wie, że nie jest bezkarny, że śmieci z siebie zrobić nie dadzą.

Kazek chodził tak po placu zatopiony w rozmyślaniach, Bolek ćwiczył w budzie uniżony ukłon zalecany przez Kalifa dla złotych klientów, czyli takich, którzy kupują powyżej sześćdziesięciu pączków dziennie. Wiatr hulał, pogoda była istic jesienna, słońce przykryte kołderką chmur miało dziś wolne. Nagle ten marazm został zakłócony jakimis okrzykami; Stalowy zauważył kilka postaci przebiegających z jednych drzwi walcowni do drugich, od strony budynku dobiegły odgłosy podobne do strzałów. Kadm pojawił się na podwórzu, wyraźnie zdenerwowany, i zaczął iść szybkim krokiem w jego stronę. Kazek, zmotywowany jeszcze swoją wizją ścinania łba, miał mu właśnie powiedzieć o swoich żądaniach, ale Kadm przeszedł obok jak burza gradowa, machnął ręką i warknął:

– Do budy, za mną!

Kazek popędził truchcikiem. Szef zamknął za sobą drzwi, wyciągnął kilka monet z kieszeni i dał im dzisiejszą dniówkę.

- Na dzisiaj koniec! Możecie iść do domu. A tym swoim kumplom przekażcie, że jutro nie ma pracy. Dam sobie radę inaczej.

Kazek schował pieniądze do kieszeni. Ochota na bunty i postulaty jakoś dziwnie wyparowała. Boluś również wziął pieniądze i wykonał uniżony ukłon, jak dla złotego klienta. Zdziwiony Kadm uniósł brwi. Boluś zastygł, oczekując pochwały.

- A ty co? Balet trenujesz? - Chyba nie takiego komentarza oczekiwał. Kazek parsknął śmiechem na widok jego miny.

Kadm wyszedł, trzaskając drzwiami. Urażony Boluś stał jak słup soli; zagryzł usta, oczy mu się zaskliły. Gdy w końcu powlekli się razem ulicą, dalej milczał, trawiąc gorycz braku pochwały. Kazek chciał go wyśmiać, ale po kilku krokach zmienił zdanie, zrobiło mu się żal kolegi, więc tylko palnął go w plecy i pocieszył:

- Nie martw się, to przecież nijak nie było do baletu podobne.

Boluś popatrzył na niego ponuro, a gdy skręcił w swoją stronę, Kazek pomyślał, że do krucjaty na niewiernych miałby już więcej szabel niż tylko swoją własną.

We wczesne przedpołudnie nie było sensu wracać do domu. Od kiedy pracował, atmosfera panowała tam dość gorąca. Czy to z powodu munduru, czy własnych stałych dochodów, nie wiadomo, ale ciągle był podejrzewany o zdradę małżeńską. Każde późniejsze przyjście spotykało się z komentarzem, że zasiedział się u TEJ kobiety. Każde przyjście o czasie kwitowano jako próbę zamydlenia oczu, ukrycia prawdy o TAMTEJ kobiecie. Mógł sobie wyobrazić, jakie komentarze wywoła zbyt wczesny powrót z pieniędzmi i dodatkiem za pracę w sobotę. O, nie! Jasne, wymówek nie uniknie. Ale wolał choć kilka godzin wolnego, niż natychmiastowy sobotni zapierdół z odkurzaczem oraz niekończącą się gadaninę o TAMTEJ kobiecie i o sobie w roli męskiej świni numer jeden.

Postanowił, nie przebierając się, podejść pod komendę. Miał jeszcze przed oczyma zachwyt komisarza Wątroby na widok jego czapki. Wyobrażał już sobie piorunujący efekt, jaki wywoła cały

mundur. Czerni, złocenia, wyłogi i lampasy. Toż to istny generał na defiladzie! Komisarz, będąc osobą samotną i czynnym policjantem, nierzadko chodził w soboty do pracy. Kazek z kolegami widywali go często z ławeczki pod trzepakiem, jak maszeruje w weekendy w kierunku komendy. Może i dzisiaj tam będzie. Może będzie też ten jego, jak mu tam... Chwiejczak! Byłby podwójny efekt. Kazek pędził przez dzielnicę, główkując, jak zwrócić na siebie uwagę całej komendy. Gdy był już blisko, obciągnął strój, sprawdził, czy żaden element nie odstaje, czy koszula nie wyłazi z tyłu. Wytarł buty o nogawki, sprawdził czubki – lśniły. Kazek mógł zacząć swą paradę. Powolnym, dostojnym krokiem przeszedł pod głównym wejściem do komendy, kilkanaście metrów dalej zawrócił i ponowił pawi pokaz pod komisariatem. Chętnie by spojrział w okna wypełnione zachwyconymi twarzami policjantów. Każdy z nich pewnie w duchu przeklinał dzień, w którym zgodził się nosić swoje zgrzebne wdzianko. Chętnie by spojrział, ale wiedział, że teraz nie może odwrócić wzroku, teraz był obserwowany i musiał wyglądać godnie, zarazem zaś nonszalancko i swobodnie.

„To u mnie normalka, panie marszałku...” – kreował w myślach wymaginowane rozmowy na najwyższym szczeblu, z równymi sobie.

– No, przecież tu nie ma zakazu! – z zadumy wyrwał go skrzekliwy głos. Jakiś facet w kurtce typu trzy czwarte i maciejówce na głowie stał przed nim, gorączkując się. – Tu może każdy stawać, a wy weźcie się do uczciwej roboty, a nie ludzi z mandatami za drobnostki gonić! – Facet trzasnął drzwiczkami i odjechał.

Kazek stał, nie rozumiejąc, o co chodzi; dopiero po chwili dotarło do niego, że gość wziął go za strażnika miejskiego. Stalowy ponuro spojrział na swój mundur. No tak, straż miejska. Tych raczej nie przebijie w wytworności stroju. Westchnął zrezygnowany. Wtedy podszedł do niego chłopak i obrzuciwszy spojrzeniem od stóp do głów, zapytał:

– Pan komendant? Jest pan komendantem?

Kazek napuszył się momentalnie, dumnie wznosił głowę, czując, że znowu łapie wiatr w żagle.

– A jakże! Jestem nim! – skłamał.

Chłopak podał mu list.

– Do pana – rzucił i już go nie było.

Stalowy został na ulicy z kopertą w ręku. Na niej ktoś wykaligrafował: „Dla Pana Komendanta. Do rąk własnych”. Kazek rozejrzał się na wszystkie strony, czy nikt nie zauważył przekazania. Odważył się również spojrzeć w okna komisariatu. A tam żadnych twarzy – ani zachwyconych, ani oburzonych, ani w ogóle żadnych. Prawdopodobnie nikt niczego nie widział. Chwilę bił się z myślami, wiedział, że nie powinien, ale pokusa okazała się zbyt silna. Jakież listy dostaje taki komendant? Jakby co, powie, że już był otwarty. I kto mu udowodni, że nie? Rozerwał kopertę.

Szanowny Panie Komendancie!

Z przykrością informuję, że Pański podkomendny, komisarz Wątroba, po otrzymaniu propozycji o charakterze korupcyjnym zawarł układ z siłami przeciwnymi porządkowi i prawu. W wyniku tych ustaleń rozpoczął akcję dywersyjną, kierującą tok śledztw, prowadzonych przez dowodzoną przez Pana komendę, na fałszywe, mylne tory. Zaangażował się również w działania o charakterze ściśle przestępczym. Jeżeli chce Pan dowodów, należy udać się do nielegalnego wejścia na teren dawnej kopalni, które znajduje się przy ulicy Wrzosowej 5, w komórce na węgiel. Z poważaniem

Jan Nowak,

zam. Bydgoszcz ul. Nadwarcie 23

Stalowy czytał tekst raz za razem i nie mógł się nacytać. Kurwa! Ale sensacja! Wątroba przestępcą! Jednakże po chwili naszły go wątpliwości. Czy donos to dowód? Prędzej jakiś paszkwil, nic niewarty

świsstek wysłany przez złośliwego sąsiada albo kochanka żony. To ostatnie akurat w przypadku Wątroby było niemożliwe. Kazek przeczytał donos jeszcze parę razy, postał kolejnych kilka minut, ważąc w myślach swoją decyzję. W końcu machnął ręką i zrobił w tył zwrot. Postanowił sprawdzić te przestępstwa. Jeżeli się potwierdzą, Wątroba i tak beknie. Ale nie dopuści, żeby takie gównno wylądowało w papierach komisarza bez sprawdzenia wiarygodności oskarżeń. Pobiegł na ławeczkę pod trzepak, Pająk już tam siedział, dumając w milczeniu nad sensem życia. Zobaczywszy Stalowego, wstał i podszedł, chcąc zagadać, ale ten zbył go machnięciem ręki i pognął do mieszkania Wątroby. Walił i dobijał się kilka minut, ale nikt nie otwierał. Kazek zaczął schodzić po schodach, wciąż nasłuchując, czy nie usłyszy szczęku otwieranych drzwi. Daremnie. Przechodząc pod trójką, doszedł go chrzęst klucza i stara pani Obuchowska wyjrzała na klatkę. Znali się z widzenia, ale w mundurze go nie rozpoznała. Zaskrzeczała tylko:

– Nie ma! Wypadł wczoraj w nocy. Pędził, jakby go stado koni goniło. I dotąd nie wrócił. Ja wiedziałam, że się doigra, że kiedyś mundurowi po niego przyjdą. On jest trochę ten, tego – zakreśliła palcem wokół czoła. – I cham! „Dzień dobry” to nikomu nie powie! A przecież on tu już od... od... – zastanawiała się Obuchowska – no, od dawna mieszka – dokończyła nieefektownie.

Kazek rzucił krótkie: „Dziękuję” i popędził do Pajaka. Ten czekał cały czas pod domem. Stalowy mruknął: „Za mną” i potruchtali razem. Pająk posiadał tę cenną zaletę, że mało gadał i mało chciał wiedzieć. W tym przypadku wystarczyło mu lakoniczne stwierdzenie, że Wątroba może być w niebezpieczeństwie, i już biegł bez szemrania tam, gdzie Stalowy prowadził. Po kwadransie dotarli na Wrzosową. Budynek numer pięć znajdował się bardzo blisko ich miejsca pracy, jedynie ogrodzenie i badyle krzaczków oddzielały go od królestwa Kalifa. Skręcili na podwórko, gdzie w nieśmiertelnej maciejówce krzątał się po podwórku Waldek. Gołębie zatrzepotały skrzydłami, z

panicznym gdakaniem uciekła zabląkana kura. Kolejnych dwóch obcych ludzi, z czego jeden w mundurze godnym meksykańskiego generała – to grubo przekraczało normę odwiedzin tego zakątka. Waldek patrzył pytająco na przybyłych. Ci podeszli do komórek, ignorując go zupełnie. Zaczęli walczyć z zamkniętymi drzwiami, ale tak jak poprzednicy nie dali rady. Waldek podszedł bliżej.

– O co chodzi? Kim panowie są? – dopytywał się.

– Szukamy komisarza Wątroby, podobno jest tam w środku – twardym, zdecydowanym głosem ni to spytał, ni to stwierdził Stalowy.

Waldek zamilkł. Przypomniało mu się ostrzeżenie Wątroby, że jak puści parę z gęby, to jutro widzą się w komisariacie w sprawie kradzieży. Jednak Waldek odniósł już kopertę na miejsce, zakopał w starych majtkach i pidżamach. Sprawa była nie do udowodnienia. A ci tu wyglądali na jakieś szychy. Mundury specjalne, o nic nie pytają, wałą na pewniaka do komórki. Chyba lepiej powiedzieć.

– Tak, wszedł wczoraj, ale nie wiem, co się dalej stało. Do komórki można wejść również przez dach – zdradził swoją tajemnicę i zaprowadził ich do obluźowanych desek.

– Pająk! Wchodzimy!

– Wchodzę, Stalowy! – zameldował Pająk.

Waldek gołębiarz utwierdził się w przekonaniu, że to służby specjalne, a nie zwykła policja. Chodzą jak w zegarku, czy w mundurze, czy po cywilnemu, każdy ma pseudonim. Ukrywają swoją tożsamość – mafia pewnie odpaliłaby nielichą sumkę za informację o ich imionach i nazwiskach. Oddział specjalny zniknął w komórce, a Waldek powrócił do karmienia gołębi, utyskując w duchu na swoje nudne życie, w którym nie było żadnych skarbów, akcji specjalnych, zmian tożsamości, ot, szare, toczące się po równi pochyłej życie.

– Waaaaaldek! Obiad! – zawył głos niewieści z okna na parterze.

– Idę, idę. – Zamykał klatki, zbierając się do odejścia.

Oddział specjalny tymczasem spenetrował całą komórkę. Po kilku minutach sytuacja została opanowana. Właz zlokalizowany, latarki

uruchomione. Dwuosobowa ekipa powędrowała wąziutkim korytarzem ku kolejnemu zadaniu specjalnemu. Dotarli do żeliwnych drzwi i wkroczyli do kopalni właściwej śladem von Schwansteinkohenbohlenwora, Mariaca i Wątroby z nieszczęsnym Chwiejczakiem. Dalsza droga podziemny chodnikiem z pozoru była łatwa, ale serca tak mężne na powierzchni tu skurczyły się do króliczych, nerwowych serduszek. Każde kapnięcie kropli, każdy chrzęst kamienia pod stopami wywoływały paniczne rozglądanie się na boki. Stalowy i Pająk wyraźnie byli istotami naziemnymi i lubili kontakt bezpośredni z drugim człowiekiem, a nie przerażającą pustką i szeptu górniczej krainy. W pewnym momencie usłyszeli sapanie i kroki daleko za nimi; ktoś chyba szedł ich śladem. Dyszał, mruczał, szurał, kopał w kamienie. Zamarli. Stanęli plecami do siebie, oświetlając przestrzeń wokół.

- Co to było? - drżącym głosem pytał Stalowy.

- Nie wiem, może Skarbnik. Może teraz zamyka te drzwi, żeby nas tu uwięzić na zawsze - dodawał otuchy Pająk, dość elokwentnie jak na Pajaka.

Echo kroków i sapanie zaczęło cichnąć. Po chwili uspokoiło się zupełnie. Panowie przełknęli nerwowo ślinę, obrócili się znów w kierunku marszu i ruszyli dalej. Za zakrętem zauważyli lunę rozlaną po skalnych ścianach, za następnym załomem luna powiększyła się i jasno oświetlała drogę. Zgasili latarki. Po kolejnych kilku krokach zobaczyli rozszerzenie w chodniku kończące się wielkim usypiskiem skalnym. Na rumowisku znajdowały się dwie postacie, jedna leżała, druga siedziała przy niej. Luna zaś pochodziła z dwóch mocnych reflektorów oświetlających ten obraz. Wyglądało to wszystko jak scena z filmu. Właśnie nagrywana. Ostrożnie wychylili głowy zza skały. Jednego z osobników rozpoznali od razu po zwalistych kształtach, choć nieodłączny płaszcz zastąpił kombinezon, a zamiast kapelusika świeciła łysina - jej gładź psuły ciemne strużkami krwi wypływające z roztrzaskanego czoła. Wpatrywali się w ten widok, nie mogąc

uwierzyć własnym oczom. Ich komisarz, którego codziennie widywali, leżał tu jak długi, z przestrzeloną głową. Obok siedział... Nie mogli się mylić. Obok siedział Arab, jeden z ekipy Kadma. Skurwysyny zabili ich komisarza i teraz kombinują, jak go wywieźć, albo zasypią go w tym rumowisku. W tym momencie Stalowy podjął decyzję. Woli zginąć, a ciała nie odda. Będzie walczyć, może przegra, ale komisarza nie da bezcześcić. Widział już, że jego kruczata przeciw niewiernym stała się faktem. Teraz nawet podwyżka do dwudziestu... Ba! Do stu złotych go nie powstrzyma!

- Pająk! Ja zagaduję, ty stajesz tam. Podejdzie, walisz w łeb kamieniem – szeptem wydawał instrukcje. Pająk skinął głową i poczołgał się na pozycję. Gdy Stalowy był już pewny, że Pająk się ustawił, wychynął zza skały i pomachał do strażnika, szeroko się uśmiechając.

- Halo, Sallem Allejkum, Kadm-Al-Achim-Ebn-Rozwada, džihad! - rzucił całą swoją znajomość arabskiego na szalę, nie przestając się uśmiechać i machać przyjaźnie. Strażnik podniósł głowę zdziwiony, badawczo przyglądał się Kazkowi, próbując go zidentyfikować. Stalowy go poznał – to był jeden z tych, którzy strzelali do niego przed trzema dniami. On również skojarzył Kazka, rozpromienił się, wstał i zaczął iść w jego kierunku. Być może sądził, że Stalowy został przyjęty przez Kadma do ochrony fabryki, a może nie przyszło mu do łba, że tu, kilkadziesiąt metrów pod ziemią, może się znaleźć człowiek bez ich pozwolenia. W każdym razie zbliżał się do Stalowego, cały czas o coś pytając. Ten machał ręką, jak kukielka w szopce, uśmiech nie schodził mu z ust. Powtórzył swoją kwestię, pomijając jednakże słowo „dżihad”. Strażnik podszedł bardzo blisko, znowu o coś spytał. Kazek, wyszczerzony od ucha do ucha, wskazał ręką za pobliską skałą. Tamten podszedł jeszcze bliżej. Zaciekawiony chciał zobaczyć, co tak rozśmieszyło Stalowego; w tym celu musiał stanąć obok niego i pochylić się. Uśmiechnięty Kazek wciąż wskazywał owo niebywale interesujące coś kryjące się za załomem. Strażnik stanął obok

Stalowego i skłonił się. W tym momencie Kazek przyładował mu tęgiego kopa w krocze, zgięty w pół facet stęknął głucho i nim się wyprostował, Pająk dopadł z kamieniem i walnął go z całej siły w łeb. Strażnik padł.

– Bozia wybacz – ponuro rozgrzeszył Pajaka Stalowy. Pochylił się nad ofiarą i stwierdził, że oddycha. – Żyje! Szybko bierzemy Wątrobę i spadamy, zanim on albo jego koleżkowie nas tu capną.

Podbiegli do ciała komisarza. Leżał, oczy miał zamknięte, ręce rozrzucone na boki, ciało, dopasowując się do kamieni, wygięto się w dziwaczny es flores. Był dla nich obcym człowiekiem, nieraz wręcz znienawidzonym gliną, ale ten widok tak rozczulił tych prostych pijaczków, że lzy niepostrzeżenie popłynęły po ich pooranych czasach i hektolitrami wódki obliczach. Stali przez chwilę w zadumie. W końcu Stalowy powiedział:

– Odszedłeś, szary człecze, lecz w sercach nam pozostaniesz...

– Amen – dorzucił Pająk.

W tym momencie oczy Wątroby otworzyły się, z gardła wydobył się charkot. Postać zaczęła powoli wstawać, ciężko dysząc i jęcząc. Przez te odgłosy przebiegały wściekłe słowa:

– Szary człecze? Ja ci dam szarego człeka! Ja ci dam amen! Może na czarnej skale, może mam cię nie winić za grzechy i karę!? Ty czarna gnido! Ty czarny klecho od umarlaków! – sapało i charczało ogromne ciało z przestrzeloną głową, niepewnie stojąc na swoich dwóch słoniowych nogach. Po chwili korpus zaczął kroczyć, cały czas dysząc, charcząc i przeklinając stojących przed nim ludzi. Stalowy i Pająk gapili się na niego jak zahipnotyzowani, w końcu jednak dotarło do nich, że stwór ich atakuje.

– Aaaaa! Zombie! – wrzasnął Stalowy. Zaczęli uciekać po rumowisku. Domniemany zombie chciał iść za nimi, ale szybko opadł z sił.

– Czarny człecze, na pierdolonej czarnej skale! I co jeszcze?! Zabiję, zabiję! Jaja sobie robisz z przestrzelonego, ty czarny dupku!

Moja głowa, moja głowa, ale boli! – Usiadł gwałtownie i zaczął jęczeć. Wtulił twarz w dłonie. Widać było, że cierpi. Stalowy i Kazek zorientowali się, że to raczej nie zombie. Zombie nie boli głowa, jest zdecydowanie nieczuły na cierpienie i wszelkie uszkodzenia ciała. Zatrzymali się, po chwili ostrożnie podszedli do jęczącego Wątroby. Ten łkał, trzymając się za głowę. Pająk położył rękę na jego ramieniu, Stalowy zaczął uspokajać.

– Wszystko dobrze, wszystko dobrze. Zaraz pójdziemy do domu. Zaraz pana stąd wyciągniemy.

Wątroba cały czas łkał i jęczał. Stalowy z Pajakiem chwycili go pod pachy i dźwignęli. Był to wysiłek nie lada. Na szczęście komisarz, tak podtrzymywany, zaczął kroczyć samodzielnie. Stalowy z przerażeniem myślał o wąskim korytarzyku przed nimi. Doszli wspólnie do wejścia A8; żeliwne drzwi stały otworem. Już mieli przez nie wychodzić, kiedy Wątroba zatrzymał się, jęcząc i łkając jeszcze głośniejsze niż dotychczas. Wskazał ciemny zaułek.

– Tam, tam... – chlpał. – Tam leży Chwiejczak, weźcie go też. Nie dajcie zgnić w tym podziemiu.

– Niezła jatka tu była – stwierdził z uznaniem Stalowy.

Poświecili na miejsce wskazane przez komisarza, ale nikogo tam nie było. Miejsce za kamieniem świeciło pustką. Wątroba przestał łkać, chwiejąc się, podszedł sprawdzić samemu, tak jakby ktoś mógł nie zauważyć ciała człowieka w rozpadlinie o wymiarach dwa na dwa metry.

– Boże, Nowak go porwał! – wrzasnął. – Teraz go będzie torturować zamiast mnie. O, ja nieszczęsny, co ja narobiłem! Jestem przeklęty, sprowadziłem szatana na ziemię. Zabijcie mnie! Aaaaaaa! Zabijcie! Uwolnijcie świat! Ludzie giną, bo ja żyję! Aaaaaa!

Musieli go uspokajać kilka dobrych minut, wymieniając przy tym porozumiewawcze spojrzenia. Po przeżyciach mijającego dnia Wątroba kwalifikował się już prawdopodobnie tylko do czubków. Wreszcie ruszyli wąskim tunelem w górę. W ostatniej chwili zamienili

się miejscami, tak aby Pająk szedł przed Wątrobą. W razie zasłabnięcia komisarza lub innych przyczyn uniemożliwiających marsz, miał pobiec po ratunek, zarówno dla Wątroby, jak i dla Stalowego, uwięzionego przez kupę cielska w dolnej części korytarza. Droga minęła jednak spokojnie, choć szli bardzo powoli. Przy wyjściu zaskoczyło ich światło dnia – drzwi komórek były otwarte na oścież. Stalowy i Pająk wyciągali jęczącego i szlochającego Wątrobę z czeluści włazu. Wszyscy trzej mrużyli oczy, próbując dojrzeć coś w otaczającej ich jasności. Gdy kontury ustabilizowały się, wielka oślepiająca lampa zmieniła się w normalny otwór drzwiowy. Wątroba siedział na ziemi wyczerpany i bliski omdlenia, Stalowy pilnował, żeby nie zrobił czegoś głupiego w swoim odmiennym stanie, Pająk polecał po pomoc. Po kilku sekundach wrócił, towarzyszyli mu jacyś ludzie.

– Panie komisarzu, dzielnicowy Dobrowolski. Pamięta mnie pan? Już wszystko wiemy. Proszę o spokój, jest pan już w naszych rękach.

Wątroba oczywiście pamiętał Dobrowolskiego. Ratlerka z grubym hurtownikiem również. Wyciągnął obie dłonie, oczekując szczękę stalowych kajdanków na nadgarstkach. Opuścił ponuro głowę, łkając. Poczul uścisk rąk dzielnicowego. Ten potrząsał jego dłońmi i mówił entuzjastycznym tonem:

– Gratuluję! Sukces, wielki sukces. Milowy krok w sprawie zabójstw znad rzeki.

Ktoś go podniósł, ktoś poklepał po plecach, ktoś podparł tak, aby mógł iść, co rusz nowe ręce ścisnęły jego dłonie, wokół szemrały pełne uznania głosy. Na podwórku stał radiowóz, obok karetka pogotowia...

...na stopniach karetki siedzi jakaś postać otulona pledem. Nieruchoma, blada. Patrzy na niego. Wątrobie przed oczyma migają światła kogutów na dachach samochodów, migają krzątający się ludzie, mignęła twarz Chwiejczaka i straszne, martwe wejrzenie Nowaka. Powoli zapada kotara ciemności. Może to już? C jeden czy zwykły skan?

- Posterunkowy Chwiejczak wszystko nam powiedział, teraz to tylko kwesta czasu...

- Szybko nosze, lekarza, zemdłał, chyba źle z nim...

- A formularz Wątroba wypełniłeś? Twój kumpel Edek już ci nie pomoże.

- Z drogi! Szybko! Do szpitala!

- Ja mam czas. Nie dziś, to jutro. Tacy zawsze się ładują w kłopoty...

Nad czarną skałą czarny kruk krąży,

I nie opuszcza cię nigdy, człeczce.

Uciekasz dniem, drżysz lękiem w nocy,

Powoli, codziennie, zabijasz sam siebie.

XIII. Dzień ostatni i później

Wątroba stał się sławny. Okazało się, że pocisk przeszedł pomiędzy obiema półkulami mózgowymi i wyleciał z tyłu, nie czyniąc komisarzowi większej krzywdy. Był jedną z kilku osób w historii ludzkości, która przeżyła tego typu postrzał. Przygody pogromcy arabskiej mafii, który w walce z bandytami dostaje strzał prosto w czoło i pomimo tego nie umiera, lecz walczy dalej, poruszały serca i umysły. Niektórzy złośliwcy dodawali, że świadczy to jedynie o mikroskopijnych rozmiarach mózgu komisarza, ale były to pojedyncze głosy. Przy piwku snuto opowieści o tym, jak broczący krwią Wątroba z rozwiniętym, dumnie łopoczącym sztandarem z Najświętszą Panią atakuje tłumy najeźdźców. A wiatr hula mu po czaszce. Jego historię opisano w „Supergońcu” i „Fikcie”. Grafik dodał na zdjęciach jeszcze kilka ran szarpanych na klatce piersiowej oraz amputował mu wirtualnie nogę, tak aby efekt był bardziej piorunujący. Nad głową dorysowano aureolę. Tym samym próg śmieszności został mocno przekroczony, ale czego się nie robi dla zadowolenia społeczeństwa. Wątroba leżał w szpitalu, odwiedzały go tłumy ludzi; kwiaty, bombonierki i laurki od dzieci zalegały w każdym kącie sali. Dostał również propozycję występu w talk show „Zabij nas swoją historią”. Przez kilka dni przygotowywał się do występu, układając w przestrzelonej głowie wyimaginowane dialogi, obmyślając celne riposty. Trenował zabijanie swoją historią. Niestety, w tym samym czasie po drugiej stronie Polski wydarzyło się coś, co przerwało medialną karierę komisarza. Gdzieś na Podkarpaciu, podczas kłótni małżeńskiej, mężczyzna dostał nożem kuchennym w oko. Ostrze wbiło się w głowę aż po rękojeść. Jednakże zdumiona

ofiara stwierdziła, że żyje, co więcej nic ją nie boli, więc zamiast do szpitala, popędziła do telewizji, stając się największą atrakcją najbliższego wydania „Zabij mnie swoją historią”. Gość był dużo przystojniejszy i młodszy od komisarza, miał również lepszą dykcję, więc wybór był oczywisty. Podekscytowany dziennikarz szczegółowo wypytywał o przeżycia i motto życiowe osoby z nożem w oku. Okazało się to przyczynkiem do szerszej akcji i nagrania pieśni wykonywanej przez człowieka z nożem w oku wraz z czołówką polskiej sceny pop w obronie, czy raczej przeciw przemocy w rodzinie. Założono również fundację „Nie daj się” propagującą rehabilitację i zdrowy tryb życia ludzi z nożami w oczach. Ta sensacja przysłoniła małą sensacyjkę podziurawionego policjanta. Tłumek wielbicieli rzedniał z każdym dniem, personel szpitala zaczął traktować Wątrobę ze zwykłym poziomem chamstwa. Pewnego dnia ordynator podczas obchodu zakomunikował, że labia się skończyła, dziury już nie są tak widoczne i niedługo zostanie wypisany do domu. Szarość codziennej egzystencji zapukała do drzwi.

Zapukał również Chwiejczak. Wszedł do jedyнки komisarza z bukietem kwiatów i czekoladkami. Rzuciwszy je w kąt, rozglądał się po pokoju z zaciekawieniem. Na jego głowie bielił się jeszcze opatrunek.

- Mnie nie dali pojedynczej sali - stwierdził kwaśno. - Może pierdolną tu kogoś cegłówką w łeb, to zasłużę na lepsze traktowanie. Widać takie są kryteria.

- Chwiejczak, ja... - zaczął usprawiedliwiać się Wątroba.

- Ty mendo, ty tłusta kreaturo! Milczeć! - wrzasnął posterunkowy. Chwył za stojak do kroplówki i zamachnął się na leżącego. - Ja cię, ja cię... - dyszał wściekły. Opanował się jednak po chwili i rzucił stojak w kąt.

- Nie, bo pójdę siedzieć. Nie jesteś tego wart. - Chwiejczak się wyładował i mówił już spokojniej. - A swoją drogą myślałam, że pod

tymi górami tłuszczu są lepsze mięśnie. Dwa uderzenia kamieniem i ledwie wstrząs mózgu? Ga-la-re-ta, a nie chłop!

– Chwiejczak, nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Możecie iść do prokuratora, macie pełne prawo.

– Zgnijesz w więzieniu, tam policjant ma przechlapane. Sam przecież wiesz. Czemu mnie zaatakowałeś? Masz coś do mnie?

Wątroba wlepił wzrok w podłogę, zaczął opowiadać wszystkie swoje przeżycia z minionego tygodnia. Zawieszał co chwilę głos, szukał odpowiednich słów. Chciał to z siebie wydusić, podzielić się swoim strachem i niesamowitym stanem z ostatnich dni. Chwiejczak słuchał, patrząc w szarość okna. Gdy Wątroby skończył, zapanowała długa, bardzo długa cisza. Chwiejczak siedział i analizował sytuację, wydawał się bardzo przejęty opowieścią Wątroby. W końcu wstał i rzucił krótko:

– Nie doniosę na pana, ale małe zadośćuczynienie musi być. Wróci pan do pracy, to pogadamy. – Wyszedł, zamykając za sobą drzwi cicho i starannie.

Akcja na Wrzosowej nie zakończyła się jedynie na wyciągnięciu policjantów z korytarza. Arabowie, zorientowawszy się w sytuacji, rozpoczęli poszukiwania dotychczas im nieznaną, alternatywną drogą przez A8 i znaleźli ją w ciągu kilkunastu minut. Na podwórzu kłębił się jeszcze tłumek gapiów, policjanci spisywali zeznania, ten i ów zaglądał do otworu. Ogólnie mówiąc panował rozgardiasz. Dobrowolski zakazał wchodzenia pod ziemię do momentu przyjazdu specjalnej ekipy. Wtedy właśnie z dziury wychynęli Arabowie. Plotki pomnażane paplaniem setek języków opisują tę scenę jako wielki tryumf Stalowego. Ponad poziom podłogi wystawały trzy śniade głowy, w tym jedna już znana z podziemnego rumowiska. Widząc to, Stalowy Kazek chwycił starą łopatę do przesypywania węgla i zamachnął się do uderzenia. Ściął z wielką mocą wszystkie trzy łby i zatknął na lancach wbitych pod dumnie łopoczącym sztandarem z Najświętszą Panienką. Tak mówili ludzie, tak szeptały sprzedawczynie

w spożywczym, o takich czynach układano już pieśni i elegie w środowiskach artystycznych. I o takim zakończeniu marzył Stalowy. I byłby tego niechybnie dokonał, na pewno by dokonał, gdyby tylko miał ze sobą choć lyczek czegoś mocniejszego na odwagę, bo w rzeczywistości uciekł z komórki, wrzeszcząc ze strachu i oglądając się co chwila za siebie. Arabowie zaś, zobaczywszy policję i tłumy, oddali kilka strzałów przez drzwi komórki i zniknęli w otworze. Wezwana ekipa długo nie przyjeżdżała. Zresztą w wyniku informacji o uzbrojonych przeciwnikach w podziemiu, posłano po kolejne posiłki, tak aby nie narażać życia i zdrowia okolicznej ludności. Godziny się wlokły, dodatkowe oddziały nie nadciągały, tłumek gapiów rzedniał, policjanci coraz częściej patrzyli na zegarki i wzdychali ze zniecierpliwieniem. W końcu postanowiono postawić strażnika i spotkać się jutro. Dobrowolski odkomenderował jednego z ludzi i wszyscy poszli spać.

Następnego dnia zaczęto eksplorować przejście, to jednakże okazało się całkiem zawałone skałami. Uzbrojeni grotolazi po kilku metrach natknęli się na przeszkodę nie do przebycia i cała akcja spaliła na panewce. Strażnik odpytywany o podejrzone hałasy lub odgłos detonacji zaprzeczał wszystkiemu. Nie spał ani minuty i na pewno by coś słyszał. Wszyscy kiwali głowami, wierząc mu na słowo, ale swoje wiedzieli. Też byli poprzedniego dnia zmęczeni. Zebrane na szybko zeznania Stalowego Kazka i Pajaka, które wskazywały na firmę Kalif Donut Corporation dzierżawiacą pobliski teren z walcownią jako na sprawcę całego zamieszania, wymagały zaprotokołowania, potwierdzenia innych osób, jak również całego szeregu ustaleń i oficjalnych pozwoleń. Przygotowania trwały, a cenne godziny przeciekały przez palce jak woda. Kalif Donut Corporation wyraźnie zaczęła zwijać żagle, nie pojawiali się już żadeni pracownicy na betonowym placu przed walcownią, tabliczki na murze zostały zdjęte, brama zamknięta na głucho. Ktoś podobno widział, jak w nocy z terenu walcowni wywożono maszyny na potężnych lawetach.

Miejscowi pracownicy nie zostali wpuszczeni na teren zakładu, cała czwórka nawoływała długo pod bramą, ale nikt do nich nie wyszedł. Bali się przeskoczyć mur, mając jeszcze w pamięci niedawną strzelaninę. W końcu dali spokój; tym chętniej gdy Kazek uświadomił sobie, że jeżeli ktoś rozpozna w nim lub Pająku intruzów z podziemia, to w jednym kawałku na obiad do domu nie wrócą.

Po jakimś czasie działania maszyny biurokratycznej również dały efekt; wreszcie można było oficjalnie przeszukać zakład, wezwać prezesa spółki Kalif Donut Corporation Sp. z o.o., którym okazał się emerytowany taksówkarz z pobliskiego miasteczka. Drżącym ze zdenerwowania głosem opowiadał, jak ktoś go najął za trzy stówy, żeby podpisał kilka papierów i został na niby szefem czegoś tam. Tłumaczył się, że emeryturę ma niską, więc każdy grosz się liczy, a tu dostał pieniądze prawie za nic. Jakiś śniady mężczyzna zaczepił go pod spożywczym, do porozumienia doszli w dwadzieścia minut. Teraz się trochę się martwił, bo przyszły wezwania z Urzędu Skarbowego, Inspekcji Pracy oraz ponaglenia do zapłaty raty leasingowej za, jak to ogólnie ujęto, „sprzęt górniczy”. Papierowy prezes wszędzie odpisał, że w Kalif Donut Corporation Sp. z o.o. był tylko szefem na niby i poprosił, żeby mu na emeryturze dali spokój. Na dodatek głęboko wierzył, że tak się rzeczywiście stanie. Prowadzący śledztwo kiwali ze zrozumieniem głowami i spisywali zeznania, następnie zwolnili go do domu. Biedaczyna dość będzie miał kłopotów w nadchodzących miesiącach.

Przeszukanie zakładu przyniosło zaskakujący efekt: cały środek hali zajmował szyb prowadzący w głąb ziemi. Miał kształt pochylni, tak aby można było pod powierzchnię wjeżdżać samochodem albo innym sprzętem kołowym. Niestety po kilkunastu metrach okazało się, że również ów szyb został zasypany tonami skał. Komendant powiatowy wystosował pismo o wsparcie techniczne w celu odgruzowania przejścia. Ale odpowiedź nie pozostawiała nawet cienia wątpliwości, jakie są szanse na sfinansowanie oczyszczenia

zawalonych chodników. O starym szybiku wentylacyjnym, do którego można się wczłogać i bezpiecznie, choć niezbyt komfortowo, dostać do feralnego rumowiska i przejścia A8 z drugiej strony, nikt nie wiedział. Jedynie stary kot Mariaca, wymykając się w nocy z mieszkania na tajemne wędrówki, przychodził tam często i godzinami wpatrywał w ukryte przejście, mruczając coś po kociemu. Zarówno w sprawie zabójstw, jak też spółki Kalif Donut Corporation wystosowano zapytania odnośnie poszukiwanych osobników pochodzenia zagranicznego, w tym nadmienionego w zeznaniach Stalowego i Pajaka Kadm-Al-Achim-Ebn-Rozwadę. Krótkie odpowiedzi w typowo urzędniczym stylu, które zgodnie z ustawowymi terminami dla obiegu informacji w urzędach przysły po wielu tygodniach, nie wniosły nic do sprawy. Osobnicy przedstawieni w zapytaniu nigdy się nie rejestrowali tam, gdzie polska administracja cośkolwiek księguje, nigdy nie przekraczali granicy, nikt nic o nich nie wiedział i wiedzieć nie chciał. Sprawa była tajemnicza i prawdopodobnie pozostanie taką na wieki.

Po kilku tygodniach, zgodnie z zapowiedzią ordynatora szpitala, labia się skończyła i Wątroba wrócił do pracy. Po pierwszym okresie Wątrobomanii, jaka zapanowała po jego cudownym ocaleniu i burzy medialnej w brukowcach, obecna atmosfera wyraźnie się ochłodziła. Po komisariacie krążyły dowcipy o małych mózżgach w wielkich głowach, o wygodnych otworach w czaszce, w których można zainstalować kranik, opowiadano również wiele innych niesmacznych anegdot. Chwiejczak, który pojawił się w pracy dwa tygodnie wcześniej niż komisarz, nie był skory do wyjaśnień, co się działo w podziemiach. Złożył lakoniczny raport dla komendanta, kolegom opowiedział ze trzy zdania o ich eskapadzie, strzelaninie i bójce. I na tym koniec. W szczególności nie wchodził. Wziął się z zapałem do wypełniania protokołów i mnóstwa innych obowiązków biurowych, które czekały od wielu tygodni. Gdyby

poczekają jeszcze kilka następnych, nic by się nie stało, ale Chwiejczak chciał mieć zajęcie i odseparować się od ciekawskiej gawiedzi.

Wątroba zaraz po przyjeździe przywitał się ze wszystkimi, przyjął gratulacje z powodu ocalenia i powrotu, ale podobnie jak Chwiejczak nie był rozmowny. W przypadku gadatliwego komisarza dziwiło to jednak dużo bardziej. Dlatego niezaspokojona ciekawość tłumu przybierała na sile i powodowała niebywały wzrost plotek o tym, co się w starej kopalni wydarzyło. Bajdurzono o niebotycznych skarbach, które para policjantów zagrabiła, a następnie sfingowała strzelaninę dla ukrycia niewygodnych faktów. Opowiadano również o wielogodzinnych, podziemnych orgiach homoseksualnych i towarzyszącej im niebywałej wprost rozpuście tudzież rozwiązłości. Napędzana tymi plotkami wyobraźnia tłumu przypisywała to Chwiejczakowi, to Wątrobie niespotykane możliwości erekcji i dążenie do zaspokojenia najdzikszych żądz. Jeżeli dodać do tego pogłoski o dużej grupie tajemniczych, dobrze zbudowanych, wąsatych Arabów, którzy również w tym i owym uczestniczyli, nie dziwi fakt, że prawie wszyscy policjanci w komendzie, a wkrótce i mieszkańcy miasta, uśmiechali się znacząco, widząc kroczącego zwalistego komisarza. Ale był on, po cudownym ocaleniu i długiej podróży w zaświaty, zupełnie odmieniony. Obiecał sobie, że zaczyna nowe życie, bo teraz już rozumiał, co jest naprawdę ważne. Pozostawała jeszcze pokuta zadana przez Chwiejczaka, ten jednakże przekładał z dnia na dzień rozmowę i przedstawienie wymagań, czym drażnił swego pryncypała. Ale, jak się rzekło, Wątroba był nowym, przyjaznym otoczeniu człowiekiem i obiecał sobie przyjąć od Chwiejczaka każdą karę, łącznie z czekaniem.

Pewnego dnia posterunkowy zapukał do pokoju komisarza i stwierdził, że chciałby z nim omówić wiadomy temat. Wyszli razem, aby porozmawiać na osobności. Świadkowie tej sceny mrugali do siebie znacząco i chrząkali z wesołymi uśmieškami. Po kilku minutach obaj panowie wrócili; komisarz był czerwony na twarzy ze

wzburzenia i rzucał co chwilę gniewne spojrzenie na Chwiejczaka, który jednak nie zwracał na to uwagi. Pozbierał czekające na niego papiery i wyszedł, pogwizdując z cicha melodię: „Chłopaki z kwadrata”.

Następnego dnia Wątroba pojawił się w pracy trochę wcześniej niż zwykle. Podkrążone oczy i bladość twarzy świadczyły, że nie spał za dobrze, a może nawet wcale. Był bardzo zdenerwowany, wszelkie pytania i dowcipy kolegów zbywał krótkimi monosylabami lub chrząknięciami. Za ścianą tłum wzburzonych interesantów rósł z każdą chwilą. Dyżurny swoim odwiecznym zwyczajem pisał protokoły, popijał słodziutką herbatę i marzył o wysadzeniu w powietrze całej tej budy, zwanej komisariatem. Dzisiaj obecni byli również w biurze wszyscy inni policjanci – inspektor Wróżka, funkcjonariusze i pracownicy techniczni. Sam komendant wykazywał zainteresowanie podległą instytucją, chodząc to tu, to tam i zadając pytania typu: „Jak leci?”, „Co tam nowego?” albo „Wszystko w porządku?”. Odpowiedzi upewniły go, że wszystko w porządku i niewiele zdarzyło się nowego, więc zadowolony ze swoich menedżerskich sukcesów udał się wreszcie na drugie śniadanie i lekturę gazetki z rozbieranymi paniami. Kiedy atmosfera w izbie przyjęć i zagęszczenie ludzi na metr kwadratowy osiągnęły swoje apogeum, do Wątroby podszedł Chwiejczak i skinał głową. Komisarz bez słowa wstał, chwycił przyniesiony z domu tobołek i poczłapał do toalety. W tym czasie Chwiejczak dopilnował, żeby cały personel, łącznie z komendantem, pojawił się w izbie przyjęć. Tłum zagęścił się więc jeszcze bardziej, ludzie zdezorientowani nagłym napływem policjantów rzucili się do stołu dyżurnego, sądząc, że zostanie otwarte nowe stanowisko do obsługi klientów. Po chwili euforia opadła, gdyż przybyli funkcjonariusze nie kwapili się do podjęcia żadnych dodatkowych czynności.

Naraz otworzyły się drzwi korytarza wewnętrznego komendy i weszła przez nie... ogromnych rozmiarów kobieta w stroju ludowym.

Pyszniły się pasiaste spódnice, zapaski, serdak i zdobna w kwiaty chusta na głowie. Ale strój nie zmylił nikogo, twarz była ogólnie znana, choćby z charakterystycznej rany na czole. Komisarz stanął przed publiką, odchrząknął, jego twarz nabiegła krwią i spurpurowiała ze stresu. Chwycił się pod boki i kołysząc rytmicznie, zaczął zawodzić na melodię ludową:

*Mój Jasieńku, mój kochany,
gdzieś ty, gdzieś ty, gdzie, o gdzie?
Cys zapomniiał o swej dziewczce?
Cy ty jus nie kochas mnie?*

Przy tych słowach pojawiły się łzy w oczach komisarza. I to raczej nie wzruszenie losem kochanki Jasieńka je wywołało. Komisarz Wątroba najprawdopodobniej przeżywał właśnie najgorsze chwile wstydu w swoim życiu. Odwrócił się gwałtownie i pośpiesznym krokiem ruszył do wyjścia. Drogę zastąpił mu Chwiejczak z zaciętą miną.

- Druga zwrotka - wycodził zimno.

Wątroba obrócił się na pięcie, pociągnął nosem, otarł łzę kułakiem. Ustawił się ponownie w pozycji typu „Festiwal Kół Gospodyń Wiejskich w Kazimierzu nad Wisłą” i drżącym, zdenerwowanym głosem odśpiewał dalsze koleje losu nieszczęśliwej, tęskniącej dziewczki:

*Wróc, Janicku, wróc i weź mnie,
Tego bardzo mocno chcę.
Jak nie wrócisz i nie weźmiesz,
W łeb cegłówką palnę cię.*

Po ostatnich słowach wyciął hołubca, aż się stoły zatrzęsły, i wybiegł, tym razem przez nikogo niezatrzymywany. Łkanie wstrząsało jego potężną figurą. W sali zaległa cisza. Po chwili komendant

odchrząknął i mruknął do wszystkich zebranych, że życzy im miłego dnia, po czym również zniknął. O ile policjanci byli zdezorientowani sytuacją i wielu z nich zakwalifikowało popularnego komisarza jako pewnego kandydata do pokoju bez klamek, o tyle wśród zebranych petentów występ wywołał dwa typy reakcji. Jedni uznali go za miły lub przynajmniej nienudny przerywnik w oczekiwaniu do dyżurnego; drudzy głośno psioczyli na idiotyczne pomysły policjantów, którzy zamiast utrzymywać porządek i pomagać obywatelom, urządzali sobie ludowe śpiewogry.

Zemsta Chwiejczaka się dokonała.

Kochany dzienniczku! Od tej pieprzonej soboty jestem znów bezrobotny. Tak, wiem, że to stan normalny i nie ma się co przejmować. Tym bardziej, że mundur i czapka zostały, a więc strój na pogrzeby i wesela mam zapewniony na najbliższe dwadzieścia lat. Jeszcze jakiś order by się przydał, może „Zasłużony dla ochroniarstwa”. Ale trochę mi nieswojo, przyzwyczaiłem się do moich szesnastu złotych dziennie i teraz to myślę nawet, że za dwanaście też bym robił, byle mieć stały dochód. Jak powiedziałem, historia z Kalifem się skończyła, i może dobrze, bo chłopaki były nerwowe i w końcu byśmy zarobili kulkę. A nie każdy ma tyle szczęścia i miejsca w czaszce jak Wątroba. Na razie nikomu nic nie mówię, a na pewno nie moje ślubnej. Niech się jeszcze trochę powkurza na te niby romanse i baby na boku. Teraz wychodzę sobie codziennie rano i wracam po południu, spokój jest, nikt się nie czepia, że marnuję życie swoje i innych. A pogoda na razie dopisuje, padać ma dopiero w listopadzie. Jako że wszyscy mamy swoje mundury, to łazimy tak paradnie po osiedlu, no i Pająk wpadł na pomysł, żeby straż miejską udawać. Gonimy więc te babcie, co sprzedają jajka i ziemniaki przy chodnikach, kasujemy hultajów za stanie jednym kołem na trawie albo za znakiem zakazu. Tak się nam dobrze działało do dzisiaj, bo trafiliśmy na prawdziwego strażnika, tyle że w cywilu. Najpierw się zaczął

dopytywać, pod kim służymy, no to my na pewniaka, że nie jego zasrany interes i należy się dwie dychy za krzywo postawiony samochód, a jak kredytowy – to stówa. Ludzie zawsze dawali te dwie dychy i było po sprawie. Ale ten wrzeszczy, że baczność, żeby identyfikator okazać. Już mu Pająk chciał pokazać identyfikator w postaci piąchy w nos, ale gość wyciągnął plakietkę ze spodni. A tam jak byk stało, że on komendant. Aleśmy się wystraszyli, ja pitole! Pająk prawie by komendanta obił. Byśmy mieli za swoje. Na to ten, że działamy nielegalnie i on dzwoni po policję, i już telefon wyciągnął. I już niemal zaczął naciskać te numerki, ale w końcu się ulitował i odesłał do domu. Na odchodnym rzucił, że możemy zwracać uwagę, ale nie kasować pieniędzy. Bo od tego są oni. No pewnie, że inaczej nie mógł gadać, przecież każdy chce babcię z jajkami oskubać. Drugi mądry to nasz Boluś, lider zasrany. Ciągłe nam zwraca uwagę, że niszczymy dobre imię Kalifa, bezczeszcząc jego mundur tym udawaniem straży. On, jako w pełni ukształtowany, nowoczesny człowiek z mocnym kręgosłupem moralnym, pogardza nami i naszym stosunkiem do świata. I gada nam jeszcze, że nic się nie nauczyliśmy od Kadma i swojej szansy nie wykorzystaliśmy jak on. A jakże, nie strzelamy innym w głowę i nie drążymy nielegalnych kopalni, jesteśmy bardzo kiepskimi uczniami Kalifa. W odróżnieniu od tego lizydupka. Myślałem, że po tej całej historii mu przejdzie, ale on idzie w zaparte. Cały czas gada, jacy ci Arabowie są wspañiali. W końcu, żeby go zgasić, przypomniałem mu jego złoty baletowy ukłon. A ten się tylko uśmiechnął i odpowiedział, że złoty ukłon Kalifa rzeczywiście zainspirowany został układem baletowym ze znanej tureckiej sztuki „Metresa sultana”. W książce podarowanej przez Kadma jest przypis na ten temat, tak przynajmniej sądzi po lekturze. Ręce mi opadły. A co on, kurwa, mógł z tych krzaczków zrozumieć?! Znowu się popisywał! Innymi słowy, Boluś stał się idiotą na zawsze i jedyne, co możemy dla niego i siebie zrobić, to omijać się szerokim

łukiem. A potem zdarzyła się rzecz najdziwniejsza. Przyszedł do mnie komisarz Wątroba. Trochę ześmy pogadali. Podziękował mi jeszcze raz za akcję w kopalni, a potem dał coś owiniętego w szmatkę. Powiada, że jak to dobrze sprzedam i pieniądze dam na lokatę, to szesnaście, a może nawet dwadzieścia złotych dziennie będę miał do końca życia. On podobno tego już nie potrzebuje, wręcz nie może tego mieć, bo to łączy go z diabłem i będzie kusilo. A komisarz, według swoich słów, stał się nowym człowiekiem. Jak tak mówił, zacząłem podejrzewać, że ta kula jednak nie przeszła przez głowę tak zupełnie niewinnie i normalnie uszkodziła mu mózg. Potem zaczął opowiadać, że gdzieś tam w zaświatach czeka na niego Edek, ale trzeba się odciąć od złych uczynków tu na ziemi, bo Edek deleituje tylko małe winy. Jak to usłyszałem, to wiedziałem już, że Wątroba jest stracony dla społeczeństwa. Ten się później rozgadał o nowym życiu, pokucie, o jakimś Nowaku. Dodał jeszcze, że teraz się nie przejmuje, bo wie, że góra go chroni i podejrzewa małą mysz ze swojego mieszkania, że jest Aniołem Stróżem. Jest tego nawet pewien, choć dowodów nie ma. A na koniec się pożegnał i wytłumaczył, że musi lecieć, bo jest bardzo zmęczony i zestresowany, gdyż miał dziś występ pokutny jako śpiewaczka, kochanka Janeczka, czy jakoś tak. Pożegnaliśmy się miło, ale tak naprawdę to łzy miałem w oczach. Taki porządny, fajny człowiek i takie nieszczęście go spotkało. Może to nie ta kula, tylko przeżycia w tej kopalni go tak zmieniły. Ja do dziś nie mogę zapomnieć tych kroków i szeptów w podziemiu. Jak tylko wyszedł, wyciągnąłem z zawiniątka prezent od niego. No i formalnie mnie zatkało. Kawał złota z pięknym wzorem, takim jak ten u Kalifa, do tego pełno świecidełek. Wyglądał jak skarb Inków albo innych starożytnych Muminków. Co prawda z lekką skazą, jakby ze śladem po uderzeniu, ale i tak jest piękny. Już chciałem lecieć za Wątrobą, żeby mu to oddać, że ja nie mogę tego przyjąć, żeby się zastanowił. Ale nie polecałem. Po tym prezencie wiedziałem już na pewno, że

chłop jest świrnięty. Oddaje takie dobro, a sam zostaje z dziurą w głowie i nadzieją, że gdzieś tam Edek na niego czeka. To niech tak zostanie, on ma mysz stróża, Edka i nowe życie, a ja złotą sztabkę wartą fortunę.

I wiecie co? Patrzą na ten skarb i patrzą, oczu oderwać nie mogę, i wiem już, że go nie sprzedam za nic. Będę głodować, ale nie sprzedam. Jest zbyt piękny. I coś mi mówi, że to początek większej przygody, że dzięki niemu otwierają się przede mną nowe możliwości. Jest zbyt piękny dla innych. Będzie na zawsze mój i tylko mój.

1 Opis skanowania sądnego w opowiadaniu „Opowieść przedwigilijna, czyli życie jest piękne”